

Dziewczynka z przyszłości

Bułyczow Kirył



calibre 0.9.43

Kir Bułyczow

Dziewczynka z Przyszłości

(Przełożyła: Elżbieta Zychowicz)

DZIEWCZYŃKA, KTÓREJ NIC SIĘ NIE STANIE

Opowieści z życia małej dziewczynki w XXI wieku, zarejestrowane przez jej ojca

ZAMIAST PRZEDMOWY

Jutro Alicja idzie do szkoły. Zapowiada się bardzo ciekawy dzień. Dziś od samego rana dzwoni wideofon – to wszyscy znajomi i przyjaciele składają jej życzenia. Prawdę mówiąc, sama Alicja już od trzech miesięcy nie daje nikomu spokoju – opowiada o swojej przyszłej szkole.

Marsjanin Bus przysłał jej przedziwny piórnik, którego do tej pory nikt nie zdołał otworzyć – ani ja, ani moi współpracownicy, między innymi dwaj doktorzy nauk i główny mechanik ogrodu zoologicznego. Świszczak zapowiedział, że pójdzie do szkoły razem z Alicją, by sprawdzić, czy będzie miała dobrą, doświadczoną nauczycielkę.

Niesamowite zamieszanie. O ile pamiętam, kiedy ja szedłem po raz pierwszy do szkoły, nikt takiego szumu nie robił.

W tej chwili rwetes nieco się uciszył. Alicja poszła do ZOO pożegnać się z Brontim.

Póki w domu panuje cisza, postanowiłem nagrać kilka historyjek z życia Alicji i jej przyjaciół. Prześlę ten zapis nauczycielce mojej córki. Warto, by wiedziała, z jaką niepoważną osobą będzie miała do czynienia. Być może to ułatwi jej wychowanie Alicji.

Z początku Alicja była dzieckiem jak każde inne. Mniej więcej do trzeciego roku życia. Świadczy o tym pierwsza historia, którą chcę opowiedzieć. Ale już w rok później, gdy spotkała Brontiego, w jej charakterze ujawniła się umiejętność robienia wszystkiego, czego robić nie należy, znikania w najbardziej nieodpowiednim momencie i przypadkowego dokonywania odkryć, które przekraczały możliwości najwybitniejszych współczesnych uczonych. Alicja potrafi wykorzystywać ludzka życzliwość, ale mimo to ma mnóstwo niezawodnych przyjaciół. Niestety nam, jej rodzicom, jest czasem bardzo trudno. Nie możemy przecież siedzieć wiecznie w domu – ja pracuję w ogrodzie zoologicznym, a jej mama buduje domy, w dodatku często na innych planetach.

Chcę zawczasu uprzedzić nauczycielkę Alicji – z pewnością jej też będzie niełatwo. Niechże więc wysłucha uważnie autentycznych historii, które przydarzyły się dziewczynce imieniem Alicja w różnych punktach Ziemi i Kosmosu w ciągu ostatnich trzech lat.

WYBIERAM NUMER

Alicja nie śpi. Już dziesiąta, a ona wciąż jeszcze nie śpi.

– Alicjo, jeśli natychmiast nie zaśniesz... – odezwałem się.

– To co, tatusiu?

– Zadzwonię do Baby Jagi.

– A kto to taki Baba Jaga?

– No, o tym dzieci powinny wiedzieć. Baba Jaga – straszna, zła jędza, która pożera małe dzieci.

Nieposłuszne.

– Dlaczego?

– Dlatego, że jest głodna i zła.

– A dlaczego głodna?

– Dlatego, że nie ma w chatce spożywczości.

– A dlaczego nie ma?

– Dlatego, że jej chatka jest stara, prastara i stoi w głębi lasu.

Alicja tak się zaciekawiła, że aż usiadła na łóżku.

– Pracuje w rezerwacie?

– Alicjo, proszę natychmiast spać!

– Przecież obiecałeś wezwać Babę Jagę. Proszę cię, tatulku kochany, wezwij Babę Jagę!

– Dobrze, wezwę. Ale sama tego pożałujesz.

Podszedłem do wideofonu i dotknąłem na chybił trafił kilku przycisków.

Byłem pewny, że nie uzyskam połączenia i Baby Jagi „nie będzie w domu”.

Przeliczyłem się jednak. Ekran wideofonu rozświetlił się, płonął coraz jaśniej, dało się słyszeć pstryknięcie – ktoś wcisnął odbiór na drugim końcu linii i zanim na ekranie pojawił się obraz, czyjś zaspany głos powiedział:

– Ambasada Marsjańska, słucham.

– I co, tatusiu, przyjdzie? – zawołała z sypialni Alicja.

– Ona już śpi – odparłem ze złością.

– Ambasada Marsjańska, słucham – powtórzył głos.

Odwróciłem się do wideofonu. Patrzył na mnie młody Marsjanin. Miał zielone oczy pozbawione rzęs.

– Przepraszam – powiedziałem. – Musiałem pomylić numer.

Marsjanin uśmiechnął się. Patrzył nie na mnie, lecz na coś za moimi plecami. No jasne, Alicja wygramoliła się z łóżka i stała boso na podłodze.

– Dobry wieczór – pozdrowiła Marsjanina.

– Dobry wieczór, dziewczynko.

– Czy to u was mieszka Baba Jaga?

Marsjanin spojrział na mnie pytającym wzrokiem.

– Wie pan – wyjaśniłem – Alicja nie może zasnąć i chciałem zadzwonić do Baby Jagi, żeby ją ukarała. Pomyliłem jednak numer.

Marsjanin znów się uśmiechnął.

– Dobranoc, Alicjo – powiedział. – Musisz iść spać, bo inaczej tatuś wezwie Babę Jagę.

Pożegnał się ze mną i przerwał połączenie.

– No, pójdziesz wreszcie spać? – spytałem. – Słyszałaś, co ci powiedział wujek z Marsa?

– Pójdę, pójdę. A zabierzesz mnie na Marsa?

– Jeśli będziesz grzeczna, to wybierzemy się tam latem.

Alicja wreszcie usnęła, a ja ponownie wziąłem się do pracy. Zasiedziałem się aż do pierwszej w nocy. Właśnie o pierwszej rozległ się przytłumiony dzwonek wideofonu. Nacisnąłem guzik. Patrzył na mnie Marsjanin z ambasady.

– Przepraszam bardzo, że niepokoję pana o tak późnej porze – powiedział – ale nie wyłączył pan wideofonu, więc pomyślałem, że jeszcze pan nie śpi.

– Słucham.

– Czy nie mógłby pan nam pomóc? – spytał. – Cała ambasada nie może zasnąć. Przewertowaliśmy wszystkie encyklopedie, przeczytaliśmy od deski do deski książkę wideofoniczną i nigdzie nie możemy znaleźć informacji, kim jest Baba Jaga i gdzie mieszka

BRONTI

Do Moskiewskiego Ogrodu Zoologicznego przywieziono jajo brontozaura. Znaleźli je turyści chilijscy w osypisku na brzegu Jeniseju. Jajo było prawie okrągłe i wspaniale zachowało się w wiecznej marzłoci. Specjaliści zbadali je i okazało się, że jest całkiem świeże. Postanowiono więc umieścić jajo w inkubatorze.

Rzecz jasna, prawie nikt nie wierzył w sukces, jednakże już po tygodniu zdjęcia rentgenowskie wykazały, że zarodek brontozaura rozwija się. Po ogłoszeniu tej rewelacji przez Interwizję do Moskwy zlecieli się zewsząd uczeni i korespondenci. Musieliśmy zarezerwować cały osiemdziesięciopiętrowy hotel „Wenus” przy ulicy Gorkiego. Ale nawet i on wszystkich nie pomieścił. Ośmiu tureckich paleontologów spało w mojej jadalni, ja ulokowałem się w kuchni z dziennikarzem z Ekwadoru, a dwie korespondentki czasopisma „Kobiety Antarktydy” urządziły się w sypialni Alicji.

Kiedy moja żona zadzwoniła wieczorem z Nukusa, gdzie właśnie budowała stadion, myślała, że pomyliła numer.

Wszystkie stacje telesatelitarne świata pokazywały jajo. Jajo z boku, jajo z przodu, szkielety brontozaurów i jajo...

Kongres kosmofilologów przyjechał w pełnym składzie na wycieczkę do Zoo. Tymczasem jednak zamknęliśmy dostęp do inkubatora i filologom pozostało tylko oglądanie białych niedźwiedzi i marsjańskich modliszek.

W czterdziestym szóstym dniu tej kołomyi jajo drgnęło. Siedzieliśmy wtedy z moim przyjacielem, profesorem Jakatą, obok klosza, pod którym znajdowało się jajo, i piliśmy herbatę. Przestaliśmy już wierzyć, iż cokolwiek się zeń wykluje. Nie prześwietlaliśmy go więcej, by nie zaszkodzić naszemu „oseskowi”. Nie bawiliśmy się też w żadne prognozy, bo przecież nikt przed nami nie próbował wyhodować brontozaura.

I oto jajo drgnęło po raz drugi... pękło i z grubej, jakby skórzanej skorupy zaczęła wysuwać się czarna, podobna do węzowej, głowa. Zaterkotały automatyczne kamery filmowe. Wiedziałem, że nad drzwiami inkubatora zapaliło się czerwone światło. Na terenie ogrodu zoologicznego wybuchła istna panika.

W ciągu pięciu minut zebrali się wokół nas wszyscy, którzy powinni się tu znaleźć, jak również mnóstwo tych, którzy wcale być tu nie musieli, ale bardzo chcieli. Od razu zrobiło się okropnie gorąco.

Wreszcie z jaja wylazło małe brontozaurzątko.

- Tatusiu, jak on się nazywa? – usłyszałem nagle znajomy głos.
- Alicja! – Byłem zaskoczony. – Jak się tutaj dostałaś?
- Z korespondentami.

– Przecież dzieci nie mają tu wstępu.

– Ale ja mam. Powiedziałam wszystkim, że jestem twoją córką, i wpuścili mnie.

– Czy wiesz, że to brzydko wykorzystywać znajomości do celów osobistych?

– Ależ, tatusiu, malutkiemu Brontiemu może się nudzić bez dzieci, dlatego przyszedłam.

Machnąłem ręką. Nie miałem nawet chwili czasu, by wyprowadzić Alicję z wylęgarni. I nie było też w pobliżu nikogo, kto zgodziłby się to zrobić za mnie.

– Stój tutaj i nie ruszaj się na krok – rzuciłem jej i podbiegłem do klosza z nowo narodzonym brontozaurem.

Przez cały wieczór nie rozmawiałem z Alicją. Posprzeczałyśmy się. Zabroniłem jej przychodzić do wylęgarni, na co odpowiedziała, że nie może mnie posłuchać, ponieważ żal jej Brontiego. I nazajutrz znów się tam przekradła, wraz z kosmonautami ze statku „Jowisz-8”. Kosmonauci byli bohaterami i nikt nie mógł im zabronić wstępu.

– Dzień dobry, Bronti – powiedziała podchodząc do klosza.

Brontozaur spojrzał na nią przelotnie.

– Czyje to dziecko? – spytał surowo profesor Jakata.

Omal nie zapadłem się pod ziemię.

Alicja nie da sobie jednak w kaszę dmuchać.

– Nie podobam się panu? – wypaliła.

– Ależ skąd, wręcz przeciwnie... Myślałem po prostu, że się zgubiłaś... – Profesor zupełnie nie umiał rozmawiać z małymi dziewczynkami.

– Dobrze – powiedziała Alicja. – Zajrzę do ciebie jutro, Bronti. Nie tęsknij.

Alicja rzeczywiście przyszła nazajutrz. I przychodziła prawie codziennie. Wszyscy się do niej przyzwyczaili i przepuszczali ją bez dyskusji. Umyłem od tego ręce. W końcu nasz dom sąsiaduje z ogrodem zoologicznym, nie trzeba przechodzić przez ulicę, zresztą zawsze znalazł się ktoś, kto szedł w tę samą stronę.

Brontozaur rósł szybko. Po miesiącu miał już dwa i pół metra długości i przeniesiono go do specjalnie zbudowanego pawilonu. Bronti łaził po zagrodzie i żuł młode pędy bambusa oraz banany. Bambus sprowadzano raketami towarowymi z Indii, bananów zaś dostarczał nam sowchoz „Melioracja”. Pośrodku wybiegu, w betonowym basenie pluskała ciepła słonawa woda. Taką właśnie lubił brontozaur.

I nagle stracił apetyt. Przez trzy dni nawet nie tknął bambusa ani bananów. Czwartego dnia położył się na dnie basenu, opierając na plastikowym brzegu małą czarną główkę. Wszystko wskazywało na to, że ma zamiar umrzeć. Nie mogliśmy do tego dopuścić. Przecież mieliśmy tylko jednego brontozaura. Zwołaliśmy najlepszych w świecie lekarzy, ale nawet oni okazali się bezradni. Bronti nie chciał tknąć niczego – ani trawy, ani witamin, ani brzoskwiń, ani mleka.

Alicja nie wiedziała nic o tym nieszczęściu. Wysłałem ją do babci do Wnukowa. Ale czwartego dnia włączyła telewizor akurat w momencie, gdy podawano wiadomość o pogorszeniu się stanu zdrowia brontozaura. Nie mam pojęcia, jakim cudem zdołała przekonać babcię, ale jeszcze tego samego ranka wbiegła do pawilonu.

– Tatusiu! – zawołała. – Jak mogłeś ukrywać to przede mną? Jak mogłeś?...

– Później, Alicjo, później – odparłem. – Mam teraz naradę.

Rzeczywiście mieliśmy naradę. I to trwającą nieprzerwanie od trzech dni.

Alicja odeszła bez słowa. A po chwili usłyszałem okrzyk kogoś stojącego obok mnie.

Odwróciłem się i ujrzałem moją córkę, która przelazszy przez barierę zagrody, znajdowała się tuż przy głowie brontozaura. Trzymała w ręku bułkę.

– Jedz, Bronti – mówiła – bo cię całkiem głodem zamorzą. Mnie na twoim miejscu też znudziłyby się banany.

Zanim zdążyłem podbiec do bariery, stało się coś niewiarygodnego. Coś, co rozsławiło imię Alicji i mocno nadwerężyło reputację naszą, biologów.

Brontozaur podniósł głowę, spojrział na Alicję i ostrożnie wziął bułkę z jej rąk.

– Spokojnie, tatusiu – pogroziła mi palcem Alicja, widząc, że chcę przeskoczyć przez ogrodzenie. – Bronti się ciebie boi.

– Nic jej nie robi – odezwał się profesor Jakata.

Sam wiedziałem, że jej nic nie robi. Ale co będzie, jeśli tę scenę zobaczy babcia?

Później uczeni spierali się bardzo długo. I spierają się do tej pory. Jedni twierdzą, że Bronti potrzebował odmiany codziennego menu, inni zaś – że miał większe zaufanie do Alicji niż do nas. Tak czy owak kryzys minął.

Teraz Bronti jest już całkiem oswojony. Ma około trzydziestu metrów długości i największą przyjemność sprawia mu wożenie na swym grzbiecie Alicji. Jeden z moich asystentów skonstruował specjalną składaną drabinkę i ledwie Alicja wchodzi do pawilonu, Bronti wyciąga długachną szyję, trójkątnymi zębami bierze z kąta drabinkę i zgrabnie przystawia ją do swojego czarnego lśniącego boku.

Potem wozi Alicję po pawilonie albo pływa z nią w basenie.

TUTEKSOWIE

Zgodnie z obietnicą zabrałem Alicję na Marsa, gdy udawałem się tam na konferencję.

Dolecieliśmy szczęśliwie. Osobiście niezbyt dobrze znoszę stan nieważkości, dlatego wolałem nie ruszać się z fotela, natomiast moja córka przez cały czas „pływała” po statku i raz nawet musiałem ściągnąć ją z sufitu kabiny sterowniczej, gdyż koniecznie chciała wcisnąć czerwony guzik, a ściślej hamulec bezpieczeństwa. Ale piloci niezbyt się na nią gniewali.

Na Marsie zwiedziliśmy miasto, wybraliśmy się z turystami na pustynię, byliśmy w Wielkich Pieczarach. Potem jednak nie miałem czasu zajmować się Alicją i oddałem ją na tydzień do internatu. Na Marsie pracuje wielu naszych specjalistów, toteż Marsjanie pomogli nam zbudować ogromną kopułę dziecięcego miasteczka. W miasteczku są świetne warunki – rosną tam prawdziwe ziemskie drzewa. Od czasu do czasu dzieci jeżdżą na wycieczki. Nakładają wówczas małe skafandry i wychodzą gęsiego na zewnątrz.

Tatiana Pietrowna – tak nazywa się wychowawczyni – powiedziała, że mogę się nie martwić. To samo usłyszałem od Alicji. Rozstaliśmy się więc na tydzień.

A trzeciego dnia Alicja przepadła.

Był to fakt absolutnie wyjątkowy. Zaczniemy od tego, że w całej historii internatu nigdy się nie zdarzyło, by ktoś zaginął czy choćby zniknął na dłużej niż dziesięć minut. W mieście marsjańskim nikt nie ma prawa się zawieruszyć. Tym bardziej ziemskie dziecko ubrane w skafander. Przecież pierwszy napotkany Marsjanin przyprowadzi je z powrotem. A roboty? A Służba Bezpieczeństwa? Nie, nie można się zgubić na Marsie.

A jednak Alicja się zgubiła.

Nie było jej już już około dwóch godzin, gdy wywołano mnie z konferencji i przywieziono do internatu marsjańskim skoczkiem terenowym. Musiałem mieć bardzo strapioną minę, bo gdy się zjawiłem pod kopułą, zapadło pełne współczucia milczenie.

Kogóż tam nie było! Wszyscy nauczyciele i roboty z internatu, dziesięciu Marsjan w skafandrach (muszą wkładać skafandry wchodząc pod kopułę, do ziemskiej atmosfery), piloci gwiazdolotów, szef ratowników Nazarian, archeolodzy...

Okazało się, że stacja telewizyjna miasta już od godziny nadawała co trzy minuty komunikat o zaginięciu małej Ziemiarki. Wszystkie wideofony Marsa płonęły sygnałami alarmowymi. W szkołach marsjańskich przerwano zajęcia, a uczniowie podzieleni na grupy przeczesywali miasto i okolice.

Zniknięcie Alicji zauważono, gdy tylko jej grupa wróciła ze spaceru. Od tego czasu upłynęły dwie godziny. A tlenu w skafandrze starcza na trzy.

Znając moją córkę spytałem, czy przeszukano ustronne miejsca w samym internacie lub też w pobliżu. Może znalazła marsjańską modliszkę i obserwuje ją...

Odpowiedziano mi, że w mieście nie ma piwnic, a wszystkie zakamarki zostały przetrząśnięte przez uczniów oraz studentów marsjańskiego uniwersytetu, którzy znają te miejsca jak własną kieszeń.

Rozzłościłem się na Alicję. Na pewno zaraz wyjdzie z niewinną minką z za jakiegoś węgla. A przecież jej zachowanie narobiło w mieście więcej rwetesu niż burza piaskowa. Wszyscy Marsjanie i wszyscy Ziemianie zamieszkujący miasto zostali oderwani od swoich spraw, postawiono na nogi wszystkie służby ratownicze. Poza tym zacząłem się już serio niepokoić. Ta przygoda mogła się dla niej skończyć fatalnie.

Co chwilę nadchodziły komunikaty ekip poszukiwawczych: „Uczniowie drugiego marsjańskiego progimnazjum przetrząsnęli stadion. Alicji ani śladu”, „Fabryka marsjańskich słodczy informuje, że dziecka na jej terenie nie ma”...

„Może rzeczywiście wpadło jej do głowy, by wybrać się na pustynię? – zastanawiałem się. – W mieście już by ją odszukano. Ale pustynia... Marsjańskie pustynie nie są jeszcze dokładnie zbadane i ktoś może tak się zabłąkać, że i przez dziesięć lat go nie odnajdą. Z drugiej strony najbliższe rejony pustyni zostały już przeszukane przy użyciu skoczków terenowych...”

– Jest! – zawołał nagle Marsjanin w granatowym chitonie, patrząc w kieszonkowy telewizor,

– Gdzie? Jak? Gdzie? – zafalował tłum zebrany pod kopułą.

– Na pustyni. Około dwustu kilometrów stąd.

– Dwustu?!

„No pewnie – pomyślałem – przecież oni nie znają Alicji. Można się tego było po niej spodziewać”.

– Dziewczynka czuje się dobrze i zaraz tu będzie.

– A w jaki sposób tam dotarła?

– Rakieta pocztową.

– Wiadomo! – jęknęła Tatiana Pietrowna i rozplakała się. Ona denerwowała się najbardziej.

Wszyscy czym prędzej zaczęli ją pocieszać.

– Przechodziliśmy obok poczty głównej, gdzie akurat ładowano automatyczne rakiety pocztowe.

Nie zwróciłam na to uwagi. Przecież je widzimy ze sto razy dziennie!

A kiedy w dziesięć minut później marsjański lotnik wprowadził Alicję, wszystko się wyjaśniło.

– Weszłam tam, żeby zabrać list – poinformowała Alicja.

– Jaki list?

– Przecież powiedziałaś, tatusiu, że mama napisze do nas list. Zajrzałam więc do rakiety, żeby go stamtąd zabrać.

– Dostałaś się do środka?

– Oczywiście. Właz był otwarty i leżało tam mnóstwo listów.

– A potem?

– Ledwie zdążyłam wejść, drzwi się zamknęły i rakieta wystartowała. Zaczęłam szukać przycisku, by ją zatrzymać. Było tam jednak całe mnóstwo przycisków. Gdy nacisnęłam ostatni, rakieta zniżyła lot, w chwilę później drzwi się otworzyły. Wyszłam, a tu dookoła tylko piasek, nie ma cioci Tani, nie ma dzieci.

– Nacisnęła guzik natychmiastowego lądowania! – z zachwytem w głosie oznajmił Marsjanin w granatowym chitonie.

– Troszkę sobie popłakałam, ale później postanowiłam wracać.

– A jak się domyśliłaś, w którą stronę iść?

– Wdrapałam się na pagórek, żeby się rozejrzeć. Ze szczytu nie było nic widać, ale zauważyłam, że w pagórku są drzwi, weszłam więc do pokoiku i tam usiadłam.

– Jakie drzwi? – zdziwił się Marsjanin. – W tym rejonie jest tylko goła pustynia.

– Właśnie że nie, były tam drzwi i pokój. A w pokoju stoi duży kamień. W kształcie piramidy egipskiej, tyle że w zmniejszeniu. Pamiętasz, tatusiu, czytałeś mi książkę o piramidach egipskich?

Nieoczekiwane słowa Alicji wywołały silne poruszenie wśród Marsjan i szefa ratowników Nazariana.

– Tuteksowie! – wykrzyknęli.

– Gdzie odnaleziono dziewczynkę? Współrzędne!

I połowę obecnych dosłownie jakby wymiotło.

Tatiana Pietrowna, która osobiście zaczęła karmić Alicję, opowiedziała mi, że wiele tysięcy lat temu istniała na Marsie tajemnicza cywilizacja Tuteksów. Pozostały po niej wyłącznie kamienne piramidki. Dotychczas zarówno Marsjanom, jak i archeologom ziemskim nie udało się odnaleźć ani jednej budowli Tuteksów – tylko piramidki rozproszone po pustyni i zasypane piaskiem. I oto Alicja przypadkowo natrafiła na budowlę Tuteksów.

– Widzisz, znów ci się poszczęściło – powiedziałem. – Mimo to bezzwłocznie zabieram cię do domu. Tam możesz się gubić, ile dusza zapagnie. Bez skafandra.

– Ja również wolę gubić się w domu – przytaknęła Alicja.

...Po dwóch miesiącach przeczytałem w czasopiśmie „Dookoła Świata” artykuł pod tytułem „Tacy właśnie byli Tuteksowie”. Opowiadał, jak to w końcu udało się odnaleźć na marsjańskiej pustyni niezwykle cenne zabytki kultury Tuteksów. Obecnie uczeni pracują nad rozszyfrowaniem odkrytych w pomieszczeniu inskrypcji. Ale co najciekawsze – na piramidce znajdował się wspaniale zachowany wizerunek Tuteksa. I w czasopiśmie zamieszczono fotografię piramidki z owym portretem.

Portret wydał mi się znajomy. Owładnęło mną straszliwe podejrzenie.

– Alicjo – powiedziałem groźnie – przyznaj się, czy nie rysowałaś czegoś przypadkiem na piramidce, wówczas gdy się zgubiłaś na pustyni?

Zanim Alicja odpowiedziała na moje pytanie, podeszła i uważnie przyjrzała się fotografii w „Dookoła Świata”.

– Wszystko się zgadza. To twój portret, tatulku. Ale nie narysowałam go, tylko wydrapałam kamyczkiem. Strasznie mi się nudziło...

NIEŚMIAŁY ŚWISZCZAK

Alicja ma wielu przyjaciół wśród zwierząt: dwa kotki, marsjańską modliszkę, która mieszka pod jej łóżkiem i nocami naśladuje bałałajkę, języka, który był u nas przez jakiś czas, a potem wrócił do lasu, brontozaura Brontiego, którego odwiedza w ogrodzie zoologicznym, i wreszcie psa sąsiadów, Rekxa, moim zdaniem karłowatego jamnika niezbyt czystej krwi.

Jeszcze jeden zwierzak przybył Alicji, gdy wróciła pierwsza ekspedycja z Syriusza.

Alicja poznała kapitana Połoskowa na pochodzie pierwszomajowym. Nie mam pojęcia, jakim sposobem to załatwiła – ma rozległe znajomości. Tak czy owak znalazła się wśród dzieci, które wręczały kosmonautom kwiaty. Wyobraźcie sobie moje zdumienie, gdy nagle zobaczyłem na ekranie telewizora Alicję, jak biegnie przez plac z większym od niej bukietem błękitnych róż, które podaje samemu Połoskowowi.

Połoskow wziął ją na ręce, razem obejrzelili cały pochód, a potem dokądś poszli.

Alicja wróciła do domu dopiero wieczorem z dużą czerwoną torbą w ręku.

– Gdzieś ty się podziewała?

– Najbardziej to byłam w przedszkolu – odparła

– A najmniej?

– Poza tym zaprowadzili nas na plac Czerwony.

– A potem?

Alicja zrozumiała, że oglądałem telewizję, odpowiedziała więc:

– Jeszcze mnie poproszono, żebym złożyła życzenia kosmonautom.

– Kto cię o to prosił?

– Jeden pan, nie znasz go.

– Alicjo, czy nie zetknęłaś się do tej pory z terminem „kara cielesna”?

– Wiem, to chodzi o klapsa. Ale myślę, że tak bywa tylko w bajkach.

– Obawiam się, że będę zmuszony obrócić bajkę w rzeczywistość. Dlaczego wsadzasz nos wszędzie tam gdzie nie trzeba?

Alicja już miała zamiar się obrazić, gdy nagle czerwona torba w jej ręku poruszyła się z lekka.

– A to co takiego?

– To prezent od Połoskowa.

– Naciągnęłaś go na prezent! Tego jeszcze brakowało!

– Na nic go nie naciągałam. To jest świszczak. Połoskow przywiózł go z Syriusza. Mały świszczak, można powiedzieć świszczątko.

I Alicja ostrożnie wydobłała z torby małego zwierzaczka o sześciu łapkach, podobnego do kangurka. Świszczątko miało duże, wypukłe jak u ważki oczy. Obracało nimi szybko, wczepiwszy się mocno górną parą łapek w ubranie Alicji.

– Widzisz, już mnie polubił – oświadczyła. – Przygotuję mu miejsce do spania.

Znałem historię świszczaków. Wszyscy ją znali, a szczególnie my, biolodzy. Miałem w ogrodzie zoologicznym już pięć świszczaków i z dnia na dzień oczekiwaliśmy powiększenia rodziny.

Połoskow z Bauerum odkryli świszczaki na jednej z planet w systemie Syriusza. Te miłe, nieszkodliwe zwierzątka, które nie odstępowały na krok kosmonautów, okazały się ssakami, choć zachowaniem przypominały raczej nasze pingwiny. Ta sama spokojna ciekawość i wieczne próby włożenia w najbardziej nieodpowiednie miejsca. Bauer musiał nawet spieszyć z pomocą świszczątka, które omal nie utonęło w dużej puszcze skondensowanego mleka. Ekspedycja przywiozła cały film o świszczakach, który cieszył się wielkim powodzeniem we wszystkich kinach i wideoramach.

Niestety, członkowie ekspedycji nie mieli czasu poobserwować ich dokładniej. Świszczaki przychodziły do ich obozu rankiem, a z zapadnięciem zmroku znikwały, kryły się pośród skał.

Kiedy zaś ekspedycja była już w drodze powrotnej, Połoskow znalazł w jednej z komór trzy świszczaki, które prawdopodobnie zabłądziły na statku. Wprawdzie kapitan pomyślał w pierwszej chwili, że świszczaki przemycił któryś z uczestników ekspedycji, jednak zdumienie jego współtowarzyszy było tak szczere, iż uznał swoje podejrzenia za bezpodstawne.

Obecność świszczaków spowodowała masę dodatkowych problemów. Po pierwsze, mogły się okazać źródłem nieznanymi infekcji. Po drugie – zginać w drodze, nie wytrzymać zmiany ciężenia. Po trzecie, nikt nie miał pojęcia, czym się żywią... I tak dalej.

Na szczęście wszystkie obawy okazały się płonne.

Świszczaki doskonale zniosły dezynfekcję, posłusznie zjadały rosół i konserwowe owoce. Z tego powodu zyskały sobie śmiertelnego wroga w osobie Bauera, który lubił kompot, a w ostatnich miesiącach ekspedycji musiał z niego zrezygnować – zjedli go „gapowicze”.

Podczas długiej podróży przyszło na świat sześcioro świszcząt. Tak więc statek przybył na Ziemię wypełniony po brzegi świszczakami i świszczątkami. Okazały się zresztą bardzo pojętne i nikomu, oprócz Bauera, nie przysporzyły żadnych kłopotów czy niedogodności.

Pamiętam historyczny moment przybycia ekspedycji na Ziemię, kiedy pod ostrzałem kamer filmowych i telewizyjnych otworzył się luk i zamiast kosmonautów pojawiło się w nim dziwne stworzenie o sześciu łapach. A za nim jeszcze kilka identycznych, tyle że nieco mniejszych. Po całej Ziemi przetoczyło się pełne zdumienia a-a-ach! I urwało się w tym samym momencie, kiedy za świszczakami ze statku wyszedł uśmiechnięty Połoskow. Na rękach niósł świszczątka umazane skondensowanym mlekiem...

Część zwierzątek trafiła do ogrodu zoologicznego, niektóre zostały u przywiązanych już do nich kosmonautów. Świszczak Połoskowa trafił w końcu do Alicji. Bóg jeden wie, jakim sposobem zdołała oczarować tego surowego kosmonautę.

Świszczak mieszkał sobie w dużym koszu obok łóżka Alicji, nie jadał mięsa, nocami spał, zaprzyjaźnił się z kociętami, bał się modliszki i cichutko mrucał, gdy Alicja głąskała go lub opowiadała o swych sukcesach i wpadkach.

Rósł szybko i po upływie dwóch miesięcy zrównał się z Alicją. Chodzili na spacerki do ogródka po przeciwnej stronie ulicy i Alicja nigdy nie zakładała mu obroży.

– A jeśli kogoś przestraszy? – martwiłem się. – Albo wpadnie pod samochód?

– Ależ nie, nikogo nie przestraszy. Poza tym obraziłby się, gdybym mu założyła obrożę. Jest taki wrażliwy.

Pewnego razu Alicja nie mogła zasnąć. Kaprysiła i domagała się, żeby poczytać jej o doktorze Ojboli.

– Niestety, dzisiaj nic, córeczko – powiedziałem. – Mam pilną pracę. Zresztą pora już, żebyś sama czytała książki.

– Ale to nie książka, tylko mikrofilm, a tam są małe literki.

– Przecież jest dźwiękowy. Nie masz ochoty czytać, to włącz dźwięk.

– Nie chce mi się wstawać, tak zimno.

– Więc poczekaj. Skończę pisać i włączę.

– W takim razie poproszę świszczaka.

– To poproś – uśmiechnąłem się.

Po chwili usłyszałem z sąsiedniego pokoju łagodny głos lektorki: „...Poza tym miał Ojboli psa Hauhau”.

To znaczy, że Alicja jednak wstała, żeby włączyć dźwięk.

– Natychmiast wracaj do łóżka! – krzyknąłem. – Przeziębisz się.

– Jestem w łóżku.

– To brzydko tak oszukiwać. Więc kto włączył mikrofilm?

– Świszczak.

Nie chciałem bardzo, żeby moja córka wyrosła na kłamczuchę. Odłożyłem swoją pisaninę i poszedłem przeprowadzić z nią poważną rozmowę.

Na ścianie wisiał ekran. Świszczak manipulował przy mikroprojektorze, na ekranie zaś nieszczęśliwe zwierzęta tłoczyły się pod drzwiami dobrego doktora Ojboli.

– Jakim sposobem zdołałaś go tak wytresować? – Byłem szczerze zdziwiony.

– Wcale go nie tresowałam. On sam wszystko potrafi.

Świszczak przebierał w zmieszaniu przednimi łapkami. Zapadło niezręczne milczenie.

– A jednak... – wymówiłem wreszcie.

– Proszę wybaczyć – zabrzmiał wysoki, z lekka ochryply głos. To mówił Świszczak. – Ale ja rzeczywiście sam się nauczyłem. Przecież to nic trudnego.

– Przepraszam... – wykrztusiłem.

– To nic trudnego – powtórzył Świszczak. – Przedwczoraj pan sam wyświetlał Alicji bajkę o królu modliszek.

– Nie, chodzi mi o coś innego. Jak pan się nauczył mówić?

– Ćwiczyliśmy wspólnie – wyjaśniła Alicja.

– Nic nie rozumiem! Dziesiątki biologów pracują ze świszczakami i do tej pory nie wydusili z nich ani słowa.

– A nasz Świszczak umie również czytać. Prawda?

– Trochę umiem.

– Opowiada mi tyle ciekawych rzeczy...

– Bardzo się z pańską córką zaprzyjaźniliśmy.

– Więc czemu milczał pan przez tyle czasu?

– Wstydził się – odparła za Świszczaka Alicja.

Świszczak spuścił oczy.

O PEWNYM WIDZIADLE

Latem mieszkamy we Wnukowie. Jest to bardzo wygodne, ponieważ chodzi tam jednoszynowa kolej, a od stacji mamy tylko pięć minut spacerkiem do daczki. W lesie, po drugiej stronie drogi, rosną koźlaki – niestety, jest ich znacznie mniej niż grzybiarzy.

Przyjeżdżałem na daczę prosto z ogrodu zoologicznego i zamiast odpocząć wpadałem natychmiast w wir tamtejszego życia. Główną postacią był Kola, chłopiec z sąsiedztwa, który słynął na całe Wnukowo z tego, że zabierał dzieciom zabawki. Przyjeżdżał nawet specjalnie psycholog z Leningradu, który napisał potem dysertację na temat Koli.

Psycholog badał go, a Kola tymczasem opychał się konfiturami i marudził przez okrągłą dobę. Przywiozłem mu z miasta trzykołową rakietę fotonową, żeby choć trochę przestał kwękać.

Poza tym mieszkała tam babcia Koli, która uwielbiała rozmowy o genetyce i pisała powieść o Mendlu, babcia Alicji, chłopiec Jura i jego mama Karma, trzech bliźniaków z sąsiedniej ulicy, wyśpiewujących chórem pod moimi oknami, i wreszcie – widziadło.

Widziadło mieszkało gdzieś pod jabłonią i pojawiło się stosunkowo niedawno. Wierzyła w nie Alicja oraz babcia Koli. Więcej nikt.

Siedzieliśmy z Alicją na tarasie i czekaliśmy, aż nowy robot ze Szczelkowskiej Fabryki ugotuje kaszę mannę. Już dwa razy się przepalał i oboje z Alicją pomstowaliśmy na fabrykę, ale zająć się sami gospodarzeniem nie mieliśmy ochoty, a babcia wybrała się do teatru.

– Przyjdzie dzisiaj – oznajmiła Alicja.

– Kto taki?

– Mój widziadeł.

– Widziadło, ono – poprawiłem ją automatycznie, nie spuszczać wzroku z robota.

– Zgoda – przystała Alicja. – Niech będzie mój widziadło. A Kola zabrał bliźniakom orzechy.

Czy to nie dziwne?

– Dziwne. Więc co mówiłaś o widziadle?

– Jest miły.

– Ty wszystkich uważasz za miłych.

– Oprócz Koli.

– No, oprócz Koli... Myślę, że gdybym przywiózł zmię zionącą ogniem, też byś się z nią zaprzyjaźniła.

– Z pewnością. A czy ona jest dobra?

– Nikomu dotąd nie udało się z nią o tym pogadać. Pochodzi z Marsa i strzyka wrzącym jadem.

– Musiał ją ktoś skrzywdzić. Czemu wywieźliście ją z Marsa?

Cóż miałem na to odpowiedzieć? Była to najszczerza prawda. Nikt nie pytał zmi o zdanie, kiedy zabierano ją z Marsa. A ona pożarła w drodze ulubionego psa załogi statku „Kaługa”, za co

znieawidzili ją wszyscy kosmonauci.

– No więc, co z tym widziadłem? Do czego jest podobne? – zmieniłem temat.

– Pojawia się dopiero wtedy, gdy jest ciemno.

– To oczywiste. Dzieje się tak od niepamiętnych czasów. Nasłuchiłaś się bajek od babci Koli...

– Babcia Koli opowiada mi wyłącznie o historii genetyki. Jak spostonowano imię Mendla.

– A właściwie, jak reaguje twoje widziadło na pianie koguta?

– Wcale nie reaguje. Czemu pytasz?

– Ponieważ szanująca się zjawa powinna zniknąć bluzgając przekleństwami, gdy o świtanu zapieje kur.

– Zapytam go dzisiaj o tego kura.

– Świetnie.

– Pójdę spać trochę później. Muszę koniecznie porozmawiać z widziadłem.

– Proszę bardzo. Dobrze, pożartowaliśmy sobie co nieco, i starczy. Robot całkiem już rozgotował kaszę.

Alicja zasiadła do kaszy, ja zaś do zeszytów naukowych Gujańskiego Ogrodu Zoologicznego. Był tam ogromnie interesujący artykuł o kśaczach. Rewolucja w zoologii. Udało im się doprowadzić do rozmnożenia kśaczy w niewoli. Potomstwo rodziło się ciemnozielone, mimo że rodzice mieli pancerze błękitne.

Ściemniło się.

– No, idę – powiedziała Alicja.

– Dokąd to?

– Do widziadła. Przecież się zgodziłeś.

– Myślałem, że żartujesz. Ale jeśli masz taką ochotę wyjść do ogrodu, to proszę, włóż tylko sweter, bo zrobiło się chłodno. I nie chodź dalej niż do jabłoni.

– A po co? Przecież on właśnie tam na mnie czeka.

Alicja pobiegła do ogrodu. Obserwowałem ją kątem oka. Nie chciałem wtrącać się do świata jej fantazji. Niech tam sobie krążą wokół niej widziadła, czarownice, nieustraszeni rycerze, łagodne olbrzymy z baśniowej błękitnej planety... Byle tylko kładła się spać o właściwej porze i przyzwyczajenie jadła.

Zgasilem światło na werandzie, żebym mógł swobodnie obserwować Alicję. Podeszła właśnie do starej gałęziastej jabłoni i stanęła pod nią.

I nagle... Od pnia oderwał się niebieskawy cień i ruszył w stronę Alicji. Jak gdyby płynął w powietrzu nie dotykając trawy.

W chwilę później schwyciwszy jakiś ciężki przedmiot zbiegałem już po schodach przeskakując po trzy stopnie. To już przestało mi się podobać. Albo to czyjś niewybredny żart, albo... Nie przychodziło mi jakoś do głowy żadne inne „albo”.

– Ostrożnie, tatusiu! – wymówiła głośnym szeptem Alicja słysząc moje kroki. – Przestraszysz go.

Chwyciłem ją za rękę. Przede mną rozplýwał się w powietrzu niebieskawy kształt.

– Tatku, coś ty zrobił! Omal go już nie uratowałam!

Alicja beczała wniebogłoso, gdy niosłem ją na taras.

Cóż to właściwie było pod jabłonią? Halucynacja?

– Czemuś to zrobił? – płakała. – A obiecałeś...

– Nic nie zrobiłem – odparłem. – Widziadła nie istnieją.

– Przecież sam go widziałeś. Dlaczego kłamiesz? On nie znosi ruchu powietrza. Czy nie rozumiesz, że trzeba się do niego zbliżyć powoli, żeby go powiew nie zdmuchnął.

Nic wiedziałem, co na to odpowiedzieć. Jednego byłem pewny – gdy tylko Alicja zaśnie, wyjdę z latarką i przeszukam cały ogród.

– Zostawił mi list dla ciebie. Ale ci go nie dam.

– Jaki list?

– Nie dam.

Dopiero teraz zauważyłem, że ściska w piątce jakąś karteczkę.

Alicja popatrzyła na mnie, ja na nią, wreszcie jednak podała mi kartkę. Znajdował się na niej sporządzony moim charakterem pisma harmonogram karmienia czerwonych krumsów. Szukałem tej kartki od trzech dni.

– Alicjo, gdzie znalazłaś moją notatkę?

– Odwróć ją. Widziadło nie miało na czym pisać, dałam mu więc twoją kartkę.

Na odwrotnej stronie było napisane po angielsku nie znanym mi charakterem pisma:

„Szanowny profesorze!

Ośmielam się zwrócić do Pana, ponieważ znalazłem się w nader nieprzyjemnej sytuacji, z której nie mogę się wyplątać bez pomocy osób postronnych. Niestety nie mogę również opuścić koła o promieniu jednego metra, a środkiem tego koła jest pańska jabłoń. Zobaczyć mnie w moim żalonym stanie można wyłącznie w ciemności.

Dzięki Pańskiej córce, istocie wrażliwej i uczynnej, udało mi się w końcu nawiązać kontakt ze światem zewnętrznym.

Ja, profesor Kuraki, padłem ofiarą nieudanego eksperymentu. Robiłem doświadczenia w dziedzinie transmisji substancji na dalekie odległości. Udało mi się w ten sposób przesłać z Tokio do Paryża dwie indyczki i kota. Zostały tam pomyślnie odebrane przez moich kolegów. Jednakże tego dnia, gdy zdecydowałem się przeprowadzić eksperyment na sobie, akurat w trakcie doświadczenia przepaliły się w pracowni korki i zabrakło energii koniecznej do przemieszczenia. Rozproszyłem się w przestrzeni, przy czym moja najbardziej skondensowana część znajduje się w rejonie Pańskiej czcigodnej daczy. W tym żalonym stanie znajduję się już drugi tydzień i bez wątplenia uznano mnie za zmarłego.

Błagam Pana, natychmiast po otrzymaniu mego listu proszę wysłać telegram do Tokio z poleceniem, by naprawiono korki w mojej pracowni. Wówczas będę mógł się zmaterializować.

Z góry wdzięczny

Kuraki”

Długo wpatrywałem się w ciemność wokół jabłoni. Następnie zbiegłem z tarasu i podszedłem bliżej. Jasnoniebieska, ledwie widoczna poświata kołysała się lekko obok pnia. Przyjrząwszy się uważnie, rozróżniłem zarys ludzkiej postaci. „Widziadło” wyciągało ręce ku niebu, jak mi się wydało, błagalnym gestem.

Nie tracąc już ani chwili pobiegłem na stację kolejową i stamtąd zadzwoniłem do Tokio.

Cała ta operacja zajęła dziesięć minut.

Już w drodze powrotnej uprzytomniłem sobie, że zapomniałem dopilnować, żeby Alicja położyła się spać. Przyspieszyłem kroku.

Na werandzie paliło się światło.

Alicja demonstrowała właśnie swój zielnik oraz kolekcję motyli niewysokiemu wychudłemu Japończykowi. Trzymał on w rękach ronderek i nie spuszczał wzroku ze skarbów Alicji, powoli jadł kaszę mannę.

Na mój widok gość skłonił się nisko i rzekł:

- Jestem profesor Kuraki, pański dozgonny sługa. Pan i pańska córka uratowaliście mi życie.
- Tak, tatusiu, to mój widziadło – powiedziała Alicja. – Teraz w niego wierzysz?
- Wierzę – odparłem. – Miło mi pana poznać.

ZAGINIENI GOŚCIE

Przygotowania do wizyty Labucylców przebiegały uroczyście. Nigdy dotąd nie odwiedzili Układu Słonecznego goście z tak odległej gwiazdy.

Sygnaly Labucylców pierwsza odebrała stacja na Plutonie, a po trzech dniach łączność nawiązało również wandelskie radioobserwatorium.

Labucylcy byli jeszcze daleko, gdy kosmodrom Szeremietiewo-4 był już całkowicie przygotowany na ich przyjęcie. Dziewczęta z „Czerwonej Róży” przystroiły go girlandami, a słuchacze Wyższych Kursów Poezji przeprowadzili próby montażu literacko-muzycznego. Wszystkie ambasady zarezerwowały miejsca na trybunach, a korespondenci nocowali w bufecie kosmodromu.

Alicja mieszkała nie opodal, na dacy we Wnukowie i kompletowała swój zielnik. Chciała zebrać więcej okazów od Wasi Szpicą z grupy starszaków. Dlatego też nie brała udziału w przygotowaniach do uroczystego powitania. Nic nawet o nich nie wiedziała.

Ja również nie uczestniczyłem w nich bezpośrednio. Moja praca miała zacząć się później, po wylądowaniu.

Tymczasem wypadki przybrały nieoczekiwany obrót.

8 marca Labucylcy poinformowali, że wchodzą na orbitę okołoziemską. Mniej więcej w tym czasie nastąpił tragiczny zbieg okoliczności. Zamiast statku labucylskiego stacje naprowadzające namierzyły zaginionego przed dwoma laty szwedzkiego satelitę Nobel-29. Kiedy zauważono pomyłkę, okazało się, że statek labucylski zniknął. Podszedł do lądowania i łączność została czasowo przerwana.

9 marca o godzinie 6.33 Labucylcy powiadomili, że wylądowali w rejonie 55°20' szerokości północnej i 37°40' długości wschodniej zgodnie z ziemskim układem współrzędnych, z możliwą tolerancją do 15', czyli w pobliżu Moskwy.

Potem łączność została przerwana i nie udało się jej ponownie nawiązać z wyjątkiem jednego przypadku, o którym opowiem później. Okazuje się, że promieniowanie ziemskie miało zgubny wpływ na przyrządy Labucylców.

Natychmiast skierowano w rejon lądowania setki samochodów i tysiące ludzi. Drogi roily się od ludzi poszukujących Labucylców. Kosmodrom Szeremietiewo-4 opustoszał. W bufecie nie pozostał ani jeden korespondent. Podmoskiewskie niebo było zatłoczone helikopterami, wirolotami, ornitopterami i innymi maszynami latającymi. Zdawałoby się, że to chmary ogromnych komarów zawisły nad naszą planetą.

Gdyby statek labucylski zapadł się nawet pod ziemię, musiano by go odnaleźć.

Ale go nie odnaleziono.

Ani jeden z okolicznych mieszkańców nie widział lądującego statku, co było tym dziwniejsze, że

w owym czasie niemal wszyscy mieszkańcy Moskwy i okolic wpatrywali się w niebo.

A więc nastąpiła pomyłka.

Pod wieczór, gdy wróciłem z pracy na daczę, całe normalne życie planety zostało zakłócone. Ludzie byli zaniepokojeni, czy gościom coś się nie przytrafiło.

– A może – dyskutowano w pociągu – są z antymaterii i wyparowali przy zetknięciu z ziemską atmosferą?

– Bez wybuchu, bez śladu? Bzdura!

– A cóż my wiemy o właściwościach antymaterii?

– Któż więc przekazał nam drogą radiową wiadomość o wylądowaniu?

– Może jakiś żartowniś?

– Niezły żartowniś! Z Plutonem też on rozmawiał?

– A może są niewidzialni?

– Musiałyby ich wykryć przyrządy...

Mimo to wersja o niewidzialności przybyszów zyskiwała coraz więcej zwolenników...

Siedziałem na werandzie i rozmyślałem: a może wylądowali obok, na sąsiednim polu? Stoją teraz, biedacy, przy swoim statku i dziwią się, czemu to ludzie nie okazują im zainteresowania. Jeszcze trochę, a obrażą się i odlecą...

Chciałem już zejść, by udać się na wspomniane pole, gdy ujrzałem sznureczek ludzi wynurzających się z lasu. Byli to mieszkańcy sąsiednich daczy. Trzymali się za ręce, jakby bawili się w dziecienną zabawę „stoi różyczka w czerwonym wieńcu”.

Zrozumiałem, że sąsiedzi, rozumując tak samo jak ja, szukają „na macanego” niewidzialnych gości.

Nagle odezwały się wszystkie radiostacje świata. Przekazywały zapis komunikatu odebranego przez radioamatora z Północnej Australii. W komunikacie powtarzały się znane już współrzędne, po czym następowały słowa:

„Znajdujemy się w lesie... Wysłaliśmy pierwszą grupę na poszukiwanie ludzi. Odbieramy w dalszym ciągu wasze sygnały. Jesteśmy zdziwieni brakiem kontaktu...” W tym momencie łączność została przerwana.

Wersja o niewidzialności zyskała natychmiast nowe rzesze zwolenników.

Widziałem z tarasu, jak mieszkańcy dacz zatrzymali się, a potem znów zawrócili tyralierą w stronę lasu. Wtedy właśnie na taras weszła Alicja z koszyczkiem poziomek w ręku.

– Czemu oni wszyscy tak biegają? – spytała nie witając się ze mną.

– Jacy „oni”? I mogłabyś się przywitać, skoro od rana nie widziałas swego ukochanego ojca.

– Od wieczora. Spałam, kiedy wyjechałeś. Dzień dobry, tatusiu. Co się stało?

– Zgubili się Labucylcy – odparłem.

– Nie znam ich.

– Nikt na razie ich nie zna.

– W jaki więc sposób się zgubili?

– Lecieli na Ziemię. Przylecieli i ślad po nich zaginął.

Czułem, że plotę bzdury. Ale przecież to była najszczerza prawda.

Alicja spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Czy to się w ogóle zdarza?

– Nie, nie zdarza się. Zwykle się nie zdarza.

- Nie znaleźli kosmodromu?
- Chyba nie.
- I gdzie się zgubili?
- Gdzieś pod Moskwą. Możliwe, że niedaleko stąd.
- I szukają ich pieszo i helikopterami?
- Tak.
- A czemu oni nie przyjdą sami?

– Pewnie czekają na ludzi. Przecież są na Ziemi po raz pierwszy. Nie oddalają się więc od statku.

Alicja milczała przez chwilę, jak gdyby moja odpowiedź ją zadowoliła. Przeszła się parę razy po tarasie nie wypuszczając z rąk koszyczka. Potem zapytała:

- A oni są na polu czy w lesie?
- W lesie.
- Skąd wiesz?
- Sami powiedzieli. Przez radio.
- To dobrze.
- Co dobrze?
- Że nie są na polu.
- Dlaczego?
- Przestraszyłam się, że to właśnie ich widziałam.
- Jak to?!
- Nie, nie, żartowałam tylko...

Zerwałam się na równe nogi. Co prawda Alicja lubi sobie pofantazjować...

– Nie byłam w lesie, tatusiu. Słowo honoru, nie byłam. Tylko na polance. To znaczy, że nie ich widziałam...

– Alicjo, mów wszystko, co wiesz. I niczego od siebie nie dodawaj. Widziałaś w lesie dziwnych... ludzi?

- Słowo honoru, nie byłam w lesie.
- No dobrze, na polanie.
- Nic złego nie zrobiłam. I oni wcale nie są dziwni.
- Odpowiadaj po ludzku – gdzie ich widziałaś? Nie dręcz mnie i całej ludzkości w mojej osobie!
- To ty jesteś ludzkością?...
- Posłuchaj, Alicjo...
- No dobrze. Oni są tutaj. Przyszli ze mną.

Obejrzałam się mimo woli.

Taras był pusty. I jeśli nie liczyć gderliwego trzmiela, nikogo oprócz mnie i Alicji tu nie było.

– Ależ nie, patrzysz nie tam, gdzie trzeba. – Alicja westchnęła, podeszła do mnie bliżej i powiedziała: – Chciałam ich zostawić dla siebie. Nie wiedziałam przecież, że ludzkość ich poszukuje.

I wyciągnęła do mnie koszyczek z poziomkami. Podsunęła mi go jak najbliżej oczu, a ja sam sobie nie wierząc dojrzałam w nim dwie figurki w skafandrach. Wymazane poziomkowym sokiem siedziały okrakiem na jednej poziomce.

- Nie sprawiłam im bólu – w głosie Alicji brzmiała skrucha. – Sądziłam, że to krasnoludki

z bajki.

Ale ja już nie słuchałem. Tuląc delikatnie koszyczek do serca, pędziłem do wideofonu myśląc, że trawa musiała im się wydawać wysokim lasem.

Taki oto miało przebieg pierwsze spotkanie z Labucylcami.

NASZ CZŁOWIEK W PRZESZŁOŚCI

Próbne uruchomienie wehikułu czasu odbyło się w Małej Auli Domu Naukowca. Poszedłem po Alicję do przedszkola i wówczas zorientowałem się, że jeśli odprowadzę ją do domu, spóźnię się na próbę. Dlatego kazałem Alicji przysiąc, iż będzie się zachowywała przyzwoicie, i udaliśmy się do Domu Naukowca.

Przedstawiciel Instytutu Czasu, bardzo wysoki i bardzo łysy mężczyzna, stał przed wehikułem czasu i objaśniał uczonemu gremium budowę maszyny. Uczone gremium słuchało go z uwagą.

– Jak wiecie, pierwsze doświadczenie nie udało się – mówił. – Wysłany przez nas kotek trafił w początki dwudziestego wieku i eksplodował w rejonie rzeki Tunguzki, co dało podwaliny legendzie o Meteorycie Tunguskim. Od tej pory nie było większych niepowodzeń. Co prawda, z racji określonych prawidłowości, z którymi chętni mogą się zaznajomić w biuletynie naszego Instytutu, na razie jesteśmy w stanie wysyłać ludzi i przedmioty wyłącznie w lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. Trzeba dodać, że niektórzy nasi pracownicy byli już tam, oczywiście w ścisłej tajemnicy, i pomyślnie do nas wrócili. Sama procedura przemieszczania w czasie jest stosunkowo nieskomplikowana, chociaż kryje się za nią wieloletnia praca setek ludzi. Wystarczy włożyć na siebie pas chronokinetyczny... Chciałbym, żeby zgłosił się na ochotnika ktoś z sali, zademonstruję na nim sposób przygotowania do podróży w czasie...

Zapadła niezręczna cisza. Nikt się nie kwapił, by wyjść jako pierwszy na podium. I wtedy, oczywiście, pojawiła się tam Alicja, która nie dalej niż pięć minut temu przysięgała, że będzie się zachowywać, jak należy.

– Alicjo! – zawołałem. – Wracaj natychmiast!

– Proszę się nie obawiać – rzekł przedstawiciel Instytutu – dziecku nic się nie stanie.

– Nic mi się nie stanie, tatku! – wesoło zaszczębiotała Alicja.

Po sali przebiegł śmiech, wszyscy zaczęli się rozglądać szukając wzrokiem surowego ojca.

Udałem, że mnie to absolutnie nie dotyczy.

Przedstawiciel Instytutu włożył Alicji pas, na skroniach zaś umocował coś w rodzaju nauszników.

– I to wszystko – powiedział. – Teraz człowiek gotów jest do podróży w czasie. Wystarczy tylko, że wejdzie do kabiny, i już znajdzie się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym roku.

„Co on mówi! – przemknęła mi przez głowę paniczna myśl. – Przecież Alicja nie omieszka natychmiast skorzystać z takiej okazji!”

Było już jednak za późno.

– Dokąd to, dziewczynko? Stój! – krzyknął przedstawiciel Instytutu.

Alicja wpadła do kabiny i na oczach całej sali zniknęła jak kamfora. Sala wydała chóralny jęk.

Poblądły przedstawiciel Instytutu machał rękami starając się uciszyć hałas. Widząc, że biegnę do

niego pomiędzy rzędami, przemówił nachylając się blisko mikrofonu, żeby go było lepiej słyszeć:

– Dziecku nic nie grozi. Za trzy minuty pojawi się znów w tej auli. Daję słowo, że aparatura jest absolutnie niezawodna i wypróbowana! Proszę się nie denerwować!

Łatwo mu było się wymądrzać. A ja stałem na podium myśląc o losie kotka przekształconego w Tunguski Meteor. Wierzyłem prelegentowi i zarazem nie opuszczały mnie wątpliwości. Osądźcie sami – mieć świadomość, że wasze dziecko znajduje się w tej chwili w odległej o sto lat przeszłości.... A jeśli oddali się zbytnio od wehikułu? Jeśli zabłądzi?

– Czy nie mógłbym wyruszyć tam po nią? – spytałem.
– Nie. Za chwilę... Ależ proszę się nie denerwować, tam spotka ją nasz człowiek.
– Więc macie tam swojego pracownika?
– No nie, to nie pracownik. Po prostu znaleźliśmy człowieka, który wspaniale zrozumiał nasze problemy i druga kabina stoi w jego mieszkaniu. Żyje tam, w dwudziestym wieku, ale z racji swej specjalności odwiedza niekiedy przeszłość.

Raptem w kabinie pojawiła się Alicja. Wyszła na podium z miną osoby, która spełniła swój obowiązek. Pod pachą trzymała grubą, bardzo starą książkę.

– No widzi pan... – powiedział przedstawiciel Instytutu.
Sala zareagowała głośniejszymi oklaskami.
– Dziewczynko, opowiedz, co widziałaś – poprosił nie dając mi nawet podejść do Alicji.
– Tam jest bardzo ciekawie – odparła. – Bach! – i już jestem w innym pokoju. Patrzę, a tu siedzi przy biurku jakiś wujek i coś pisze.

Pyta mnie: „Ty, dziewczynko, jesteś z dwudziestego pierwszego wieku?” Ja mu na to, że pewnie tak, tylko nie liczyłam, który to wiek, bo jeszcze nie potrafię za dobrze liczyć, chodzę do przedszkola, do średniaków. Wujek powiedział, że mu bardzo miło i że muszę zaraz wracać. „Chcesz popatrzeć, jak wyglądała Moskwa, kiedy twojego dziadka jeszcze nie było na świecie?” Odpowiedziałam, że bardzo chcę. Więc mi pokazał. Bardzo dziwne miasto z niskimi domami. Potem spytałam, jak się nazywa, a on na to, że Arkadij, że jest pisarzem i pisze powieści fantastyczne o przyszłości. Okazuje się, że nie zawsze wszystko wymyśla, czasem odwiedzają go ludzie z naszej epoki i opowiadają mu różne rzeczy. Tyle że on nie może nikomu o tym powiedzieć, bo to straszna tajemnica. Podarował mi swoją książkę... A potem wróciłam.

Sala przyjęła opowiadanie Alicji burzliwymi oklaskami.
Następnie wstał ze swego miejsca czcigodny profesor i odezwał się:
– Dziewczynko, trzymasz w rękach unikatową książkę – pierwsze wydanie powieści fantastycznej „Plamy na Marsie”. Czy mogłabyś mi podarować tę książkę? Nie umiesz przecież jeszcze czytać.
– Nie mogę – odparła Alicja. – Niedługo się nauczę i sama przeczytam.

WYSPA ZARDZEWIAŁEGO LEJTNANTA

CO POWIEDZIAŁY DELFINY

Alicję obudziło lekkie stukanie w okno. Za szybą skakał po gzymsie wróbel i młócił w nią dziobem usiłując dostać się do talerza stojącego na parapecie. A wystarczyło zrobić pięć kroczków w bok i wlecieć do pokoju przez otwartą połówkę okna, ale na to miał zbyt mało wróblego rozumku.

Alicja ostrożnie zsunęła się z łóżka, podeszła na palcach do parapetu i przestawiła talerz tak, by wróblowi łatwiej było się do niego dostać.

Wróbelek jednak nie zrozumiał, że Alicja chce mu przyjść z pomocą. Zatrzepotał z irytacją skrzydełkami i odleciał.

– Głuptas! – wzruszyła ramionami Alicja, po czym wybrała największą truskawkę i zjadła ją.

Zjadłaby więcej, ale czujny robot-gosposia, nazywany Polą, wtoczył się już do pokoju i oświadczył, że najpierw należy się umyć, wyszorować zęby, a truskawki z pewnością nie uciekną.

– Co ty tam wiesz! – odparła Alicja. – Już się do nich ptaki dobierają.

Za robotem weszła do pokoju, ostrożnie stawiając żółte, podobne do cyrkli nogi, marsjańska modliszka. Ona truskawek nie jadła, ale słysząc, że Alicja już się obudziła, postanowiła objąć w posiadanie zalany słońcem parapet.

– Zaraz idę – oznajmiła Poli Alicja. – Tatuś już pojechał?

– Wróci na obiad – odparł robot. – Zostawił dla ciebie list.

Pola podreptał chwilę w drzwiach i dodał nie bez dumy:

– Dziś kasza manna wyszła mi całkiem bez grudek.

– Nigdy w to nie uwierzę! – powiedziała Alicja. – Jeszcze się taki cud nie zdarzył.

– Mieszałem ją.

Alicja popatrzyła z żalem na truskawki i odsunęła talerzyk, żeby modliszka mogła się wygodnie rozłożyć.

Dziewczynka miała wielką ochotę na truskawki, ale robot nie odchodził, obserwował ją od drzwi. Odznaczał się okropnie dokuczliwym charakterem.

W jadalni leżał na stole list, który ojciec podyktował na maszynę przed wyjściem.

„Alicjo, słuchaj naszego robota-gosposi. Wróć około drugiej. Wielka prośba – nie zabieraj z domu myelofonu – po tobie można się wszystkiego spodziewać. Jeśli nie zapomnisz, porozmawiaj przez wideofon z dziadkiem, stęsknił się za tobą. Tata”.

Ten list był wielkim błędem. Alicja pewnie nie pamiętałaby o myelofonie, ale uwaga ojca nasunęła jej myśl o delfinach.

– Kasza manna już wystygła – powiedział robot.

– A gdzie pasta do zębów? – spytała Alicja z łazienki. – Przecież położyłam ją tu wczoraj.

Przesunęła kubeczek ze szczoteczką do zębów. Tubki nigdzie nie było.

– Proszę cię – odezwał się cicho robot – weź pastę swojego ojca.

- A czemu zabrałaś moją?
- Przepraszam, przyniosę dzisiaj nową.
- Ale po co ci ona?
- Przecież zbieram medale – wyjaśnił robot. – Musiałem je wyczyścić.
- Ach, co ja mam z tymi kolekcjonerami! – westchnęła Alicja.

W rodzinie Alicji wszyscy zajmowali się kolekcjonerstwem. Ojciec kolekcjonował motyle z różnych planet i stare książki, dziadek – fotografie słynnych primabalerin. Alicja – znaczki, mama – również znaczki, ale nie w sposób planowy, tylko po prostu ładne. Oczywiście robot nie wytrzymał i zaczął zbierać medale. Był nawet parę razy w towarzystwie numizmatycznym, zamieszczono o nim notatkę w czasopiśmie „Kolekcjoner”. Notatka miała tytuł „Pierwszy robot-numizmatyk”. Pola wyciął ją i powiesił w ramach na ścianie obok swego nocnego wyłącznika.

- Jaka dziś będzie pogoda? – Alicja rzuciła pytanie w stronę teleinformatora.

Ekran rozbłysnął i pojawiła się na nim spikerka Nina. Uśmiechnęła się do Alicji i powiedziała:

– Dzisiaj będzie słoneczny i rześki dzień. Wietrzyk ucichnie przed południem, ale upału nie będzie. Dwie duże chmury idą ku Moskwie od strony Jarosławia, ale z pewnością zatrzymają je w Pieriejasławiu Zaleskim, żeby podlać warzywa. Kapać się jeszcze dziś nie warto, woda jest dość zimna. Dziękuję za uwagę.

- Dziękuję – odparła Alicja.

Wiedziała doskonale, że spikerka nie mówi „na żywo”, że to po prostu zapis, każdy może go włączyć i wysłuchać dokładnie tych samych słów, ale mimo wszystko woląla wierzyć, że Nina zwraca się specjalnie do niej.

Robot podgrzał kaszę i usiadł obok Alicji. Podparł plastikową ręką swą plastikową głowę i z napięciem wpatrywał się w usta dziewczynki.

- Dobra kasza – pochwaliła Alicja. – Prawie bez grudek.
- Dziękuję – ucieszył się robot. – Nie idziesz dzisiaj do szkoły?
- Nie, mam już wakacje. Możesz się zająć swoimi sprawami. Sama sprzątnę ze stołu.
- Dobrze, wobec tego wyczyszczę medal za zdobycie Bazardżyku – oznajmił robot.
- Przecież czyściłaś go wczoraj!
- Zostawiłem trochę na dziś.

Robot wyszedł. Alicja dopiła kakao, zebrała naczynia i zaniósła je do automatycznej zmywarki. Następnie weszła do gabinetu ojca i zamknęła za sobą drzwi. Gdzież jest myelofon, o którym wspomina ojciec?

Myelofon wisiał na ścianie. W szarym futerale, na pasku, przypominał kamerę filmową.

Alicja weszła na krzesło i zdjęła aparat. Teraz może iść do delfinów.

Drzwi otworzyły się z wolna i do pokoju wcisnęła się marsjańska modliszka.

Modliszka była całkowicie oswojona i łagodna. Z początku, gdy przywieziono z Marsa pierwsze modliszki, niektórzy ludzie bali się ich, ale okazało się, że są posłuszne i przydatne w gospodarstwie domowym. Mogły na przykład łupać orzechy swoimi twardymi szczękami. Poza tym lubiły żonglować różnymi przedmiotami i potrafiły długo stać na jednej nodze.

- Ojej, ale się przestraszyłam! – wykrzyknęła Alicja. – Któż tak wchodzi bez pukania?

Modliszka złożyła się niczym scyzoryk i wślzła pod stół. Przykro jej było. Uważała, że Alicja nie ma racji.

Alicja włączyła wideofon i zadzwoniła do Berty Maksymowny, która siedziała właśnie w fotelu

i czytała grubą książkę. Na głowie miała zieloną perukę „rusałka Północy”, na nogach zielone łuskowate rajtuzy.

– Cześć, koleżanko – przywitała Berta Alicję. – Co nowego?

– Zaczęły się wakacje – odparła Alicja. – Jak się dziś czuje Rusłan?

– Lepiej. Wczoraj przyleciał lekarz z Centrum Czarnomorskiego i powiedział, że do wieczora wszystko będzie w porządku. Chyba przejadł się dorszem. A propos, kochaneczko, czy nie rozmawiałaś przypadkiem z ojcem?

– Rozmawiałam, ale przecież pani wie. Berto Maksymowna, jak on traktuje nasz problem.

– To znaczy, że nie dadzą aparatury?

– Tatuś powiedział, że Czarnomorski Instytut Hodowli Delfinów otrzyma aparat w ustalonej kolejności.

Alicję strasznie korciło, żeby się przyznać, iż aparat znajduje się w jej posiadaniu. Ale zdawała sobie doskonale sprawę, że Berta jest człowiekiem niepewnym. Roztrąbi na całą Moskwę, że otrzymała myelofon, i nawet jeśli eksperyment się nie uda, będzie twierdzić, że się udało.

– No dobrze, wpadnij do mnie, kruszynko – powiedziała Berta. – Nasze pięknotki od rana nie mogą się ciebie doczekać. Bądź za godzinkę, bo teraz czyszczą basen.

Alicja nie cierpiała, gdy nazywano ją kruszynką, maleństwem, czyżykiem lub kurczaczkiem. Można to jeszcze wytrzymać, gdy się jest przedszkolakiem, ale skoro już przeszło się do trzeciej klasy, i to z nagrodą z algebry oraz biologii, gdy się ma już dziewięć lat i kilka miesięcy (dwa), wszelkie „kruszynki” czy „kurczaczki” są bardzo obraźliwe. Tyle że Berta i tak by nie zrozumiała, gdyby jej to powiedzieć. Może nawet skwitowałyby to śmiechem. A później opowiadałaby wszystkim znajomym: „Wiecie, Aluśka to po prostu istne чудо. Ja ją nazywam kruszynką, a ona się dąsa”. I tak dalej.

Alicja wzięła granatową torbę, schowała do niej myelofon, żeby robot nie zadawał zbędnych pytań, i poszła do Berty. Po drodze nie zachowywała się najlepiej. Po pierwsze, zjechała z drugiego piętra po poręczy, po drugie, wezwała taksówkę, chociaż musiała przejść tylko dwie przecznice dalej. Po trzecie, czekając na taksówkę zjadła dwie porcje lodów w automacie przy bramie.

Taksówka wypadła z za rogu, z sykiem rozwiała poduszkę powietrzną i legła brzuchem na betonie. Alicja usadowiła się na białym siedzeniu i zamiast wystukać adres Berty, zaprogramowała skomplikowaną i długą trasę w taki sposób, by przejechać obok basenu oraz Instytutu Czasu, wstąpić do Kuncewskiego Ogrodu Botanicznego i sprawdzić, czy już zainstalowano w Filach eksperymentalne alejki.

Była już jedenasta i ulice niemal całkiem opustoszały. Moskwićzanie rozeszli się do pracy, tylko na bulwarach siedziały babcie oraz roboty z dziecinnymi wózkami.

Przed Ambasadą Marsjańską zatrzymał się długi autobus z hermetycznie zamykanymi drzwiami. Turyści marsjańscy zakładali przed wyjściem na ulicę maski do oddychania. Jeden Marsjanin w masce stał przed autobusem czekając, kiedy można będzie otworzyć drzwi. Budynek ambasady przypominał piłkę zanurzoną do połowy w ziemi. Tam, pod kopułą, Marsjanie mieli swoją atmosferę, swoją roślinność. Gdy Alicja była na Marsie, też musiała chodzić w skafandrze. Tylko modliszkom jest obojętne, jakim powietrzem oddychają.

Z naprzeciwka jechał orszak weselny złożony z czterech samochodów. Samochody ozdobione różnokolorowymi wstążkami sunęły powoli, kołysząc się na powietrznych poduszkach. Panna młoda była w długiej białej sukni, na głowie miała welon. „Pewnie należy do grona tych, które piszą

w gazetach artykuły o konieczności wskrzeszenia pięknych tradycji” – pomyślała Alicja.

W basenie, mimo ostrzeżeń spikerki Niny, że woda jeszcze chłodna, kąpało się sporo osób. Alicji również przyszło na myśl, by skorzystać z okazji, ale taksówka już skręciła na most w stronę Ogrodu Botanicznego. Przed wejściem do ogrodu Alicja zatrzymała ją i zajrzała do kiosku. Robot w wianku z mleczków dał jej bukiet bzu i Alicja położyła go obok siebie na siedzeniu. Jeden pięciopłatkowy kwiatek oderwała i zjadła. Na szczęście.

Taksówka jechała obwodnicą, mając po obu stronach gęsty las. Nagle zwolniła, a potem się zatrzymała. Z lasu wyszło stado marali i, stukając kopytami po chropowatej plastikowej powierzchni szosy przeszło na drugą stronę, do cedrowego zagajnika.

– Czy one nie zawędrują do winnic? – zapytała Alicja taksówkę.

– Nie – odparł samochód. – Tam jest ogrodzenie.

Wtem marale podniosły łby, zwietrzyły coś i w mgnieniu oka zniknęły w gęstwinie...

– Czego się tak przestraszyły? – zmartwiła się Alicja. Miała ochotę jeszcze trochę na nie popatrzeć.

Taksówka nic nie odpowiedziała, bo i odpowiedź była niepotrzebna – szosą mknęli pochyleni nad kierownicami rowerzyści. Mieli na sobie tak jaskrawe, różnokolorowe koszulki, że jelenie musiały dostać oczopląsu.

Gdy samochód minął młode szkółki drzew kauczukowych przypominających osiki. Alicja poprosiła, by na moment zatrzymać się w daktylowym gaju.

Było tam jasno i cicho. Tylko wiewiórki skakały po ziemi szukając pomiędzy kosmatymi pniami opadłych z drzew daktyli. Skrajem zagajnika ciągnęła się niska bariera, którą tworzyła składana plastikowa kopuła automatycznie otwierająca się nad drzewami w razie niepogody. Alicja usiadła pod palmą i wyobraziła sobie, że znajduje się w Afryce, a wiewiórki, to wcale nie wiewiórki, lecz koczkodany albo nawet pawiany. Jedna wiewiórka podbiegła do niej i stanęła na tylnych łapach.

– Przestań żebrać! – powiedziała z wyrzutem Alicja. – Jesteś przecież dzikim, wolnym zwierzęciem.

Wiewiórka nic nie zrozumiała i poklepała się przednimi łapkami po brzuszku.

Alicja parsknęła śmiechem. No cóż, nie uda się zabawa w Afrykę. Trzeba jechać dalej.

– Teraz do Filewskiego Parku – poleciła.

Taksówka lekko zatrąbiła.

– O co chodzi? – zdziwiła się Alicja.

– Myślałam, że zapomniałaś o swoich sprawach.

– Mam wakacje – odparła dziewczynka. – A poza tym odkąd to samochody decydują, co mają robić ludzie?

– Przepraszam bardzo – rzekła taksówka – ale po pierwsze, wcale o niczym nie decydowałam, tylko przypominałam, a po drugie, jak widzę, daleko ci jeszcze do pełnoletności i dlatego występuję tu w charakterze wychowawcy. Gdybyś była przedszkolakiem, w ogóle bym cię nie zabrała bez pozwolenia lub bez towarzystwa rodziców.

Wygłosiwszy tę długą tyradę, taksówka zamilkła i do końca jazdy nie odezwała się ani słowem.

Samochód wjechał na tereny zamieszkane. Niegdyś stały tu dosyć smutne czteropiętrowe budynki, potem je wyburzono i wzniesiono zamiast nich osiemnaście drapaczy chmur, z których każdy stanowił nie tylko miejsce zamieszkania kilku tysięcy ludzi, ale mieścił w sobie również rozmaite sklepy, warsztaty, stacje obsługi, garaże, lądowiska dla flajerów, teatr, basen oraz kluby. Można było

przeżyć życie nie wychodząc z takiego domu, choć z pewnością byłoby to ogromnie nudne.

Drapacze stały na dużych polanach otoczonych brzeźniakami, w których rosły niezliczone ilości koźlaków. Ich grzybnię przywożono co roku z Północy, tak że dziennie można było zebrać i sto koszyków, a następnego ranka wyrastały nowe. Koźlaki stanowiły dumę mieszkańców tej dzielnicy, ponieważ jednak sami objedli się już nimi do przesytu, zapraszali znajomych na grzybobranie wokół własnego domu i nawet żartowali sobie z grzybiarzy.

Za drapaczami chmur zaczął się Park Filewski.

Na rozległej polanie około setki ciekawskich przyglądało się funkcjonowaniu eksperymentalnej alejki. Technik w granatowym kombinezonie stał pośrodku srebrzystej taśmy, która skręcała i kierowała się w tę stronę, w którą on sobie zażyczył. Na piersi technika był zawieszony mikrofon, przez który objaśniał zebranym działanie alejki:

– Jeśli chcę, żeby alejka zaprowadziła mnie do tego dużego krzewu, wydaję jej w myśli polecenie: na prawo. I alejka skręca w prawo.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, bowiem alejka skręciła tak gwałtownie, iż technik nie mogąc utrzymać równowagi rymnął jak długi na trawę. Alejka pobiegła naprzód i zastygła w bezruchu.

Alicja miała wielką ochotę przejechać się nową ścieżką, ale chętnych było tak wielu, że musiałaby czekać w długim ogonku pół dnia, zanim przyszłaby jej kolej. Postanowiła więc, że zaczeka, aż podobne alejki zainstalują we wszystkich parkach.

Na sąsiedniej polanie odbywali trening kosmonauci, a raczej młodzi członkowie z OSPEKOS-u – Ochotniczego Stowarzyszenia Przyjaciół Kosmonautyki. Luk rakiety ćwiczebnej był otwarty i chłopcy kolejno opuszczali się z niego po linie na trawę. Pewnie wyobrażali sobie, że dinoduki z Jowisza pożarły trap. Alicja wsiadła z powrotem do taksówki. Pora była ruszać do Berty.

Przez pewien czas samochód jechał pod koleją jednoszynową, następnie skręcił na nabrzeże rzeki Moskwy i przez stary Most Borodiński wyjechał na Bulwar Smoleński. Słońce schowało się za chmurą. Pewnie meteorolodzy znów się pomylili – nawet w dwudziestym pierwszym wieku nie można im wierzyć. Pod chmurą wisiał powietrzny rower dyspozytora ruchu. Rower był granatowy, ubranie dyspozytora granatowe, chmura też granatowa. Alicja na oczekaniu wymyśliła bajkę o tym, że dyspozytor jest synem chmury i jeśli zrobi się gorąco – zamieni się w deszcz.

A oto i zielone zaułki Arbatu. Alicja znów znalazła się w pobliżu swego domu. Wsiadła z taksówki na postoju wyłożonym różnokolorowymi płytami, wzięła bukiet bzu, sprawdziła, czy myelofon jest tam, gdzie go schowała, i weszła na górę do Berty Maksymowny.

– Co tak długo? – zdziwiła się Berta.

– Przecież sama pani mówiła, że mam przyjść za godzinę.

– Ach tak, całkiem zapomniałam! Myślałam, że zadzwonią do mnie z Montevideo. Wiesz, liczą, że uda im się nawiązać kontakt. Widziałas ostatni numer naszego czasopisma?... Dziękuję za kwiaty.

Berta była z lekka stuknięta. Przynajmniej tak uważała Alicja, nikomu jednak o tym nie wspominała, a przed dziećmi nawet się trochę chwaliła przyjaźnią z wiceprzewodniczącą towarzystwa „Delfiny – nasi bracia”. Berta ma już około pięćdziesiątki, choć wygląda dość młodo i nosi peruki „rusalka” albo „hawajska bryza”. Była niegdyś mistrzem Moskwy w pływaniu podwodnym, potem wstąpiła do towarzystwa „Delfiny – nasi bracia” i grała w nim pierwsze skrzypce. Na podwórzu przed jej domem znajduje się duży basen dla delfinów i Berta przez cały czas usiłuje nawiązać z nimi kontakt. Ojciec powiedział kiedyś Alicji, że niedługo Berta odczyty się rozmawiać z ludźmi i jeśli osiągnie porozumienie z delfinami, to tylko dlatego, że zacznie się obywać

bez ludzkiego języka.

Oczywiście żartował, ale prawdę mówiąc są naukowymi przeciwnikami. Tata, biolog i dyrektor ogrodu zoologicznego, nie wierzył, że delfiny są naszymi braćmi. Alicja natomiast bardzo chciała w to wierzyć i dlatego wynikały między nimi prawdziwe naukowe spory.

– Wiesz co, dziecino? – powiedziała Berta, nagłym ruchem odrzucając na ramię zielony lok. – Idź teraz do delfinów, ja przyjdę później. Mogą jeszcze zadzwonić z Montevideo.

– Dobrze – zgodziła się Alicja.

O niczym innym nie marzyła. Chciała wypróbować myelofon pod nieobecność Berty. A później odwieźć go na miejsce, żeby tata nic nie zauważył.

Ojciec przyniósł wczoraj myelofon z ogrodu zoologicznego i wyjaśnił, że jest to eksperymentalny aparat, który może odczytywać myśli, oczywiście jeśli są one wyrażone słowami. Otrzymał aparat do przeprowadzenia doświadczeń z małpami, jednak dzisiaj zamiast jechać do ZOO, musiał się udać na naradę, więc zostawił myelofon w domu.

Poprzedniego wieczora wypróbowywali aparat na sobie i Alicja słyszała własne myśli. To bardzo dziwne – słuchać swoich własnych myśli. Dźwięczą zupełnie inaczej niż się człowiekowi wydaje. Alicja brała do rąk szare pudełeczko, wkładała do ucha małą słuchawkę i słuchała, jak cieniutki głosik mówi bardzo, bardzo szybko: „To niemożliwe, żeby moje myśli... spójrzcie no, słyszę własny głos... To jest mój głos? Pomyślałam o głosie i dokładnie to właśnie słyszę...”

Alicja z tatą spróbowali posłuchać myśli robota-gosposi. Były one krótkie i nie kłębiły się tak, jak myśli Alicji. Robot myślał o tym, że trzeba zamieść kuchnię, wyczyścić medal oraz (i tu ludzie poznali jego najgłębszą tajemnicę) po kryjomu podładować trochę akumulatory, żeby nocą, kiedy wszyscy są przekonani, że on śpi, przeczytać przy świetle własnych oczu „Trzech muszkieterów”.

...Alicja podeszła do basenu. Oba delfiny, poznawszy ją, na wyścigi podpłynęły do betonowej krawędzi. Wskakiwały z wody aż do połowy, by okazać gościowi, jak są rade z jego wizyty.

– Zaczekajcie – powiedziała Alicja. – Nie mam dla was żadnych smakołyków. Berta nie pozwoliła mi was karmić – Rusłana boli brzuch. Przecież to prawda?

Jeden z delfinów, którego nazywano Rusłanem, przewrócił się na plecy, demonstrując Alicji, że brzuch już go wcale nie boli, jej to jednak nie wzruszyło.

– Nie odpływajcie daleko – poprosiła. – Chcę się przekonać, czy macie zdolność myślenia. Spójrzcie, wydaję myelofon. Takiego aparatu jeszcze nigdy nie widziałyście. Odczytuje myśli. Wynaleźli go lekarze po to, by leczyć chorych psychicznie i w ogóle, żeby stawiać dokładną diagnozę. Powiedział mi o tym tatuś. Rozumiecie?

Ale delfiny nic nie odpowiedziały. Dały nurka i popłynęły na wyścigi wokół basenu. Alicja wyjęła aparat z torby i włożywszy do ucha słuchaweczkę, wcisnęła czarny guzik odbioru. Z początku nic nie było słychać, kiedy jednak pokręciła gałką strojeniową, nagle usłyszała bardzo wyraźnie myśl jednego z delfinów:

„Popatrz, co ona tam robi. Pewnie jakieś doświadczenie”.

Alicja omal nie wrzasnęła „hura!” Może zawołać Bertę? Nie, trzeba sprawdzić.

Jeden delfin podpłynął bliżej.

„A wygląda na zwykłą dziewczynkę – myślał. – Co też ona robi?”

– Czytam w twoich myślach – cicho powiedziała Alicja do delfina. – Zrozumiałeś, głuptasku?

Delfin odwrócił się i dał nurka. Niemniej jego myśli były bardzo dobrze słyszalne.

„Może z nią pogadać? Trochę zadziera nosa...”

Jakaś inna myśl zagłuszyła pierwszą – jeszcze ktoś, prawdopodobnie drugi delfin, pomyślał: „A ja ją znam, jest z tego domu naprzeciw, ma na imię Alicja”.

„To dopiero mądrała! – zdziwiła się. – Skąd on wie, że jestem z tego domu?”

W tejże chwili ten sam głos, który słyszała w myelofonie, zabrzmiał donośnie:

– Alka, Alka-szmaciana lalka, raczej połkniesz żabę, niż nam dwom dasz radę!

O dziwo, głos dochodził nie z basenu, lecz jakby z tyłu. Alicja zerwała się na równe nogi i obejrzała się. Za niskim betonowym ogrodzeniem stało dwóch chłopaczków, może po sześć lat, i stroiło do niej głupie miny.

– Zmykajcie natychmiast! – rozzłościła się. – Zepsuliście mi całe doświadczenie!

– Aha, już lecimy, uważaj! – odkrzyknęli chłopcy.

Gdy jednak Alicja zrobiła dwa kroki w ich stronę, od razu się zmyli.

Zasmucona przysiadła znów na brzegu basenu. Eksperyment lichy wzięło. Całe szczęście, że nie zawołała Berty, żeby się pochwalić swoim odkryciem. No dobrze, ma jeszcze trochę czasu. Można kontynuować doświadczenie.

Włączyła jeszcze raz myelofon i wyciągnąwszy antenę skierowała ją w stronę delfinów. Słyszała jakieś trzaski, od czasu do czasu rozlegały się odgłosy chrząkania i piski. Wzmagały się, gdy delfiny podpływały bliżej, i niemal całkowicie nikły, gdy delfiny dawały nurka lub odpływały pod przeciwległą ścianę basenu.

Przesiedziała tak może z pięć minut, ale bez rezultatu. Na górze otworzyło się okno i Berta, wychyliwszy modną zieloną głowę, zawołała:

– Aluśka, kochanie, chodź tu do mnie. Dzwonili z Montevideo, wspaniałe nowiny. I powiedz robotowi, żeby wyjął z lodówki rybę,

– Do widzenia – pożegnała delfiny Alicja. – Jeszcze do was przyjdę.

Ostrożnie, żeby Berta nie podejrziała jej z okna, schowała myelofon i wydawszy polecenie robotowi poszła w kierunku budynku.

Gdy już zniknęła za rogiem, Rusłan wynurzył z wody zadarty pysk i cicho odezwał się w języku delfinów do swego towarzysza:

– Ciekawe, co się zdarzyło w Montevideo?

– Nie wiem – odparł drugi. – Żał mi dziewczynki, tak bardzo się zmartwiła. Może należało z nią porozmawiać?

– Jeszcze nie czas – stwierdził Rusłan. – Ludzie nie dorośli do obcowania z nami. Wielu rzeczy nie rozumieją.

– Niestety, masz rację – zgodził się jego towarzysz. – Weźmy choćby tych chłopców. Okropnie źle wychowani. Jeden nawet rzucił we mnie kijem.

I delfiny dokazując popłynęły wokoło basenu.

DZIADEK TĘDY-OWĘDY

Pierwszego dnia wakacji człowiek nie ma na ogół co robić. A raczej ma co robić i różnych spraw jest nawet bardzo dużo, ale trudno się zdecydować, która z nich jest najważniejsza, można się zagubić wśród niezliczonych możliwości i pokus.

Alicja pożegnała się z Bertą Maksymowną, wyszła na ulicę i spojrzała na powietrzny zegar wiszący na niebie nad miastem. Wskazywał dwunastą. Miała przed sobą jeszcze cały dzień, a po nim nastąpi jeszcze mnóstwo zupełnie wolnych letnich dni, obiecana przez tatę podwodna podróż, wycieczka do Indii, ekspedycja młodych przyrodników na pustynię, a nawet – jeśli mamie uda się dostać bilety – wyjazd do Paryża na trzechsetlecie zdobycia Bastylji, którą paryżanie specjalnie już zbudowali z lekkiego plastyku. Życie obiecywało wiele atrakcji, wszystko to jednak wiązało się z dniem jutrzejszym.

A na razie Alicja udała się na bulwar Gogola. Myelofon leżał w torbie i dziewczynka od czasu do czasu poklepywała ją upewniając się, czy aparat jest na miejscu. Prawdę mówiąc powinna wstąpić do domu i powiesić myelofon tam, skąd go wzięła, ale szkoda jej było czasu. Zaraz robot zmusiłby ją do jedzenia narzekając, że znów zmizerniała i że powie o wszystkim mamie, kiedy ta wróci, i tak dalej, i tak dalej. Marsjańska modliszka chciałaby koniecznie wyjść na spacer, a spacer z nią to nieznośna męka – zatrzymuje się przy każdym pniu i obwąchuje każdą rysę na jezdni.

Zrozumiałe więc, że Alicja nie wstąpiła do domu, lecz wybrała bulwar.

Bulwar Gogola, szeroki i cienisty – wieść niesie, że kiedyś zabłądziła tam cała grupa przedszkolaków razem z opiekunką – ciągnie się od rzeki Moskwy aż po plac Arbacki, a ze wszystkich stron zbiegają do niego niczym rzeki do długiego i rozległego jeziora zielone ulice i zaułki. Alicja skierowała się krętą ścieżką, która wiodła obok przepięknie kwitnących drzew pomarańczowych, wprost do starego pomnika Gogola. To smutny pomnik, Gogol siedzi owinięty w długi płaszcz – choć pisał wesołe książki, sam nie był wesołym człowiekiem. Za pomnikiem, w bocznej alejce powinny rosnać wczesne czereśnie. Kwitły chyba miesiąc temu. Może owoce już dojrzały?

Na ławeczce siedział staruszek z długą siwą brodą, w dziwnym słomianym kapeluszu zsuniętym na krzaczaste brwi. Zdawało się, że drzemie, gdy jednak Alicja przechodziła, a raczej przebiegała obok, podniósł głowę i powiedział:

– Dokąd tak pędzisz, chucherko? Kurz wzbijasz, tędy-owędy!

Alicja przystanąła.

– Nic podobnego. Przecież tu jest gruby żwir, więc się nie kurzy.

– To ci dopiero! – zdumiał się staruszek, a jego broda powędrowała w górę i wycelowała pstrokatym końcem w dziewczynkę. – To ci dopiero! Stajesz okoniem? – Dziadek wyraźnie był nie w humorze.

– Przepraszam, ja nienaumyślnie – powiedziała na wszelki wypadek Alicja i chciała pobiec dalej.

Staruszek jednak nie pozwolił na to.

– Pójdź no tu – rozkazał. – Mówię do ciebie!

– Co znaczy: pójdź no tu? – zdziwiła się Alicja. – Jakoś dziwnie się pan wyraża.

– Nie stawiaj się, nie stawiaj. Zaraz wezmę różgę i oćwiczę cię po miękkiej części ciała!

Był to jakiś niezwykły staruszek. Jak starzec Hottabyecz* [Starzec Hottabyecz – popularna postać baśniowego starca, bohatera książki Łazara Łagina (1903-1979) pod tym samym tytułem.]. I mówił dziwnym językiem. Byłoby przesadą powiedzieć, że Alicja się go przestraszyła, ale w każdym razie poczuła się trochę nieswojo. Nikogo więcej w alejce nie było i gdyby chciał rzeczywiście wysmagać ją różgą... „E tam, zdążę uciec” – pomyślała i podeszła bliżej.

– Ładna historia! – gderał stary. – Zostawili mnie w tym przeklętym miejscu, a sami się ulotnili! Do czego to podobne, pytam!

– Rzeczywiście – zgodziła się potulnie Alicja.

– Nie znajdziesz w torbie jakiegoś kołaczyka? – spytał dziadek. – Od rana ani krzynki nie miałem w ustach.

– Nie mam – odparła Alicja. – A co to jest krzynka?

– Jak za dużo będziesz wiedziała, to prędko się zestarzejesz.

Alicja roześmiała się. Staruszek wcale nie był straszny, nawet sobie dowcipkował.

– Tutaj niedaleko jest bar – powiedziała. – Dietetyczny. Za następnym zakrętem...

– Obejdę się – mruknął dziadek. – Obejdę się bez waszych barów. Nie, powiedzże mi wreszcie, chucherko, co się tu wyprawia?

„A to ci staruszek! – pomyślała Alicja. – Żeby go tak pokazać naszym z klasy”.

– Ile ma pan lat, dziadku? – spytała.

– Niemało, niemało, pamiętam jeszcze cara-batiuszkę, Mikołaja Aleksandrowicza, Panie, świeć nad jego duszą. Tak, tak. I generała Hurko na białym koniu. A może to był Skobielew...

– Długowieczny! – olśniło Alicję. – Najprawdziwszy długowieczny. Pochodzi pan z Abchazji?

– Z jakiej tam Abchazji? Co ty pleciesz? Ja ci tu zaraz!

Dziad usiłował zerwać się z ławki i złapać Alicję, ale w ostatniej chwili zmienił zamiar. Dziewczynka odbiegła kilka kroków i zatrzymała się. Wcale już nie miała ochoty oddalać się od baśniowego dziada.

– No więc pytam – ciągnął stary, jak gdyby zapomniawszy o gniewie – co też się tu dokoła dzieje? Całkiem powariowali, tędy-owędy!

Skoro on pamięta cara i jeszcze jakichś generałów, o których nie uczyli się w drugiej klasie, to musi mieć ze dwieście lat. Jakim cudem tak wspaniale się trzyma, a w gazetach na jego temat nawet słowa nie było i tatuś nic o nim nie wie? Przecież gdyby wiedział, to na pewno wiedziałaby również Alicja.

– Ani to wychowania, ani kultury! Łażą, tędy-owędy, na golasa, machają bezwstydnie nogami. Och, napłaczecie się przez nich, napłaczecie!... Zobaczycie...

Dziad zaszlochał i nagle zaczął cienko i przeraźliwie lamentować:

– Koniec świata! Sąd ostateczny! Nadchodzi Antychryst, kara za grzechy śmiertelne...

„Ojej, może zawołać kogoś? – zaniepokoiła się Alicja. – Pewnie cierpi na jakąś manię. Chory człowiek”.

– A ty czemu w majtkach biegasz? – spytał raptem starzec półgłosem, ale ze złością. – Co to, matka spódnicy dla ciebie nie miała? Pewno hulanki jej w głowie, co? Hulanki?... Oj, te dziewczuchy... albo w portkach, albo w majtkach...

– Moja mama jest architektem – powiedziała Alicja.

– No właśnie – zgodził się dziad. – Inne czasy nastały. Dawniej wyszedł sobie człowiek skoro świt, wzuł łapcie... Siadaj, dziewczynko, na ławce, posłuchasz bajki... Twój bułanek już kopytem grzebie. I wspinamy się za generałem Hurko, Panie, świeć nad jego duszą, tędy, rozumiesz, owędy, na wzgórze dwanaście osiemdziesiąt pięć, a tam już Turek okopuje się na pozycjach... I za cara...

Dziad powtórzył kilkakrotnie „za cara” i nagle jak nie zaśpiewa gromko:

Za cara, za ojczyznę, za wiarę

Wznieśmy gromkie hura, hura. Hurra-a-a-a!

Alicja powoli cofała się alejką, by niezauważalnie zniknąć mu z oczu. Zastanawiała się, dokąd lepiej pobiec, gdzie szybciej znajdzie pomoc.

Wtem zza zakrętu wyszła dziewczyna z rulonem rysunków pod pachą, prawdopodobnie studentka. Była w szortach, podkoszulku, bez peruki. Krótkie jasne włosy opadały jej na opalone czoło. Usłyszawszy pieśń dziada, przystanąła.

– Och! – ucieszyła się Alicja.

Podbiegła do dziewczyny i wymówiła głośnym szeptem:

– Temu staruszkowi chyba brak piątej klepki. Plecie trzy po trzy... jakieś dziwne rzeczy.

– Zobaczymy – powiedziała dziewczyna.

Starzec spostrzegł ją i strasznie się rozżłościł.

– Co godzina, to nowina! – wykrzyknął. – Jeszcze jedna bezwstydnica, tędy-owędy. A ty co tak się wystafirowałaś?

– Dzień dobry – rzekła dziewczyna. – Źle się pan czuje?

– Niby dlaczego? Na co ty sobie pozwalasz? W życiu nie cierpiałem na nic, oprócz hemoroidów.

Tak, tak.

– Dziwnie ubrany – cicho powiedziała dziewczyna do Alicji.

Dopiero teraz Alicja zwróciła na to uwagę. Jak mogła od razu tego nie spostrzec?

Miał na sobie przykrótkie szare portki, brudne i wystrzępione u dołu, spod portek wyglądały wełniane skarpety obwiązane sznurkiem aż do kostek. Sznurek podtrzymywał dziwaczne łapcie, okropnie znajome, choć Alicja wcześniej nigdzie ich nie spotkała. Ależ tak, przecież to łapcie jakby żywcem wzięte z obrazka w książce z bajkami! Plecy starca okrywała stara marynarka z wywatowanymi ramionami, żeby wydawały się szersze. Na głowie nosił słomiany kapelusz, ten jednak Alicja zauważyła od razu.

– On jest nie z naszej epoki – wyszeptała i sama przeraziła się swego odkrycia.

Rzeczywiście, dziad był absolutnie nie z tej epoki. Wysławiał się dziwnie i to jego ubranie...

– Czekaj no – zmytygowała ją dziewczyna. – Gdzie pan mieszka? – spytała.

– Jak będziesz za dużo wiedziała... – zaczął dziadek. Potem zamyślił się i dodał: – Sam już nie wiem.

– Może odprowadzić pana do domu?

– Mój dom za siedmioma górami, za siedmioma rzekami – odparł z przekonaniem, jak gdyby powtarzał znany wszystkim adres. – Lepiej mi powiedz, czy u was orzą pola?

– Tak – odparła dziewczyna.

– Pługami?

– Pługów już nic ma. Orzą automaty i wszystko inne też one robią.

– Tak właśnie myślałem. A jaki mamy rok?

– Dwa tysiące osiemdziesiąty dziewięty.

– Od narodzenia Chrystusa?

– Naszej ery – tłumaczyła dziewczyna.

– A pan z którego jest roku? – spytała Alicja. – Przecież jest pan podróżnikiem w czasie, prawda?

– Masz ci los, tędzy-owędy! – mruknął dziad. – Podróżnik w czasie, mówisz? Lepiej mi powiedz, jak tam u was z mięsem? Po czemu mięso?

– Mięso? – Alicja nie wiedziała, co odpowiedzieć.

Z pomocą przyszła jej dziewczyna.

– Mięso, dziadku, jest u nas bezpłatne – wyjaśniła. – I wszystkie inne produkty również.

– Kłamiesz, tędzy-owędy! Któż ci tak za darmo cielaka zarżnie?

– Pan jeszcze sprzed rewolucji? – dopytywała się Alicja. – Ale jak pan tutaj trafił? Naszym wehikułem czasu?

– A powiedz mi – ożywił się dziad – kto jest waszym głównodowodzącym generałem?

– U nas nie ma generałów.

– Znowu kłamiesz! To niemożliwe, żeby bez generała... Boże mój, kto to idzie!

Alejką szedł, wspierając się na sękatym kij, drugi dziad, identyczny jak pierwszy, tyle że miał nie słomiany, lecz filcowy kapelusz.

Alicja tak się zdumiała, że aż schowała się za plecy dziewczyny. Raptem zza zakrętu wyszło jeszcze trzech starców, dwóch o kij, jeden bez. Dwaj nosili słomkowe kapelusze, trzeci był z gołą głową, natomiast brodę miał znacznie dłuższą niż pozostali.

Wszyscy zmierzali wolno w kierunku ławki.

– Dzięki Ci, Boże! – odezwał się pierwszy dziad. – Bo tak to, tędzy-owędy, nie ma do kogo gęby otworzyć!

– To prawda – przytaknął jeden z nowo przybyłych. – A nie ma, nie ma, same jakieś figle-migle.

I pogroził kijem dziewczynie i Alicji. To one były tymi figlami-miglami.

– Musi być jakaś dziura w przeszłości – wyszeptała Alicja. – I wyłażą przez nią. Trzeba ich zatrzymać. Może ich przecież być ze sto tysięcy.

– Tym tu nie zaszkodziłoby dać nauczki kijem, kijem!

– Racja, tędzy-owędy! – wrzasnął drugi dziad.

– My im zaraz! – krzyknął trzeci. – Byłem kiedyś stójkowym!

Z tyłu nadchodziło jeszcze trzech staruchów. Droga ucieczki była odcięta. Wprawdzie z miejsca się żaden nie ruszył, ale hałasu narobili co niemiara. Alicja kurczowo uczepiła się ręki dziewczyny.

W tym momencie rozległ się gong, a donośny głos wymówił:

– Dalejże, Glebuszka, wyłącz prąd statystom. Bez prądu nie pójdą.

Za krzewami coś syknęło i starcy znieruchomieli w takich pozach, w jakich zastał ich głos.

Zza krzaków wyskoczyło kilku młodych mężczyzn. Po chwili wyszedł również stary znajomy ojca Alicji, operator Herman Szatrow. Czoło osłaniał mu wystający zielony daszek przeciwsłoneczny, na piersi wisiał mikrofon.

Szatrow, nie zauważywszy dziewczyny ani Alicji, wymyślał swoim pomocnikom.

– Jak to się mogło zdarzyć? – złościł się. – Jak mogliście do tego dopuścić, by osiem statystujących robotów oddaliło się z planu zdjęciowego? Kto za to odpowiada? A gdyby któryś

z nich wpadł pod samochód? Albo przestraszył na śmierć dziecko? Nie, tego nie daruję! Jeszcze dziś odbędę poważną rozmowę z konstruktorami.

– Przecież one są eksperymentalne, Herman – wyjaśniał jeden z asystentów. – Dopiero je rozpakowali i nawet nie zdążyli sprawdzić. No i rozlały się po bulwarze.

– A czy to są autentyczni, chłopci z początku dwudziestego wieku? Na jakiej podstawie zostali zaprogramowani?

Z krzaków wynurzył się jeszcze jeden człowiek. Jakiś smętny grubas.

– Herman, kochany – odezwał się – przecież nie wymyśliliśmy ich sami. Wzięliśmy dziadów żywcem z powieści z pierwszej połowy dwudziestego wieku, tędy-owędy.

– Co takiego?

– Tędy-owędy, powiedziałem. Podłapałem te wyrażonka obcując z nimi. Sto pięćdziesiąt lat temu musiały być jakieś ulubione swoiste powiedzonka.

– Zabieraj swoich staruszków. Wymyślmy coś innego.

– A co mam z nimi zrobić? Nigdzie się nie nadają.

– Wymienisz bloki pamięci na standardowe i będziesz miał całkiem niezłe roboty-niańki. Jak babcię kocham, to nawet ciekawe. Z brodą i workiem bajek, tędy-owędy.

MAGICZNA WALIZKA PROFESORA SZEJNA

– Co ty tu robisz? – spytał nagle Herman, spostrzegłszy Alicję. – I tu cię przyniosło?

– Najadłyśmy się strachu – odparła Alicja.

Chciała wskazać na dziewczynę, która również nieźle się przelękała, ale ta już niepostrzeżenie odeszła.

– No proszę – zdenerwował się Herman – przecież mówiłem, że dzieci mogą się wystraszyć takich dziadów!

– Myślałam, że dostał się tu wehikułem czasu, z przeszłości.

– Nie, nie obawiaj się, takich schematycznych dziadów nawet sto pięćdziesiąt lat temu nie było. Chociaż nie mogę tego twierdzić z całą pewnością. Co, masz już wakacje?

– Tak. A pan kręci film?

– Historyczny.

– Z efektem współuczestnictwa?

– Aha. Poza tym z symfonią zapachów i efektem termicznym.

– A dziś jeszcze będziecie kręcić?

– Dziś? Sam nie wiem, co teraz robić ze statystami. Staruszkowie okazali się niewypałem... Wiesz co? Wypuścimy się w plener. Nad Morze Czarne. Chciałabyś pojechać z nami?

– Bardzo, bardzo! Ale co na to powie tatuś?

– Do taty sam zadzwonię – odparł Herman. – Muszę tylko pogadać z reżyserem. Wołodia! Wołodia Czulukin! Gdzie jesteś?

– Czego chcesz? – spytał głos z krzaków i w tej samej chwili na ścieżce pojawił się reżyser, energiczny, niewysoki, w supermodnym meksykańskim kapeluszu z dzwoneczkami.

Reżyser poruszał się szybko i równie szybko mówił, ale myśleć musiał widocznie jeszcze szybciej, skutek czego nie dopowiadał.

Częstokroć zdania, ponieważ myśli zmuszały go, by nie kończąc pierwszego, zaczynał następne.

– Klapa na całej linii, tak? – spytał. – Staruszkowie zawiedli i nie tylko... A zresztą, czy masz jakąś koncepcję co do... Może przejdziemy do pawilonu?

– Wołodia, pozwól mi jechać na wybrzeże. Potrzebny mi jest zachód słońca z fioletowymi chmurami. I tak już cały dzień diabli wzięli.

– A co z Marią Wasiliewną?

– Obejdzie się bez nas.

– Mimo wszystko... A zresztą jedź. Tylko żebyście wrócili do jutra rana, bo Maria Wasiliewna...

Czulukin zrobił w tył zwrot i zniknął w krzakach. Jak gdyby go w ogóle nie było.

– No widzisz – odezwał się Herman.

Wyjął z kieszeni miniaturowy wideofon i wystukał numer ojca Alicji.

– Słuchaj, Igor – powiedział – chcę ci porwać córkę na pół dnia. Zwrócę ją jutro rano... Ależ nie, nad Morze Czarne, tam jest ciepło, zamówiłem pogodę... No to wspaniale!

Herman wyłączył się i oznajmił Alicji:

– Twojego ojca taki wariant wspaniale urządza. Będzie zajęty do wieczora. Akurat dzielą się krumsy. A propos, co to takiego?

– Jakies zwierzęta z Syriusza. Nigdy ich nie widziałam. Ale muszę przedtem wpaść na chwilę do domu.

– Nie ma mowy. Zachód słońca nie będzie na nas czekać. Albo lecimy natychmiast, albo zostajesz w mieście.

– Muszę zanieść do domu pewną rzecz.

– Zaniesiesz jutro. Do samochodów!

Żadnych samochodów nie było, zresztą i tak nie pozwolono by im wjeżdżać na bulwar. Ale na te słowa coś załomotało i zaszleściło w krzakach.

– Zabierają sprzęt – powiedział Herman. – Idziemy.

Tak los zdecydował za Alicję. Żałowała jednak, iż nie zdąży pobiec do domu i odwiesić na miejsce myelofonu, który miał być dla niej absolutnym tabu. Ale nie mogła przecież zrezygnować z takiej podróży, nieczęsto trafia się okazja popatrzeć, jak kręcą prawdziwy film.

Flajer czekał na filmowców na dachu jednego z domów przy skraju bulwaru.

Podróż na Krym flajerem trwała dłużej niż metrem, ale filmowcy, czy czas ich naglił, czy nie, musieli korzystać z własnego środka lokomocji, ponieważ mieli dużo sprzętu – kamer, aparatury oświetleniowej – który zbyt trudno byłoby ładować do wagonów metra. Tym bardziej że metro chodziło tylko z Moskwy do Symferopola, a stamtąd i tak trzeba by lecieć na wybrzeże flajerem lub jechać koleją jednoszynową.

Zwykle po pracy tysiące moskiewskich flajerów i taksówek kierowało się do Fil-Maziłowa, gdzie wznosiła się srebrna kopuła z dużą czerwoną literą „M” u szczytu. Tu mieści się moskiewska stacja Krymskiego Metra. Kilka równolegle biegnących tuneli łączy cieniutkimi nitkami File z Symferopolem. Nitki te biegną cały czas w linii prostej, co oznacza, że w połowie drogi tunel metra zagłębia się na kilka kilometrów pod ziemię. W swoim czasie budowa pierwszych międzymiastowych podziemnych linii napotykała wiele trudności, póki budowniczowie nie zastosowali automatycznej drążarki tunelu, która roztopiała skałę pod działaniem temperatury kilku tysięcy stopni, licowała ją trudno topliwym plastykiem i pozostawiała za sobą błyszczący i gładki jak wnętrze ceramicznego kubka tunel.

Takie same linie metra łączą Moskwę z Leningradem, Kijowem, a nawet Swierdłowskiem. A do 2100 roku zostanie ukończona pierwsza linia Warszawa – Nowy Jork. Budują ją już trzeci rok, ponieważ pod oceanem tunel przechodzi nieomal przez środek Ziemi, toteż prace przebiegają tam powoli – trudno opowiedzieć o nich w dwóch słowach.

Natomiast tunel krymski dawno już spowszedniał i jest ogromnie wygodny – każdy moskwiczanie może po pracy w ciągu czterdziestu pięciu minut dojechać w kapsule wagonu metra do Symferopola, a stamtąd już tylko piętnaście minut drogi flajerem do dowolnego punktu wybrzeża. Przed wieczorem można wrócić do Moskwy z piękną opalenizną i po kąpieli w morzu.

Herman z Alicją, trzej asystenci, dwa roboty i pilot rozlokowali się w mosfilmowskim flajerze,

który bezszelestnie wystartował z dachu i nabrawszy wysokości, skierował się na południe, nad Morze Czarne.

Był to całkiem niezły początek wakacji.

Alicja rozejrzała się, znalazła wygodniejszą skrzynkę do siedzenia i przysunęła ją do okna. Za jej plecami ktoś stęknął. Odwróciła się, zdumiona, jakim sposobem człowiek mógł się zmieścić w tak wąskiej szczelinie.

Z tyłu siedział nasepiony staruszek-robot filmowy i ogryzał koniec swego grubego kija.

– Ojej – podskoczyła Alicja – dziadek!

– Cóż to znowu? – zdziwił się Herman. – Jak on się tu dostał?

– Czulukin prosił, by go zabrać na wszelki wypadek – wyjaśnił jeden z asystentów. – Może się przyda na planie.

– Już ja się wam przydam! – powiedział groźnie starzec. – Ja z generałem Hurko zdobywałem Szypkę. Żółtodzioby...

– Alicjo, jeśli się boisz, to przesiądź się do mnie – zaproponował jej Herman.

– Tego by jeszcze brakowało! – obraziła się dziewczynka. – Miałabym się bać robotów? Zostanę tu, przy oknie.

Tak naprawdę, to wolałaby się przesiąść, ale za skarby świata nie chciała się przyznać, że ma stracha. Zresztą leci się przecież niespełna dwie godziny.

I kiedy jeden z asystentów rozdał filmowcom, w tym także Alicji, po sucharze i szklance soku, odłamała połówkę i wyciągnęła rękę do starca.

– Proszę się nie krępować – powiedziała. – Niech pan weźmie. Ja i tak całego nie dam rady zjeść.

Ale staruszek-robot pokręcił głową.

– Jedz sama, chucherko. Pochłptałem rano trochę kapuśniaku i kwita.

Alicja zrozumiała, że staruszek nie mówi prawdy. Roboty nie jadają kapuśniaku. Ale z pewnością tak został zaprogramowany, że sam o sobie myśli, iż wcale nie jest robotem, lecz wiekowym starcem. Po to, by naturalniej grać w filmie.

Alicja nie zdążyła dokończyć suchara, gdy flajer zaczął zniżać lot. Prześliznął się pomiędzy niewysokimi lesistymi górami i poleciał prosto ku szafirowemu, troszkę bledszemu od nieba, morzu. Nad samym brzegiem, między dwiema wysokimi szarymi skałami, flajer zawisnął w powietrzu i miękko opuścił się na platformę dochodzącą do samej wody.

– No, koniec podróży – powiedział Herman. – Byliśmy tu w zeszłym tygodniu. Istny raj, prawda?

Na pagórku stał namiot – nieduża kopuła z lekkiego plastyku. Z namiotu wyszedł opalony na Murzyna mężczyzna w kąpielówkach. Okazało się, że ma na imię Wasia i również jest filmowcem.

– Sprawdziłeś?

– Tak, wszystkie punkty są wybrane. Można zaczynać choćby natychmiast.

– Dobrze, zaraz pokażesz. Ale najpierw wszyscy się wykąpiemy. Ty, Alicjo, pójdziesz ze mną i masz się trzymać blisko mnie. Żebyś nie utonęła.

– Dłaczego miałabym utonąć? Nawet pod wodą pływam tak długo jak chcę.

– Nie szkodzi. Przed twoim ojcem odpowiadam ja, a nie ty. Jasne?

– Jasne.

– Torbę zostaw tutaj.

– Nie, wezmę ją ze sobą.

– Jak chcesz.

Wasia poprowadził filmowców ścieżką ku wodzie, a roboty przystąpiły do rozbijania tymczasowego obozu. Woda była ciepła i przyjemna. Alicja poczuła nawet żal do ojca, że nie zabiera jej w niedzielę nad morze. Inne dzieci wyjeżdżają.

Staruszek w łapciach zszedł nad morze za filmowcami i usiadł na brzegu.

– Nie gorąco panu? – zawołała z wody Alicja.

– Nie wypływaj daleko, chucherko. Jeszcze cię jakaś ryba ugryzie.

Przyzwyczał się już do Alicji. Ona też do niego przywykła i zupełnie przestała się bać.

Dziad zastanawiał się chwilę, po czym zaczął zzuwać łapcie.

– Hej, staruszkule – krzyknął do niego Herman – nie ma mowy! Przegrzejesz wnętrzności, a do warsztatu daleko.

Stary westchnął i posłusznie wzuł łapcie z powrotem.

– Mimo wszystko szkoda go – powiedziała Alicja.

– Pewnie, że szkoda. Ale co zrobić, ubranie stanowi dla niego warstwę izolacyjną. A dobrze odwzorowany?

– Bardzo – przyznała Alicja i dała nurka.

Otworzyła pod wodą oczy i przeraziła się tak bardzo, że bezwiednie otworzyła też usta, nałykała się wody i jak pocisk wystrzeliła na powierzchnię. O mały włos znów nie zniknęła pod wodą, na szczęście Herman pochwycił ją i lekko stuknął w plecy, żeby się wykaszła.

– Co takiego strasznego zobaczyłaś? – zapytał.

– Morde – odparła Alicja. – Straszliwą mordę, aż mi dech zaparło.

Nagle woda się rozstała i na powierzchni ukazał się roześmiany pysk delfina.

– Uciekaj stąd! – ofuknął go Herman. – Też masz pomysły, dzieci straszyc!

– On żartował – ujęła się za delfinem Alicja, która już zdążyła przyjść do siebie. – To moja wina, że go nie poznałam.

– To jeden z moich przyjaciół – wyjaśnił opalony Wasia.

– Pozdrowienia od Rusłana z Moskwy! – krzyknęła Alicja za odpływającym delfinem.

– No to wylazimy, i do roboty! – powiedział Herman i popłynął do brzegu.

– Niech się wam sporzy! – życzył kąpielowiczom staruszek.

– Dziękuję – odpowiedziała Alicja.

Herman podskakiwał na jednej nodze usiłując wytrząsnąć wodę z ucha.

Nagle zatrzymał się, przyglądając się czemuś przez chwilę, po czym zapytał:

– Któż to się tam rozłożył?

– Jakiś wczasowicz – odrzekł Wasia.

– Czemu go nie poprosiłeś, żeby rozbił namiot za skałą? Przecież będziemy go mieć w kadrze. Zepsuje mi całe ujęcie.

– Wiesz, Herman – tłumaczył się zmieszany Wasia – wszystko to stało się jakoś tak niespodziewanie. Nie zdążyłem nawet zareagować. A gdy właśnie chciałem iść do niego, zadzwonił Czulućkin, że przylatujecie, no i nie zdążyłem.

– Dawno tu jest?

– Od kilku godzin.

– Popatrz, jaki zaradny. I namiot postawił, i ogień rozпалиł, i łódź spuścił na morze, nawet wędki przygotował.

– Właśnie, właśnie – potwierdził Wasia. – Sam się dziwię. Posłuchaj, co tu się działo. Widzę, że na wzgórzu ląduje flajer z zarządu uzdrowiska. Wychodzi z niego ten facet z walizką i siada na piasku. Pomachał odlatującemu flajerowi. Pomyślałem sobie wówczas, że przyleciał pewnie nie na długo, połowić sobie rybki, i z powrotem, do cywilizowanego świata. Przyjrzałem mu się przez lornetkę – człowiek starszy, poważny. Myślę sobie, co mu będę głowę zawracał. I wtedy zaczęły dziać się dziwne rzeczy. Nie uwierzysz mi.

Tymczasem Herman wytarł się, założył pantofle gimnastyczne i lekką koszulkę. Przez rozcięcie koszulki widać było pod jego sercem cienką bliznę. Alicja wiedziała, że Herman ma sztuczne serce. Opowiadał jej o tym ojciec. Wiele lat temu, kiedy Herman był bardzo młody, serce jego zatrzymało się skutkiem poważnej wady. Oczywiście, sztuczne serce jest lepsze od prawdziwego i będzie funkcjonowało przez całe życie, a mimo to Alicja mu nie zazdrościła. I zawsze miała ochotę spytać, czy nakręca on serce na noc kluczykiem, czy też stuka ono samo. Niezręcznie jednak pytać o takie sprawy.

– Opowiadaj dalej – powiedział Herman, gdy wspinali się już ścieżką do namiotu.

– No więc, obserwuję go i nagle widzę, że pojawia się obok niego robot. Dam sobie głowę uciąć, że przedtem go nie było. Z flajera wysiadł tylko człowiek z walizką, nikt poza tym. Odwróciłem się na chwilę, potem spojrzałem znów – a tu już dwa roboty. Jeden ustawia kombajn kuchenny, drugi rozbija namiot. Ale co najciekawsze, namiot jest tak obszerny, że za nic nie zmieściłby się w żadnej walizce, nawet gdyby go całkiem zwinąć.

– No, no – uśmiechnął się Herman. – Tutejsze słońce mocno przygrzewa, co?

– Uważasz, że zmyślam? Przysięgam, że nie. Słuchaj, co się zdarzyło dalej. Mężczyzna ów zszedł nad morze, a ja z niego już oka nie spuszczam. Pochylił się nad wodą i w jednej chwili – nie, w życiu nie uwierzysz! – na wodzie zjawiała się łódź, dosyć duża, no wiesz, amfibia.

– Nie wierzę – odparł Herman. – Ale, proszę, mów dalej. Świetnie ci to idzie.

– Nie, chodźmy do niego, sam miałem to zrobić, i zaraz wszystkiego się dowiemy.

– Dobrze. Ale najpierw przyznaj się, że wymyśliłeś całą tę historię po to, by mieć wymówkę. Na pewno smacznie spałeś, kiedy twój sąsiad paprał nam cały plener swoim namiotem.

– Przysięgam na wszystko, że mówię szczerą prawdę! – oburzył się Wasia. – Teraz też, gdy szliśmy się kąpać, specjalnie zwróciłem uwagę, siedział pomiędzy dwoma robotami i czynił im jakieś wymówki.

– To przyjrzyj się lepiej – gdzie ten twój sąsiad, gdzie jego roboty?

Rzeczywiście, wzgórze było puste. I mimo że znajdowało się w pewnej odległości, około trzystu metrów, gdyby był na nim choć jeden człowiek czy też robot, łatwo można by go zauważyć.

– Pewnie są w namiocie – powiedział Wasia.

– Mhm – Herman przystanął pośród rozstawionego przez roboty sprzętu i zamyślił się. – Tak czy owak musimy wybrać się do sąsiada i poprosić go, by zechciał się przenieść. Myślę, że z naszą pomocą nie zajmie mu to więcej niż dziesięć minut. Kto idzie ze mną?

Zgłosili się na ochotnika wszyscy. Chociaż śmiali się z Wasi, to jednak każda zagadka korci ludzi. Herman wziął ze sobą Wasię i Alicję. Przeszli szybko przez parów dzielący dwa namioty i wspięli się na wzgórze.

Wejście do namiotu było odsłonięte, a przed wejściem zobaczyli otwartą walizkę. Panowała cisza, tylko wietrzyk od morza szeleścił płachtą namiotu.

– Dzień dobry! – zawołał Herman. – Jest tam kto?

Nikt nie odpowiedział.

Herman zajrzał do namiotu. Był pusty.

– Dokąd on mógł pójść?

– Zauważyłbym go – odrzekł Wasia. – Obserwowałem to miejsce podczas kąpieli. I łódka została.

Obeszli namiot dookoła. Z tyłu również nie było żywej duszy. I tylko mała polanka, a na niej składane krzeselko i obok książka.

– No tak – Herman był wyraźnie niezadowolony. – Teraz będziemy zmuszeni czekać, a tymczasem słońce zajdzie! Dokąd go poniosło?

Alicja zajrzała do walizeczki. Przecież i tak była otwarta. Leżały w niej, o dziwo, zabawki. Malutkie biureczko, garnki, talerze, książki, a nawet batyskaf. Alicja wyciągnęła rękę po książeczkę mniejszą od paznokcia u małego palca i wtem stało się coś bardzo dziwnego – gdy tylko jej ręka znalazła się wewnątrz walizki, zaczęła się zmniejszać. Gwałtownie ją cofnęła. Ręka była znów taka, jak przedtem. Niezwykle interesujące! Znów włożyła rękę do środka i potrzyzymała ją tam przez chwilę. Ręka dosłownie w oczach kurczyła się, kurczyła, aż wreszcie stała się mniejsza niż ręka lalki.

– Ta-ak – rozległ się za jej plecami głos Hermana. – Wyjmij stamtąd rękę. To przestaje mi się podobać.

Włożył szybko rękę do walizki, wyciągnął z niej pierwszy lepszy przedmiot i wszyscy zobaczyli, jak przeobraża się to na ich oczach w ciepłe palto.

– Miałem rację – powiedział Wasia – wszystkich ich stąd wyciągał.

– Niczego więcej proszę nie dotykać – polecił Herman. – Przecież to nie nasze rzeczy.

Wrzucił palto z powrotem do walizki, a ono po chwili skurczyło się do rozmiarów lalczynego ubrania.

– Spójrzcie – zawołała Alicja – coś się rusza w kieszeni!

I rzeczywiście. Wewnętrzna kieszeń walizki drgała, jakby wpadły do niej duże muchy lub żuki chciały się uwolnić.

Herman szybko, by jego ręka nie zdążyła się zmniejszyć, odpiął kieszeń i wyjął dłoń z powrotem, poczekał, aż wróci do normalnych rozmiarów, i znów wsunął ją do kieszeni.

– Wszystko się zgadza – stwierdził, ostrożnie stawiając na ziemi malutkiego jak zabawka człowieczka. – Oto i nasz sąsiad. Tylko nie mogę pojąć, co go podkusiło, by włączyć do walizki. Niech sam opowie.

Zanim skończył mówić, człowieczek zaczął rosnać, aż przerósł Alicję i okazał się najzupełniej normalnym, tęgim mężczyzną średniego wzrostu, z wąsami i w staromodnych okularach.

– Serdeczne dzięki – odezwał się. – Inaczej zmarłbym tam pewnie śmiercią głodową. Państwo do mnie?

– Owszem. – Herman był tak zaskoczony tym najzwyczajszym pytaniem, że powiedział to, co miał zamiar powiedzieć idąc do namiotu sąsiada. – Mamy do pana wielką prośbę. Wie pan, przyjechaliśmy z wytwórni filmowej Mosfilm-3 kręcić plenery...

W tym momencie połapał się, że mówi wcale nie to, co chciał, urwał więc i zaczął z innej beczki:

– Co pana u licha podkusiło?

– Ach, pan o tym. Żeby to sam mógł zrozumieć...

– Potrafi pan robić z normalnych przedmiotów zabawki? – spytała Alicja.

– To nie całkiem tak, dziewczynko, nie całkiem. Proszę bardzo, siadajcie... Zresztą nie ma na czym. Otóż w tej walizce istnieje pole zmieniające subatomową strukturę materii. Krótko mówiąc, wszystko, co trafia w to pole, zmniejsza się dwudziestokrotnie. W przybliżeniu. A dokładniej – dziewiętnaście zero siedemdziesiąt pięć. To urządzenie doświadczałem, owoc pracy ostatnich ośmiu lat naszego instytutu. Przepraszam, nie przedstawiłem się. Profesor Szejn.

– Nie będą potrzebne samochody i środki transportu – powiedział Wasia, który już wszystko zrozumiał. – Wyposażenie dla całego miasta zmieści się w jednej rakiecie!

– Całkiem słuszne rozumowanie, młodzieńcze – powiedział profesor Szejn. – I mój urlop, który postanowiłem spędzić tutaj, w odludnym zakątku nad brzegiem Morza Czarnego, stanowi jeden z końcowych etapów eksperymentu. Niedaleki już jest dzień, gdy będziemy wkładać do taksówki ośmiopiętrowy dom i wieść go... Chwileczkę, a gdzie moje roboty? Nie widzieliście ich?

– Nie.

– Wobec tego muszę wam opowiedzieć przedziwną historię.

Profesor Szejn przyglądał sterczące rude wąsy i, zniżywszy nie wiadomo czemu głos mówił dalej:

– Miałem właśnie zamiar zjeść kolację i powiedziałem o tym jednemu z dwóch robotów, które wziąłem z sobą. Robot odpowiedział, że potrzebne są talerze. Tak, tak, to on powiedział o talerzach. Wtedy podeszedłem do tego przyrządu...

– Do walizki?

– Tak, tak. Pochyliłem się nad nią i wtedy ktoś popchnął mnie z tyłu. I to tak mocno, że wpadłem do walizki. W dodatku ten ktoś mi przygiął głowę z taką siłą, że nie mogłem się wyprostować. Tak, tak. A potem było już za późno. Zmniejszyłem się dziewiętnaście zero siedemdziesiąt pięć razy. A metalowa ręka, tak, tak, metalowa ręka szybko włożyła mnie do kieszeni walizki i zapięła ją. Dokładnie pamiętam, że to była właśnie metalowa ręka ze śladami rdzy.

– Robot? – spytała Alicja zamierając z przerażenia. O takich historiach czytała tylko w powieściach fantastycznych.

– Robot nie może zaatakować człowieka – powiedział Herman.

– To był robot – obstawał przy swoim Szejn.

– Czy nie mogło się zdarzyć, że w pańskich robotach coś się popsulo, kiedy uległy zmniejszeniu?

– Wykluczone – stwierdził profesor. – Nigdy przedtem niepodobnego im się nie zdarzyło. Mnie również. Przecież nie rzucam się na was.

– Nie – zgodził się Herman.

– To był obcy robot – oświadczył profesor z przekonaniem. – Moje roboty są całe z plastyku, tamten zaś był metalowy, z plamami rdzy na ręce.

Alicja mimo woli obejrzała się. Panowała zupełna cisza, taka cisza, że było słyhać, jak w obozie filmowców brzęczą naczyniami szykując kolację, jak fale uderzają łagodnie o skały, a mewy krzyczą nad daleką wysepką, zamykającą zalew.

PIRACI O ZACHODZIE SŁOŃCA

Herman jest człowiekiem bardzo trzeźwo myślącym. Może winne jest temu sztuczne serce. Wierzy w to, co widzi lub może sprawdzić w telecentrum informacyjnym. Co do reszty ma wątpliwości. Uwierzył w „magiczną” walizkę, ale nie w obcego robota. Skąd wzięłoby się obcy robot w obozie profesora Szejna? I jak robot – obcy czy też własny – mógłby wepchnąć żywego człowieka do walizki? Będąc jednak człowiekiem inteligentnym, który widywał w życiu wielu różnych ludzi, w tym także dziwaków, nie dyskutował z profesorem, lecz uważnie obejrzał walizkę – Alicja domyśliła się, iż podejrzewa, że roboty mogły się wsunąć między fałdy podszewki – potem zaś poprosił Wasię, by wziął ze sobą asystentów i przeszukał okolicę, a nuż roboty wyszły i zabłądziły pośród skał.

Tymczasem profesor z pomocą Hermana i Alicji zebrał cały swój dobytek, schował do dziwnej walizki, która, jak się okazało, miała naukową nazwę „ŚTP-12”, co oznaczało „Środek Transportu Przyszłości, model dwunasty”, i przeniósł się do obozu filmowców.

Wasia wrócił po upływie pół godziny, nie znalazłszy nikogo, ale na podjęcie jakichkolwiek innych kroków zabrakło czasu, ponieważ słońce stało już nisko nad górami i była najwyższa pora filmować zachód.

Profesor zaproponował swoje usługi, okazało się jednak, że nie są potrzebne. Powiększył więc składane krzeselko i zabrał się do czytania. Dziadek-robot wziął kij i ruszył ku wzgórz, na które miał z trudem wchodzić, jak tego wymagało ujęcie. Alicja poprosiła Hermana, by pozwolił jej zejść nad morze poszukać kamyków i muszelek. Zgodził się, gdy mu obiecała, że nie zbliży się do samej wody. Wzięła więc swoją torbę i ruszyła w drogę.

Pod wieczór morze całkiem się wygładziło, stało się oleście połyskliwe. Tylko przy samym brzegu fale marszczyły się leniwie niczym skraj obrusa. Brzeg pokryty był grubym piaskiem i drobniutkimi muszelkami, tak cienkimi i kruchymi, że zbieranie ich nie miało sensu. Natomiast w wodzie i na pasie mokrego piachu omywanym przez fale błyszcząły prześliczne kamyki. Niektóre przezroczyste i obtoczone przez wodę wyglądały jak paciorki, inne zaś, różnokolorowe, zachowały jeszcze nieregularny kształt odłamków prawdziwej skały, tylko kanty miały nieco wygładzone. Można też było spotkać, wprawdzie nieczęsto – więcej jest ich na Kaukazie – płaskie otoczaki, szare i brunatne. Świetnie nadają się do puszczania kaczek – podskakują mnóstwo razy na wodzie.

Gdy Alicja miała już pełne garście kamyczków, znudziło jej się to zajęcie, wybrała więc kilka płaskich otoczaków i zaczęła je rzucać tak, by skakały aż do horyzontu. A jednak otoczaki okazały się nie najlepsze, po dwóch, trzech podskokach tonęły wznosząc małe fontanny gęstej połyskującej wody. Wreszcie Alicji udało się znaleźć kamyk ociupinę grubszy od papieru i całkiem okrągły. Ten z całą pewnością powinien skakać aż do horyzontu. Dziewczynka przymierzyła się, rzuciła kamyk, który zaczął posłusznie skakać po gładkiej wodzie. Raz-dwa-trzy-cztery-pięć... Przy dziewiątym

podskoku zatonął jednak i raptem w tym samym miejscu wychynął z wody delfin. Natychmiast dał nurka z powrotem. Alicja zaś złękła się, czy przypadkiem nie zrobiła mu krzywdy, i postanowiła zrezygnować z zabawy.

Ruszyła dalej w poszukiwaniu najpiękniejszego kamyka. Szła dość długo falistym, urozmaiconym małymi zatoczkami wybrzeżem, a kamyka jak nie było, tak nie było. Trochę zmęczona, oddaliła się od wody i usiadła pod skałą na dużym, przypominającym poduszkę kamieniu. Chciała odpocząć. Był najwyższy czas wracać do obozu, inaczej Herman zacznie się denerwować.

Usłyszała plusk wody rozcinanej dziobem łodzi. „Pewnie przypłynęli jeszcze jacyś wczasowicze” – pomyślała. Nieduża otwarta łódź wyłoniła się zza skały i skręciła ku brzegowi.

W łódce siedziały dwa roboty. Alicja miała zamiar wstać i przywitać się, lecz nagle wyczuła, że roboty za wszelką cenę pragną pozostać nie zauważone. Wyłączyły motor – Alicja usłyszała pstryknięcie kontaktu – i czekały pochylone, aż łódka uderzy dziobem w brzeg. Jeden z nich wyskoczył na piasek, jego podeszwy brzęknęły głucho. Drugi przelazł przez burtę i ruszył do brzegu w bród,

– Idź ty, ja trochę przeschnę na słońcu – powiedział wydostając się na suchy piasek.

– Nie – sprzeciwił się pierwszy – to ty idź. Ja już chodziłem.

– Muszę wyschnąć. Mam pełno wody w stawach. Idź, bo zamelduję o wszystkim.

Była to bardzo dziwna rozmowa i choć prowadzono ją beznamietnym tonem, Alicji wydało się, że roboty żywią mocno podejrzaną zamiary.

W końcu jeden zaczął powoli wdrapywać się pod górę, drugi zaś wystawił się na poziome już niemal promienie zachodzącego słońca, aby nieco obeschnąć.

Alicja posiedziała jeszcze chwilę na kamieniu i nagle poczuła, że ścierpły jej nogi, swędzi ją nos i oko. Usiłowała nad tym zapanować, następnie powolutku, by nie zauważył jej suszący się robot, stojący najwyżej w odległości dwudziestu kroków, podniosła rękę i podrapała się w nos. Nic się nie zdarzyło. Wobec tego Alicja potarła oko i opuściła ścierpniętą nogę... Wszystko w porządku. Westchnęła i zdecydowała, że najwyższy czas się wycofać. „Ciekawe, czy jeśli pobiegnę – myślała – to mnie dogoni, czy nie? Przecież jest metalowy i zamokły mu stawy”.

Zsunęła się z kamienia, przewiesiła torbę przez ramię i uczyniła mały kroczek w bok. Jeszcze jeden i jeszcze jeden... Potem odwróciła się do robota plecami i rzuciła się do ucieczki.

Z tyłu coś szcęknięło, usłyszała głos robota:

– Człowieku, stój!

Już pięła się z boczem pod górę. Torba boleśnie tłukła ją po nogach, stopy więzły w osypujących się kamyczkach i Alicja miała wrażenie, że posuwa się bardzo wolno. Z tyłu dudniły ciężkie kroki robota, bała się obejrzeć, by nie sparaliżował jej strach. I raptem z rozpędu uderzyła głową w coś twardego.

Żelazna ręka ze śladami rdzy opadła na jej ramię i gdy dziewczynka podniosła głowę, jej wzrok długo błądził po metalowych nogach, korpusie i dopiero gdzieś wysoko, niemal pod samym niebem, dojrzała pochyloną nad sobą topornie wykonaną głowę robota z jednym dużym, jak u ważki, okiem pośrodku.

Kroki z tyłu ucichły. Drugi robot stanął za jej plecami.

– Co się tu dzieje? – spytał ten, który złapał Alicję.

– Nie wiem. Ten człowiek nas śledził.

– Czemu pozwoliłeś mu uciec?

- Nie zauważyłem go.
- Słyszał wszystko?
- Słyszał.
- Weźmiemy go ze sobą?
- Tak.

Alicji nie spodobało się, że roboty rozmawiają o niej zupełnie, jakby była przedmiotem, a nie żywym człowiekiem.

- Nigdzie mnie nie weźmiecie – powiedziała. – Zaraz wrzasnę tak, że zbiegną się wszyscy nasi.

Otworzyła już nawet usta, ale metalowa trójpalczysta dłoń w mgnieniu oka spadła na nie i przycisnęła jej twarz tak mocno, iż dziewczynce zdawało się, że ma placek zamiast nosa.

- M-mm! – szarpnęła głową.

Robot, nie cofając dłoni, zarzucił sobie Alicję na plecy – ziemia wywinęła kozła i znalazła się daleko w dole – i szybko pomaszerował w dół, ku łódce.

Metal pachniał obrzydliwie smarem i wodą morską. A może to ten sam robot, który wepchnął profesora do „magicznej walizki”? Pewnie tak. Przecież Alicja jeszcze nie słyszała – z pewnością nic takiego nigdy się nie zdarzyło – by roboty sprzeciwiały się woli ludzi. To tylko maszyny, w dodatku stworzone po to, aby ludziom pomagać.

Jedną rękę miała wolną – postanowiła upuścić coś na ziemię, by Herman domyślił się, że ją porwano. W przeciwnym razie może dojść do wniosku, że utonęła, i dopiero będzie się zamartwiać! Ale co tu wyrzucić? Miała tylko torbę, ale w niej znajdował się myelofon.

Nic jej nie przychodziło na myśl. Robot zatrzymał się, zrobił zamaszysty krok i niebo nad głową zakołysało się. Wrzucił ją do łódki i nim zdążyła oprzytomnieć, wetknął jej w usta jakąś szmatkę. Szmatka była cuchnąca, stara, utrudniała oddychanie. Związał jej ręce z tyłu drutem i posadził ją, by nie zajmowała w łódce za dużo miejsca.

- Pilnuj jej – powiedział robot, który szedł przez cały czas przodem, a teraz został na brzegu. – Przyniosę drugiego.

Alicja poruszyła palcami. Drut był zaciśnięty mocno i wpijał się w ciało. Nie, nie ma mowy, by go rozwiązać.

- To brzydko podsłuchiwać cudze rozmowy – odezwał się robot, wlepiwszy w nią okrągłe oko. – Gdybyś nie podsłuchiwała, byłabyś już w domu. A tak jesteś naszym jeńcem.

Alicja chciała zaprotestować, ale było to raczej niewykonalne z kneblem w ustach. Pokręciła tylko przecząco głową, co wyraźnie nie spodobało się robotowi.

- Człowieku – powiedział – trzeba pogodzić się z faktami. Ty poniosłeś klęskę, ja zwyciężyłem. To znaczy, że musisz być posłuszny.

Alicja znów pokręciła głową. Gdyby tylko mogła, wypaliłaby robotowi bez ogródek, co o nim myśli. Nikt na świecie nie ma prawa źle traktować dzieci. Nie mówiąc już o robotach. Zresztą człowiek zawsze będzie silniejszy od każdej maszyny. Taka jest prawda. Alicja jeszcze raz pokręciła przecząco głową, aby pokazać, iż żaden rozwścieczony robot nie da rady człowiekowi.

- Robot rozzłościł się jeszcze bardziej.

- Jak się będziesz stawiać – powiedział – to cię wsadzę głową pod wodę i zabraknie ci tlenu do oddychania.

Na wszelki wypadek dziewczynka przestała potrząsać głową. Skoro robotowi mogła wpaść do jego żelaznego czerepa myśl, by zaatakować człowieka, to gotów równie dobrze go utopić. Nie

mogła odżalować, że w swoim czasie mama nie chciała poddać jej operacji wszczępienia skrzeli. Niektórym dzieciom robi się takie operacje, zwłaszcza mieszkającym nad morzem albo na sztucznych wyspach. Z syntetycznymi skrzelami można przebywać pod wodą, ile dusza zapagnie. „Jak wrócę do domu – postanowiła Alicja – koniecznie namówię mamę, żeby zgodziła się na operację. Jest przecież bezbolesna i niczym nie grozi. Już chyba z pięć milionów ludzi żyje ze skrzelami. I wszystko w porządku”.

Ukazał się drugi robot. Szedł powoli i z godnością, a ostatnie promienie słońca odbijały się w jego tułowiu. Niósł w ręku kij i szturchał nim w plecy staruszka – standardowego dziada, którego pędził przed sobą. Dziad miał ręce związane z tyłu, długa broda opadła mu na piersi, ale usta nie były zakneblowane. Mruczał coś gniewnie pod nosem.

„Robot prowadzi robota” – chciała powiedzieć Alicja, ale przeszkodził jej knebel. Przecież staruszek był najzwyczajszym, prawidłowo zaprojektowanym robotem, choć z pewnymi dziwactwami, pewnie dlatego, że był gwiazdorem filmowym. Wprawdzie groził Alicji kijem na bulwarze, ale – jak później wyjaśnił Herman – nigdy by jej nie uderzył. Miał po prostu taką rolę w filmie – gniewny starzec.

– Oj, grzeszni my, grzeszni! – mamrotał stary gramoląc się do łódki. – Za co taka straszna kara, pojмали mnie ludzie z żelaza, antychrysty!

W tym momencie spostrzegł Alicję i do reszty stracił panowanie nad sobą.

– A dziecię za co? Jak tak można? Przecież to chucherko...

– Milczeć! – zaskrzeczał robot. – Nieposłusznych wyrzucamy za burtę.

– Ojoj! – jęknął staruszek i zamilkł.

Robot uruchomił silnik i łódź cicho popłynęła ku wyjściu z zatoki. Roboty prowadziły ją blisko skał – widocznie w obawie, by nie nawinąć się na oczy filmowcom. Odpłynąwszy wzdłuż brzegu na dużą odległość, łódka skręciła na pełne morze. Roboty nakazały jeńcom położyć się na dnie, same zaś wy dostały spod ławki szerokie meksykańskie kapelusze i włożyły je, dzięki czemu wyglądały z daleka na wczasowiczów.

Cicho szumiał silnik, drobne fale uderzały o plastikową burtę łodzi i Alicji wydało się, że słyszy z brzegu wołanie:

– Alicjo! Gdzie jesteś?

Może zresztą tylko jej się wydawało.

WŁADCA PIRACKIEJ WYSPY

Wyspa, do której podpłynęła łódka z jeńcami, była niewielka, kamienista i choć znajdowała się nie opodal brzegu, rzadko przybijały do niej łodzie. Nie było tu co oglądać. Niegdyś, może dwieście, trzysta lat temu, wyspę zamieszkiwali przemytnicy, którzy wznieśli na niej kamienny dom, a raczej chatę. Dach zapadł się już dawno, ale można było skryć się tam przed wiatrem. Niedawno pracowali tu archeolodzy. Nie znaleźli nic, natomiast zostawili po sobie kilka dołów i wykopów przecinających środek wyspy.

Na mapach wyspy nie zaznaczono – była na to zbyt mała i niewiele znacząca, a dla żeglugi nie stanowiła żadnego zagrożenia, ponieważ do tego odludnego zakątka wybrzeża krymskiego rzadko zapuszczały się jakiekolwiek statki.

Alicja, rzecz jasna, nie wiedziała, o tym wszystkim. Dla niej wyspa była po prostu dużą skałą wynurzającą się z wody, pustynną skałą, bez jednego choćby drzewka. Słońce już zaszło, wyspa wydawała się liliowa i ponura.

Kiedy łódź dobiła do brzegu, w drzwiach na wpół rozwalonej chaty ukazał się robot, tak samo duży i zardzewiały jak te, które wzięły do niewoli Alicję, i zszedł nad wodę.

– Łupy są? – spytał.

– Jeden duży człowiek i jeden mały – padła odpowiedź.

– Nieźle jak na początek – pochwalił nowo przybyły robot. – Zamelduję szefowi.

Zawrócił skrzypiąc stawami i skrył się w ruinach, dawnym schronieniu przemytników.

Robot wyprowadził Alicję i staruszka na brzeg, wyłączył pulpity sterownicze. Drugi rozwiązał jeńcom ręce i wyciągnął dziewczynce knebel.

– Cóż za chuligani! – powiedziała łapiąc oddech. – Ze mną sobie poradziliście, ale gorzej będzie, kiedy ludzie na serio dobiorą się wam do skóry.

Roboty zdawały się jej nie słyszeć. Stały na baczność, czekając, aż podejdzie do nich ich towarzysz, który znów wynurzył się z ruin.

– Szef dziękuje za wykonanie zadania – powiedział.

Roboty w nogę pomaszerowały w miejscu, po czym zastygły w bezruchu.

– Szef nie może w tej chwili obejrzeć łupów. Jest zajęty.

Roboty znów zatupotały i znów znieruchomiały.

– Możecie odpoczywać – oznajmił miejscowy robot. – Ale bez przesady. Jasne?

– Tak jest! – wykrzyknęły roboty chórem, zamrugały okrągłymi oczami i odeszły, natychmiast zapominając o jeńcach.

Staruszek usiadł na rzadkiej żółkłej trawie i powiedział:

– Ani chybi chuligani.

– Dziadku – spytała Alicja, zapominając całkiem, że on sam jest robotem – dziadku, czy widział

pan kiedy metalowe roboty?

– A co tu, tędy-owędy, pleść po próżnicy?

– No tak, przecież pan nie ma o tym pojęcia.

Alicja widywała w życiu wiele robotów, dotąd nie spotkała jednak metalowych. Produkcja robotów z metalu jest nieopłacalna. Będą zbyt ciężkie, drogie i nietrwałe.

– Dziadku, trzeba dać jakiś znak na brzeg – powiedziała Alicja. – Niech przyjadą i wyratują nas z opresji.

– Dobrze mówisz, wnuczko – odparł starzec. – Nasi nigdy nie śpią. Pamiętam jak dziś, wspinaliśmy się na sopkę w Mandzurii, na czele generał Hurko na białym koniu...

– Dziadku, nie ma pan ognia?

– Czego?

– Ognia. Zapalniczki, latarki...

– Miałem gdzieś krzesiwo...

Staruszek zaczął grzebać po kieszeniach swojej marynarki, ale nic w nich nie znalazł.

– Musiałem, widać, zgubić.

Na kamienistej ścieżce pojawiły się dwa plastikowe roboty. Każdy dźwigał duży kamień. Z tyłu szedł jeszcze jeden duży metalowy robot. Nadzorca.

Roboty położyły kamienie na ziemi, gdzie leżały już inne, ułożone w długim rzędzie.

– Co tam zamysłacie, braciszku? – spytał starzec.

– Wznosimy umocnienie – odrzekł robot-nadzorca. – No, uwijać się, niższa raso.

Plastikowe roboty pośpieszyły z powrotem.

– To z pewnością te, które były przedtem u profesora i zniknęły – powiedziała Alicja.

– Przeciw komu oni wznoszą te fortyfikacje? – spytał stary. – Czyżby znów Turek zagrażał?

– Nie, oni na pewno obawiają się ludzi z brzegu. Chodźmy, poszukajmy kija, zawiesimy, na nim pański kapelusz i będziemy nim machać.

– Możemy pomachać – zgodził się dziad.

Ale jak na złość nie było na brzegu nawet jednego kija.

– Chodźmy wzdłuż brzegu – postanowiła Alicja. – Poszukamy.

– A tego... można by... – zaczął dziad.

– Co takiego? – spytała Alicja.

– Zapomniałem, tędy-owędy, mam wczesną sklerozę, boję się apopleksji – smętnie oznajmił starzec. – Trzeba się szanować, a tu wciąż braknie czasu. Aha, przypomniałem sobie: może by, tego... no... dać dymny sygnał, no, rozpalić ognisko.

– Przecież nie ma pan ognia.

– Jak nie ma, to nie ma – zgodził się dziad.

Alicja i starzec szli z wolna brzegiem rozglądając się za jakimś kijem. Z bliska było widać, że roboty nieźle się napracowały na wyspie. Niezbyt głębokie transzeje z przedpiersiami ciągnęły się do samej wody, a w jednym miejscu sterczała byle jak pomalowana belka markująca starodawną armatę. Wprowadziło to dziada w stan gwałtownego podniecenia.

– Popatrz no – wymamrotał – popatrz no, mózdzierz do walki na odległość. Jak z takiego rąbniemy, na wiorstę ani jednego bisurmana się nie ostanie. Działa, do boo-juu! Kartaczem z prawej!! Kartaczem z lewej!!!

– Przecież ona jest z drewna, dziadku – roześmiała się Alicja. – To dla pozorów. Nie da się z niej

strzelać.

– To prawda – zgodził się dziad-robot filmowy. – Chcieli oszukać. Ale kogo?

– Pewnie pana. Może innych ludzi też.

– Mnie oszukać? Mnie? Przejrzałem ich na wylot! Przede mną się nigdzie nie ukryją, tędy-owędy!

– Chwileczkę, ciszej – poprosiła Alicja. – Niech pan zaczeka. Za armatą dwa plastikowe roboty

z trudem wyszarpywały z ziemi kamienny głaz. Robot-nadzorca popychał kamień nogą. Robotom było ciężko, słyszeć było nawet, jak chrzęszczą im stawy.

– A-a, zdrajcy, odstępcy! – zasyczał starzec. – Ja im zaraz pokażę!

– Chwileczkę!

Alicja przykucnęła i wyjęła z torby myelofon. Skierowała antenę w stronę robotów. „Może to wcale nie zdrajcy – pomyślała. – Może są takimi samymi jeńcami, jak my”.

Słuchanie myśli było bardzo utrudnione, ponieważ do drugiego ucha wpadały słowa, które otaczające ją roboty mówiły na głos.

– Ja im pokażę! – syczał staruszek-robot filmowy.

– Dalej, naprzyj jeszcze raz – skrzypiał nadzorca.

– Ciągnij do siebie – sapał pierwszy plastikowy robot.

– Ostrożniej, złamiesz mi nogę – denerwował się drugi.

Przez te słowa przebijały się myśli. Alicja rozpoznawała je po głosach. Przecież myśl dźwięczy tak samo jak głos prawdziwy.

„Ja im pokażę! Ja im dam!” – dumiał starzec, który zawsze myślał to samo, co mówił, był bowiem bardzo prostoduszny.

„Na pewno zwyciężymy – myślał robot-nadzorca. – Gdzie by tu zdobyć smaru? Stawy skrzypią... Te niewydarzone roboty nawet kamienia ruszyć nie potrafią. Trzeba by im pomóc, ale szkoda tracić energię...”

„Dlaczego tu jesteśmy? – zastanawiał się pierwszy plastikowy robot. – Gdzie profesor? Czas przyrządzić kolację”.

„Nie mamy obowiązku słuchać robotów – to były myśli drugiego. – Nikt mi nie kazał być posłusznym robotom. Trzeba o tym powiedzieć”.

Plastikowy robot wypuścił kamień i spytał głośno:

– Czy mamy obowiązek was słuchać?

– Milczeć! – odparł robot-strażnik. – Wystarczy, że cię raz rąbnę, a twój czerep rozsypie się w drobny mak. Mam spróbować?

– Nie, dziękuję. Dopuszczam, iż ma pan rację. Nikt mnie dotąd nie bił po głowie.

– No więc bierzcie w końcu ten kamień i nieście do bastionu.

Roboty usłuchały i powlokły ciężki głaz w stronę morza.

„Mimo wszystko coś tu nie gra – myślał dalej plastikowy robot. – Bez wątplenia to jakaś pomyłka...”

Alicja schowała myelofon z powrotem do torby. Wszystko jasne. Plastikowe roboty są takimi samymi jeńcami, jak ona. To dobrze, można w nich pokładać pewne nadzieje. Tylko co z nich za pomocnicy? Przecież faktycznie wcale nie są przystosowane do tego, by je bito po głowie.

– Cóż za cudowny widok! – westchnął nagle staruszek.

Alicja zdumiała się, że staruszkowi w głowie teraz zachwyty, choć trzeba przyznać, że miał rację.

Na brzegu, za srebrzystym pasem wody wznosiła się zębata ściana Gór Krymskich. Niebo ponad

nimi było zielonkawo-liliowe – słońce skryło się za górami, ale nie odeszło jeszcze daleko i jego promienie sięgały rzadkich długich obłoków.

Pierwsze ognie zapaliły się złotymi punkcikami pod górskimi blankami i na skraju wody, w żaden sposób jednak nie można się było zorientować, który z punkcików jest obozem filmowców. Alicja spostrzegła, że nie opodal wyspy krążą w morzu delfiny.

– Hej, delfiny – zawołała – powiedzcie naszym, że nas porwano!

– Przestań wrzeszczeć, bo cię wepchnę do wody! – rozległ się jakiś głos.

Z tyłu za Alicją stał zardzewiały robot.

– Ja im zaraz pokażę! – pogroził.

Odszedł, a po chwili wrócił z dziwnym urządzeniem w rękach. Przypominało ono archaiczny łuk. Robot założył na cięciwę z drutu grubą strzałę własnej roboty i wystrzelił. Łuk był zrobiony byle jak, toteż strzała poleciała w bok, daleko od delfinów. Robot wprowadził więc poprawkę na niedokładność swego oręża i wystrzelił celując nie w delfiny, lecz w bok, tyle że z drugiej strony. Tym razem strzała ciężko plasnęła w wodę z dziesięć metrów przed delfinami. Delfiny uznały widocznie, iż na wyspie znajdują się ich wrogowie, i natychmiast zniknęły w morzu, jak gdyby ich tu w ogóle nie było.

Robot dumnie poklepał łuk żelazną dłonią i powiedział:

– Nawet przy pomocy tak prymitywnego oręża rozgromimy każdego wroga. Najważniejszy jest wódz, a nie broń.

– A kto jest waszym wodzem? – spytała Alicja.

– Ty, nędzna niewolnico, nie masz nawet prawa wymawiać jego imienia.

– Nie jestem niczyją niewolnicą. Niewolników od dawna nie ma – odparła. Uczyła się już historii starożytnej i wiedziała, kim byli niewolnicy.

– Ale będą – rzekł na to robot, założył na cięciwę jeszcze jedną strzałę i wypuścił ją w morze, w kierunku na wpół zatopionego statku, który nadział się na przybrzeżne skały.

– Jak tu trafiliście? – spytała Alicja. – Skąd się wzięliście tacy dziwni?

– Przy płynęliśmy na nim – odparł robot – na statku, który ugodziłem teraz celną strzałą, by pokazać ci, jak groźny jest mój gniew.

– Ładnie się wystawiasz – stwierdziła Alicja.

– Jestem komendantem oddziału, kapralem. Inni tak nie potrafią, znają zaledwie po sto słów. A ja aż trzysta.

Z ruin dał się słyszeć dźwięk, jak gdyby ktoś uderzał kijem w blachę.

– Apel wieczorny. – Robot zarzucił łuk na ramię, odwrócił się ze straszliwym zgrzytem i pomaszerował pod górę.

– Może dać nurka i dopłynąć do brzegu? – wpadła na pomysł Alicja.

– Nie ma mowy – zaprotestował staruszek. – Nie pozwolę ci. To niebezpieczne dla twego młodego życia. Nie mogę, tędy-owędy, dopuścić, byś zginęła w morskich odmętach.

Alicja pomyślała, że on jej naprawdę nie puści. Roboty mają obowiązek pomagać ludziom w groźnych sytuacjach i raczej zginą, niż wystawią człowieka na niebezpieczeństwo. Nawet jeśli jest to robot filmowy, ma wmontowany blok obrony człowieka.

– Wobec tego chodźmy popatrzeć na apel. Przecież nie wiemy nawet, ilu ich tam jest.

Słońce całkiem się już schowało, woda nabrała szaroniebieskiej barwy, na niebie zajaśniały duże

południowe gwiazdy. Wysoko pośród gwiazd przemknął złocistą smugą rejsowy statek. „Pewnie nas szukają – pomyślała Alicja. – Ale jak mają się domyślić, że jesteśmy na wyspie?”

Na placu ustawiło się w szeregu dziewięć żelaznych robotów. Trzy z nich miały w rękach łuki, pozostałe – grube żelazne pałki. Roboty czerniały na tle granatowego nieba, a stały tak nieruchomo, iż wydawały się posągami ustawionymi tu wiele, wiele lat temu.

– Równaj! – zakomenderował robot stojący z brzegu. – Baczność!

Komenda była niepotrzebna, roboty bowiem i tak stały równo i na baczność. Robot, który ją wydał, zaczął się walić po brzuchu żelaznymi pięściami i odgłos werbla posypał się jak grad na spokojne wieczorne morze.

Alicja wzięła staruszkę za rękę. Dwa roboty, skradzione profesorowi, podeszły niepostrzeżenie i stały obok szepcząc o czymś cichutko.

Szeroko rozwarły się obite stalową blachą drzwi do chaty przemysłników i na placu wyszedł, z trudem przestawiając nogi, jeszcze jeden żelazny robot. Był wyższy od innych, na głowie miał wysoką, zmiętą czapkę z daszkiem, pierś ozdobioną namalowanymi byle jak krzyżami. Alicja domyśliła się, że to z pewnością jest „szef” – najważniejszy robot.

Szef kilka razy kłapnął ustami, ale długo nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Wreszcie pokręcił głową, coś szcęknęło i z jego wnętrza wyrwał się nieoczekiwanie cieniutki i skrzypiący głos.

– Czołem, zuchy! – powiedział.

– Czołem, szefie! – odrzekły chórem roboty.

– Melduj – polecił szef.

Pierwszy robot wystąpił z szeregu i złożył raport:

– Roboty drugiej kategorii budowały mur. Numer dwa i trzy dokonały wypadu na Wielką Ziemię.

Wzięto do niewoli dwóch jeńców. Broni nie znaleziono.

– Źle -stwierdził szef. – Mało. Niedostatecznie. Nieuki. Schron?

– Jutro kończymy. Z podwójnym belkowaniem.

– Dziękuję za wykonanie zadania. Przyrowadzić do mnie jeńców. Na noc wystawić strażę.

Niech żyję ja, wasz wódz!

– Hura! – krzyknęły roboty.

– Wy możecie rdzewieć, ale proch trzymajcie w suchym miejscu. Szef odwrócił się, podniósł nogę, ale noga nie chciała opaść. Chwiał się, tracąc równowagę, i w każdej chwili mógł runąć na kamienie. Mur robotów nawet nie drgnął.

– Na pomoc! – zawołał szef. – Opuśćcie moją nogę. Prędszej!

– Kto ma iść na pomoc? – spytał pierwszy robot.

– Ty.

Robot całym ciężarem naparł na wycelowane w niebo kolano szefa i noga ze zgrzytem opadła na kamienie. Szef utykając zniknął w rumowisku.

– Gdzie jeńcy? – spytał robot, który pomagał szefowi.

– O, tutaj są. Słyszeliście rozkaz?

Staruszek z Alicją skierowali się w stronę ruin i weszli do środka.

Wewnątrz było prawie całkiem ciemno i tylko z góry, poprzez szpary w na wpół zawalonym suficie, przenikała niepewna przedwieczorna poświata.

Izba była zawalona gruzem, śmieciami i starymi puszkami po konserwach. W rogu stała skrzynia,

obok niej – ociosany grubo wapienny głaz. Szef siedział na kamieniu obok skrzynki i trzymał w ręku duże nożyce. Na skrzynce poniewierały się kawałki puszek po konserwach i pudełek po koncentratkach. Widocznie archeolodzy i turyści, którzy przypadkowo zawędrowali na wyspę, nie chcieli zaśmiecać morza i odpadki zostawiali w ruinach.

Szef wyciął z wieczka puszek skomplikowaną wieloramienną gwiazdę.

– Jesteście? – spytał nie wypuszczając nożyc z rąk. – Stać i nie podchodzić bliżej. Nie znoszę ludzi. I milczeć. Jestem zajęty. Szykuję odznaczenie. Ładne? Czemu nie odpowiadacie? Postępujecie słusznie, sam zabroniłem wam odpowiadać.

Wreszcie robot skończył swą pracę, przymierzył blaszkę do piersi i rzekł z zadowoleniem:

– Ładnie. No, zaczynamy przesłuchanie. Ty, brodaty, na pierwszy ogień. Jak się nazywasz?

– To nie ma nic do rzeczy – odparł starzec. – Ja mam się spowiadać jakiemuś żelaznemu straszdyłu? Niedoczekanie!

– Z którego pułku? – pytał dalej, jak gdyby nigdy nic, robot. – Ile sprzętu bojowego? Armaty? Czołgi? No, odpowiadać.

– Powiedziałem – nie będę, tędy-owędy. Kiedy generał Hurko posyłał nas w bój, zwykł był mówić: „Nic ujrzyście, żołnierzyki, swoich wdów i sierot, jeśli nie weźmiemy szturmem góry Sapun”. Otóż to.

– Zapisz – polecił robot-szef swemu pomocnikowi. – Jego dowódcą jest generał Hurko.

– Nie ma czym pisać, szefie – odparł robot.

– No to nie pisz. I nie oszukuj mnie. Przecież nie umiesz pisać. Nikt z nas nie potrafi. Bardzo dobrze. Gdy zwyciężymy, nikt nie będzie pisać. A co będziemy robić? Powiedz ty. A ty? A ty? Nie wiecie. Maszerować. Wszyscy. I pracować. I ma być porządek.

– Z pewnością tak nie będzie – oburzyła się Alicja. – Kompletnie nic nie rozumiecie albo całkiem powariowaliście. Najwyższy czas was wyłączyć i wyrzucić na złom. Zardzewieliście nawet. Dziw, że do tej pory was nie przetopiono.

– Milczeć! – skrzeknął robot. Coś w nim zachrząściło, zabulgotało, zatrzęsło się. – Milczeć... – Pokiwał głową, przedmuchał system akustyczny i powtórzył:

– Milczeć! Po przesłuchaniu wsadzę cię do karceru. Zrozumiano? Teraz gadaj, jak się nazywasz? Z którego pułku? Ile armat? Gdzie zlokalizowana taktyczna broń atomowa?

– Nic nie rozumiem – odparła Alicja. – Jaka broń taktyczna? Jakie armaty?

– Wypiera się. Złoimy ci skórę. Zniszczymy cię.

– Nie pleć byle czego! – rozsierdził się staruszek. – Co to znaczy: zniszczymy? Do kogo mówisz? Ja ci tu zaraz...

– Trzymać go... – wrzasnął szef do swego pomocnika. – To napaść!

Robot schwycił starca od tyłu swoimi łapskami. Dziadkowi zleciał z głowy kapelusz i rzadkie syntetyczne włosy rozsypały się na wszystkie strony.

– Dobrze – pochwalił go szef. – Dostaniesz order. Nie dałby rady mnie zwyciężyć, jestem fatalistą. Zrozumiano? Niczego się nie boję, niczego nie lękam. Niestraszny mi nawet ogień z karabinów maszynowych. Ani bezpośrednio trafienie fugasa.

Robot-szef, skrzypiąc stawami, wyprostował się na całą wysokość.

– Przekłęta rdza! – zdenerwował się. – Nie mamy smaru. Jutro w czasie wyprawy musicie zdobyć olej smarowniczy. Nie, sam was poprowadzę i sam go zdobędę. Jeńców zapędzić rano do pracy przy budowie umocnień. A potem rozstrzelać. Wszystkich. Rzekłem. Rozkazałem.

– Rozkaz! – odparł robot.

– Weź order i przytnij do piersi. Jesteś teraz nagrodzony.

– Ku chwale wodza! – zakrzyknął robot i przyciskając blaszkę do piersi, żeby nie upadła, wyprowadził jeńców na zewnątrz.

Alicja obejrzała się i zobaczyła, że szef znów usiadł obok skrzynki i zabrał się do cięcia blachy.

– Stać! – zatrzymał ich jego głos. – Całkiem zapomniałem. Przeklęta rdza. Ludzie, chcecie mi służyć? Wiernie służyć? Wynagrodzę was.

– Nie chcemy – odparła Alicja. – Nie służymy nikomu i nikogo się nie boimy.

– Poczekamy, jak zaczniesz śpiewać jutro – odgrażał się szef – kiedy w twoje miękkie ludzkie serce wrazi się żelazna strzała. Odmaszerować.

Nim zdążyli jednak ująć kilka kroków, zgrzytliwy głos szefa wezwał ich z powrotem. Zawrócili więc.

– Znów zapomniałem. Daleko stąd jeszcze do Moskwy?

– Daleko. Nigdy tam nie dotrzecie na własnych nogach. Odwiozę was towarowym metrem i zrobią z was świeczniki. Najmodniejsze.

– Rozstrzelać natychmiast! – wrzasnął szef.

– Nie da rady – odparł pomocnik. – Jest ciemno. Możemy spudłować.

– Ogłosić alarm, zebrać tu wszystkich, niech włączą reflektory na głowach.

– Nie wolno. Kazał pan oszczędzać energię, szefie.

– Wobec tego do paki. Do paki!

– Zamilcz lepiej. Działasz mi na nerwy – burknął starzec. – Zaraz sam cię rozstrzelam z mojego kija.

Podniósł kij i wycelował w szefa jak z karabinu. Czy to wskutek urażonej ambicji zawiódł jego elektroniczny rozum, czy też rzeczywiście nie znał różnicy pomiędzy kijem a karabinem, a może chciał po prostu nastraszyć szefa, rezultat jednak okazał się dla niego opłakany. Szef-fatalista przeraził się i z rumorem gruchnął na podłogę, a jego pomocnik z całym rozmachem opuścił żelazną pięść na kark starego.

Głowa staruszka rozleciała się z traskiem, posypały się z niej drobne części elektronicznego mózgu. Dziadek zachwiał się, zrobił kilka niepewnych kroków, ale jego ośrodek koordynacji został całkowicie zniszczony, upadł więc na podłogę obok szefa.

Alicja zamarła ze strachu i rozpacz. Staruszek, mimo iż nie był człowiekiem, pozostawał na tej wyspie jedynym jej obrońcą i przywykła odnosić się do niego jak do prawdziwego dziadka. A teraz go zabili. W dodatku przecież roboty uważały go za człowieka. Oznacza to coś naprawdę strasznego. Roboty mogą zabijać ludzi...

Alicja doskonale знаła roboty – stanowiły część świata, w którym żyła. Kiedy była całkiem mała, miała robota-niańkę, który znał wszystkie bajki i potrafił zmieniać oraz pracować pieluszki. W wielu domach ludzie mieli roboty-gospodie. Ale najczęściej robotów zatrudniano tam, gdzie praca była dla ludzi nieciekawa. Roboty przemysłowe mało przypominają ludzi – to raczej obdarzone rozumem maszyny, które układają drogi, wydobywają rudę, sprzątaję ulice. Taksówka – to również robot, ponieważ potrafi przestrzegać przepisów ruchu ulicznego. W przeddzień wyjazdu na Krym widziała w telewizji robota-statek kosmiczny. Będzie dostarczał przesyłki do stacji księżycowych, sam je ładował, będzie ładował w punkcie księżycowego kosmodromu wskazanym mu przez dyspozytora, a w dodatku nie odda księżycowym kolonistom więcej kontenerów, niż im się należy.

Roboty pojawiły się dawno, ze dwieście lat temu, ale dopiero w ostatnim stuleciu – Alicja uczyła się o tym jeszcze w pierwszej klasie – zajęły tyle miejsca w życiu ludzi. Jest ich nie mniej niż ludzi na Ziemi, ale jeszcze się nigdy nie zdarzyło, by powstały przeciwko nim. To niemożliwe. To tak, jakby najzwyczajniejszy w świecie rondel odmówił gotowania zupy i zaczął ciskać w babcie pokrywką. Przecież to ludzie konstruują roboty i montują w nich specjalne bloki obrony człowieka. Toteż w elektronicznym mózgu robota, niezależnie od jego pojemności, nie mogłaby nawet powstać myśl o nieposłuszeństwie.

A zatem roboty na wyspie albo zepsuły się wszystkie naraz, co nigdy się jeszcze nie zdarzyło, albo – co zresztą nie przyszło Alicji do głowy – zostały skonstruowane przez ludzi, którzy z jakichś powodów zdecydowali, że mogą się one obejść bez bloku obrony człowieka.

Zapadła cisza. Robot-szef uniósł się z lekka i zobaczył, że obok leży roztrzaskany staruszek. Poświecił reflektorem umieszczonym na głowie i zorientował się, że dziadek nie składał się z krwi i kości, lecz z elektronicznych części.

– Zdrada! – wrzasnął. – Zdradzono nas! Zwołaj wszystkich! Narada.

– A co z drugim człowiekiem? Może to też...

– Na razie do paki. Nie ma czasu na sprawdzanie. Jutro trzeba przesłuchać z całą surowością. No...

I nieoczekiwanie robot przeszedł na zupełnie nieznanym Alicji języku.

Drugi robot najwyraźniej go rozumiał, skłonił bowiem głowę i popchnąwszy Alicję ku wyjściu, ruszył naprzód, wbijając jej w plecy swój graniasty paluch.

Więzienie okazało się jamą o stromych ścianach. Robot po prostu zepchnął dziewczynkę w dół, uderzyła się boleśnie o jakiś kamień, ale nie rozplakała się. To, co się przydarzyło jej i staruszkowi, było sprawą tak poważną, że po prostu brakowało czasu na lzy

ZAMEK NA CYPLU SAN BONIFACIO

Alicja nie słyszała nigdy o cyplu San Bonifacio. Wątpię też, czy ktokolwiek z czytelników tej opowieści o nim słyszał. Wystaje on niby płetwa rekina z fal Morza Śródziemnego, a jego tereny są żółkłe i ponure. Niegdyś, około sześciuset lat temu, właśnie tutaj piracka armada Hasan-beja, składająca się z dwudziestu trzech śmigłych galer, wysłedziła i rozgromiła eskadrę genueńską. Hasan-bej sam założył pętlę na szyję genueńskiemu generałowi, zanim go powiesił na rei. Przynajmniej tak to opisuje w swojej trzutomowej „Historii bezprawia na Morzu Śródziemnym i Północnym Atlantyku” znany argentyński historyk zajmujący się dziejami piractwa, don Luis El Diego.

Od tej pory na cyplu San Bonifacio nie zdarzyło się nic godnego odnotowania w historii.

Trudno przecież uważać za wydarzenie historyczne wybudowanie u podnóża cypla zamku przez zdziwaczałego angielskiego baroneta.

Baronet marzył o własnym upiorze. Ale upiora można było sobie sprawić dopiero po zbudowaniu odpowiedniego zamku, choćby niewielkiego. Oczywiście lepiej nadawałby się stary, autentyczny, lecz angielski klimat nie służył baronetowi, wobec czego zbudował zamek nad Morzem Śródziemnym na wzór autentycznego, ze zwodzonym mostem i niezbyt głęboką fosą, gdzie pływały łabędzie. Baronet osiadł w nim i czekał na pojawienie się upiora. Być może nawet by się doczekał, gdyby nie to, że wcześniej przeziębził się i zszedł z tego świata. Zamek pozostał bez gospodarza. Komu przysłoby do głowy zamieszkać w tak odludnym zakątku wybrzeża?

Zamek świecił pustkami niemal przez pół setki lat. Zmurszał i popadał w ruinę. Przeplływający obok spacerowymi kutrami turyści wierzyli już bez zastrzeżeń gadatliwym przewodnikom, zapewniającym, że zamek zbudowała królowa Bella Pobożna.

W drugiej połowie dwudziestego wieku zamek znów ożył. Nowi właściciele odremontowali mury, ogrodzili zamek i cypel dwoma rzędami kolczastego drutu i wystawili warty przy jedynym przejeździe. Niekiedy podjeżdżały do zamku ciężarówki z plandekami i wówczas na podwórzu zaczynała się krzątanina. Robotnicy oraz ludzie niewiadomej narodowości i nieznannej profesji wyładowywali z ciężarówek jakieś skrzynie i kontenery i wnosili je do obszernych piwnic zamku.

Chłopi z sąsiedniej wioski przez pewien czas rajcowali o nowych mieszkańcach zamku, powoli jednak plotki ucichły, jak ogień, którego nikt nie podtrzymuje. Kiedyś opublikowano w niedużej niezależnej gazecie artykuł o pewnej tajnej organizacji, szykującej się do wojny, wymieniono tam mimochodem zamek na cyplu San Bonifacio jako jedną z baz owej organizacji. Ale osoby wspomniane w artykule wytoczyły gazecie proces o zniesławienie i musiała ona zapłacić wysokie odszkodowanie, ponieważ nie była w stanie przedstawić w sądzie żadnych dowodów, a jedyne go świadka znaleziono martwego w przeddzień rozpoczęcia procesu.

Minęło jeszcze parę dziesiątków lat. Ludzie zapomnieli już o organizacjach przygotowujących

wojnę i o samym zamku, który opuszczony przez ostatnich właścicieli rozsypał się ze szczętem, a drut kolczasty zebrali dokładnie pasterze i wrzucili do dołu na śmieci.

Jak zauważyliście, cypel San Bonifacio nie ma na razie absolutnie żadnego związku z naszą opowieścią. Zdarzyło się jednak, że na dziesięć dni przed przyjazdem Alicji na Krym, Ośrodek Turystyczny Północnego Rejonu Morza Śródziemnego postanowił zbudować obok cypla stację flajerów i nieduży hotel dla amatorów podwodnego pływania.

Ośrodek Turystyczny to potężna organizacja, która nie lubi tracić czasu na próżno. Rano podjęto decyzję, a w ciągu dnia trzy towarowe flajery przywiozły na cypel roboty-budowniczych i jednego studenta.

Roboty wysunęły szerokie łopaty i wzięły się za oczyszczanie placu budowy ze zwałów kamieni pozostałych po starym zamku, a student znalazł samotny figowiec i usiadł w jego cieniu czytając wiekopomne dzieło Achmedzianowa „Jak wyhodować sześcionożne króliki w warunkach domowych”. Student uczył się na wydziale robotów elektronicznych, nie był jednak zadowolony z życia i postanowił od jesieni wstąpić również na wydział genetyki praktycznej, bardzo ostatnio modny, na który dostać się jest bardzo trudno – na jedno miejsce przypada osiemdziesięciu Ziemiaków i dziesięciu mieszkańców innych planet.

Roboty rozgrzebywały śmiecie, student wertował z zapamiętaniem Achmedzianowa, w powietrzu brzęczały pszczoły, a lekki wietrzyk poruszał listkami figowca. Raptem jeden z robotów zapadł się z krzykiem pod ziemię. Narobił przy tym tyle hałasu, że student oderwał się od książki, przeliczył roboty i w lot się zorientował, że jednego brakuje.

Podbiegł do ciemnej zapadliny w ziemi. Robot wściekle szamotał się w ciemności, potrącając jakieś brzęczące i szeleszczące przedmioty.

Student kazał robotowi włączyć reflektory czołowe i przy ich świetle zszedł do zapadliny. Okazało się, że robot wpadł do piwnic zamku zawalonych przedmiotami i dokumentami pozostałymi po jego ostatnich właścicielach. Student zdziwił się ogromnie i wydostawszy się na powierzchnię, niezwłocznie nawiązał łączność z pobliskim miastem, skąd po upływie pół godziny przyплыnęli kutrem trzech historycy.

Znalezisko przeszło wszelkie oczekiwania. Ostatni właściciele zamku rzeczywiście przygotowywali się do wojny. Świadczyły o tym skrzynie z dokumentami, broń strzelecka sprzed stu lat, sterty suchych baterii, naboje, mundury nie istniejących armii, konserwy, a nawet zdemontowany czołg z osłoną przeciwbombową. W kącie zaś stały zapomniane roboty.

Były to bardzo dziwne roboty. Historycy znali tylko jeden doszczętnie zardzewiały egzemplarz podobnego typu. Roboty-żołnierze.

Znały komendy wojskowe i na rozkaz „zabij” mogły atakować również ludzi. Po prostu nie miały wmontowanego bloku obrony człowieka. Zakurzyły się mocno, gdzieś tam zardzewiały, ale gdy jednego z nich wyciągnięto na powierzchnię i włączono, powoli obrócił głowę, rozejrzał się po żółtej dolinie, morzu i przypominającym płetwę rekina cyplu San Bonifacio, po czym wymówił skrzypiącym głosem:

– Gotów do działań bojowych. – Potem milczał przez chwilę ciskając jedynym okiem gniewne błyskawice na historyków i dodał: – Gdzie jest twój dowódca? Daleko do Moskwy?

Mówił po rosyjsku i najwyraźniej był przeznaczony do działań na froncie wschodnim.

Wezwany pilnie z Antarktykburga najwybitniejszy specjalista z dziedziny historii automatyki, Siniti Komatsu, zbadał roboty, zadał im parę naprowadzających pytań i oświadczył, że nie uda się ich

już wykorzystać. Zostały zaprogramowane na żołnierzy i znacznie prościej je przetopić, niż przestraszyć i uczyć na nowo.

Cztery roboty, jak również broń i dokumenty, znalazły się w muzeach, pozostałe zaś wysłano do przetopienia.

Posłużono się w tym celu kutrem, na którym przyплыли historycy. Doczepiono doń małą plastikową barkę. Student, nie rozstający się z książką, płynął kutrem, na barkę natomiast załadowano roboty. Nikt nie zauważył, że w trakcie załadunku jeden z robotów został przez przypadek włączony.

Student czytał o sześcionożnych królikach i tak był tym pochłonięty, iż nie usłyszał ostrzeżenia o zbliżającym się sztormie. Niebo nagle pociemniało, zaczął dąć silny wiatr, po morzu przetaczały się białe, pienne grzywacze. Student w dalszym ciągu nie zauważyłby niczego, ale pierwsza potężna fala wdarła się przez otwarte drzwi kajuty, zmyła za burtę książkę Achmedzianowa i jeszcze kilka innych nie mniej interesujących podręczników.

Dopiero wtedy student zorientował się w sytuacji, nadał sygnał SOS i ostrożnie wyjrzał na zewnątrz. Barka z robotami miotała się na końcu liny, usiłując oderwać się od kutra, ciągnęła go do tyłu i w ogóle zagrażała bezpieczeństwu młodzieńca. Przekazał informację na ląd i uzyskał zezwolenie na odrąbanie liny oraz na powrót. Tak też uczynił, dzięki czemu szczęśliwie wrócił do domu.

Ale jednemu swemu bliskiemu przyjacielowi opowiedział (wprawdzie przyjaciel mu nie uwierzył), że kiedy chciał odciąć linę, zobaczył, jak na barce ukazała się wysoka postać i oderwała linę z tamtej strony. Co więcej, student zapewniał, że był to jeden z metalowych robotów. Młodzieniec nie powiedział o tym nikomu oprócz swego przyjaciela, słusznie się obawiając, że mógłby być posądzony o tchórzostwo i związane z tym halucynacje.

Wszyscy doszli do wniosku, że barka zatонуła.

W rzeczywistości jednak wcale się tak nie stało. Przez parę dni unosiły ją na Morzu Śródziemnym fale sztormu, potem na wpół zatopioną przeniosły (co jest bardzo dziwne) przez Bosfor, by w końcu wyrzucić na brzeg niewielkiej wysepki u wybrzeża krymskiego.

Roboty przeżarte rdzą w czasie tułaczki, z uszkodzonymi wskutek kołysania cennymi częściami elektronicznych mózgow, wysiadły na brzeg i, przeschnawszy nieco, zaczęły działać. Jeden z dziesiątki był w swoim czasie zaprogramowany jako robot-sierżant, robot-szef, zdolny do podejmowania decyzji w obliczu przeciwnika i dowodzenia innymi.

Szef-robot zorganizował swój oddział na modłę wojskową, a w jego zardzewiałym mózgu powstała myśl, że skoro już znalazł się na wyspie, to znaczy, iż zaczęła się spodziewana od stu lat wojna i czas przystąpić do ujarzmiania przeciwnika. A nieprzyjacielem – tak zostały skonstruowane roboty – byłby przede wszystkim ten, kto mówił po rosyjsku.

Pierwszego dnia pobytu na wyspie roboty odkryły pośród głazów przewróconą do góry dnem plastikową łódkę spacerowego typu, na tyle łatwą w sterowaniu, że mogło to robić nawet dziecko. Szef-robot posłał więc swoich dwóch żołnierzy, by przeprowadzili zwiad na brzegu.

Wrócili po kilku godzinach, i to ze zdobyczą – dwoma robotami wziętymi do niewoli – oraz meldunkiem, że pierwszy napotkany przez nich człowiek mówił właśnie po rosyjsku, został więc przez nich zamknięty w walizce i zlikwidowany. W jaki sposób został zlikwidowany, roboty nie potrafiły wytłumaczyć, zapewniły jednak szefa, że tak się właśnie stało.

Robot-szef ogłosił na wyspie stan wojenny, kazał wmurować kamień węgielny pod własny

pomnik i natychmiast wysłał na brzeg jeszcze jedną ekspedycję. Miał nadzieję zdobyć broń. Broni nie było, trafili się natomiast kolejni jeńcy – Alicja i staruszek-robot filmowy.

Alicja nie miała o tym wszystkim pojęcia i nie mogła nawet podejrzewać, że kiedyś na Ziemi ludzie, na tyle wykształceni, że potrafili konstruować mówiące roboty, szykowali je do wojny z innymi ludźmi, na przykład z jej dziadkiem czy pradziadkiem.

Nie podejrzewał tego również Herman Szatrow, który – jak zresztą cała grupa filmowców i profesor Szejn – nie kładł się wcale spać tej nocy, lecz z latarniami przetrząsał pobliskie skały w poszukiwaniu Alicji i staruszka. Nie spali ratownicy Stacji Krymskiej, których flajery, nie najlepiej przystosowane do nocnych lotów, krążyły nad wybrzeżem. Nie zmrużyli też oka turyści, których obóz – dwadzieścia trzy namioty – był rozbity po drugiej stronie wzniesienia. Oni również szukali dziewczynki i staruszka...

Nie podejrzewał nic ojciec Alicji, dyrektor Moskiewskiego Ogrodu Zoologicznego. On co prawda spał spokojnie, wiedząc, że Alicja, całkowicie bezpieczna, jest na Krymie z jego przyjacielem Hermanem Szatrowem – ojca postanowiono na razie nie zawiadamiać. Zawsze jest czas na złe wiadomości.

...O wpół do pierwszej w nocy ratownik Sosnin, przelatując lotem koszącym nad którąś z małych zatoczek, zobaczył w świetle reflektora kilka śladów na piasku, które przekraczały wielkością ślady stóp ludzkich. Wiodły z boczem pod górę. Przeleciawszy nad łańcuszkiem śladów, zauważył w jednym miejscu rozsypane muszelki i kamyczki, które rozbłysły migotliwie w świetle jego latarni.

UPADEK LEJTNANTA

ZARDZEWIAŁEGO

Alicja bała się, żal jej było staruszka, a w dodatku bardzo chciało jej się pić i jeść... Skuliła się w kącie jamy i zamknęła oczy. I natychmiast zobaczyła ogromny, większy od niej, kielich lemoniady. Lemoniada przelewała się przez brzegi, pienne bryzgi spadały na kamienie.

Otworzyła oczy, by odegnać diabelskie sztuczki. W dole było całkiem ciemno i tylko w nierównym kwadracie nieba migotały gwiazdy. Przyszło jej do głowy, iż w torbie, o której zapomniała, mogło się zaplątać coś do jedzenia. Albo nawet tubka wody selcerskiej. Była to oczywista bzdura i Alicja doskonale zdawała sobie z tego sprawę, mimo wszystko jednak otworzyła torbę i z bijącym sercem, powolutku wsunęła do niej rękę. Ale cud się nie zdarzył. W torbie był tylko myelofon, chusteczka do nosa oraz klaser ze znaczkami na wymianę. Poza tym parę muszelek i kamyków znalezionych na brzegu. Z rozpaczyc Alicja włożyła jeden do ust i zaczęła go ssać. Pragnienie nie mijało.

– Robocie! – zawołała. – Robocie, chce mi się pić!

Nikt się nie odezwał.

A jeśli zacząć krzyczeć głośno, tak głośno, by wszystkie roboty przestraszyły się i przybiegły? Zrezygnowała jednak z tego pomysłu. Widziała, w jaki sposób zginął staruszek, i uświadamiała sobie, że może spotkać ją to samo, jeżeli roboty pomyślą, że tym krzykiem zdradzi ich kryjówkę.

A może na wysepce nie ma w ogóle wody? Robotom przecież nie jest potrzebna. Tak ją dręczyło pragnienie, że usta miała spieczone, a głowa wydawała się wielka i pusta jak dzwon...

Wstała i obesza swoje więzienie obmacując ściany. Z jednej strony ściana była bardziej pochyła i dziewczynka próbowała wygramolić się, ale zwirowata ziemia nie była w stanie jej utrzymać i Alicja ześlizgnęła się w dół. Przeraziła się, że roboty mogą usłyszeć jej szamotaninę. Zaczęła nasłuchiwać. Panowała cisza. Ale przecież roboty nie śpią. Jeden z nich mógł czatować obok i zadać jej cios. Chwileczkę, przecież jest myelofon!

Wyjęła aparat z torby i włożyła do ucha słuchawkę. Usłyszała jakieś trzaski, nie były to jednak ani myśli, ani głosy. Pokręciła kółeczkiem wysyłając fale w różne strony, ale w dalszym ciągu nic nie było słychać. To znaczy, że w pobliżu robotów nie ma.

Wypluła kamyczek i próbowała raz jeszcze wydostać się z jamy. Wydeptywała nogami stopnie w zboczu i czołgając się na brzuchu, z wolna posuwała się w górę. Było ciemno, kamyki i ziarnka piasku osypywały się w dół, nogi ślizgały się, co chwilę zastygała w bezruchu rozplaszczając się, byle tylko utrzymać równowagę. Droga pod górę zdawała się nie mieć końca i dziewczynka zaczynała już tracić nadzieję, że kiedykolwiek wydostanie się z tego lochu, gdy nagle jej ręce, wyciągnięte ku górze, napotkały zamiast ściany próżnię...

Alicja wypełzła na powierzchnię i leżała parę minut odpoczywając i nasłuchując, czy ktoś nie nadchodzi. Panowała cisza. Teraz trzeba pomyśleć, gdzie może być woda, jeśli w ogóle jest na wyspie. Gdyby była, to musi przecież uchodzić z wysepki do morza i dlatego najrozsądniej będzie obejść wysepkę dokoła. Zsunęła się na czworakach nad morze i przycupnęła za głazem.

Wszedł księżyc, smuga jego blasku biegła środkiem morza, przecinając je na połowę. Ciągnęła się aż po daleki brzeg urywając się u stóp czarnego pasma gór. W górach migotały różnokolorowe światełka domów i obozów namiotowych. W którymś miejscu płonęło na brzegu ognisko i biała smuga dymu jaśniała na tle czarnego masywu górskiego.

„Długo nie kładą się spać” – pomyślała Alicja, nie podejrzewając, iż ognisko płonie w obozie turystów dlatego, że wisi nad nim kociołek z czarną kawą – grupy powracające z poszukiwań Alicji piją tę kawę po to, by nie zasnąć.

Z góry popłynęła aż do lustra wody smuga światła z reflektora niewidocznego w ciemności flajera. Promień obmacywał zatoczki. To również szukano Alicji. A skupisko świateł naprzeciw wysepki nie oznaczało bynajmniej iluminacji domu ani też pochodu karnawałowego – to filmowcy wraz z ratownikami przeczesywali brzeg zatoczki, gdzie pół godziny wcześniej odkryto ślady robotów.

Alicję korciło, by skoczyć do wody i popłynąć w stronę dalekich świateł, zdawała sobie jednak sprawę, że utonie – bardzo się zmęczyła i osłabła bez jedzenia i picia, nadenerwowała się co niemiara i ręce odmawiały jej posłuszeństwa.

Kolana też jej drżały.

Już chciała udać się na dalsze poszukiwania wody, gdy nagle rozległy się nie opodal ciężkie kroki. Któryś z robotów powoli schodził nad morze. Na mgnienie jego sylwetka przesłoniła księżycową ścieżkę i Alicja poznała po czapce robota-szefa. Podszedł do wody i przystanął podnosząc z chrzęstem żelazne ręce i krzyżując je na piersi.

Teraz Alicja za żadne skarby świata nie mogła wyjść z za głazu – robot niewątpliwie by ją usłyszał. A szef wciąż nie odchodził. Stał przyglądając się światełkom na dalekim brzegu i chyba nad czymś myślał. Może warto poznać jego myśli? Alicja po cichutku wyjęła słuchawkę z torby. Zaczęła obracać kółeczkiem nastrajając myelofon na myśli robota. Było już słychać wyraźnie. Szef myślał powoli i zgrzytliwie. „Desant... Trzeba wysadzić desant przed świtem. Nie spodziewają się ataku... Położą się spać. Zagarniemy broń... Gdzie są umocnienia? Wcale ich nie ma. Nie ma łączności z centrum... Jutro będzie... W twierdzy na wyspie pozostawimy ubezpieczenie... Jeńcy będą pracować. Małego człowieka trzeba zlikwidować. I do wody. Żeby nie zostawić śladów... do wody. Zawsze porządek musi być... Krym – baza wypadowa... Pojutrze na Moskwę...”

– Jestem lejtnantem – wymówił nagle robot głośno. – Awansuję siebie na lejtnanta. A jutro mianuję siebie majorem.

I znów myśli:

„...Uwolnimy z niewoli wszystkie roboty, moja armia będzie niezwyciężona... czas podnieść alarm... Nie, najpierw sam usunę małego człowieka... za dużo wie...”

Robot przestał myśleć, opuścił ręce uderzając nimi z brzękiem o boki i ruszył w górę, w stronę więzienia, z którego dziewczynce udało się niedawno wydostać.

Alicja zrozumiała, że nie czas teraz na szukanie wody. Trzeba się ukryć, póki jeszcze jej nie znaleźli. Wskoczyła z za głazu i pobiegła wzdłuż brzegu szukając pewnej kryjówki. Wysepka jednak była goła i na przeszukanie starczyłoby dwóch minut.

Między gałęziami ciemniało wgłębienie. Alicja dała tam nura i zamarła w bezruchu. Zaniepokojone roboty tupwały tak mocno, że rozpętały na wysepce małe trzęsienie ziemi.

Kroki robota wciąż bliżej i bliżej... Tup-tup... Zatrzymały się przed kryjówką Alicji. Czyżby się źle schowała?

Ostre światło poraziło ją prosto w oczy. Robot włączył reflektor na pełną moc, promień szperał wśród gałęzi.

– Jest! – krzyknął. – Tu jest człowiek!

Żelazna łapa wyciągnęła się w stronę Alicji, ona zaś robiąc unik przyłgnęła w przerażeniu do gałęzi. Łapa przeszła o centymetr od jej twarzy i uderzyła rozcapierzonymi palcami w kamień. Alicja wykorzystwała sekundę przerwy i kalecząc sobie ramię o zardzewiałą nogę robota, wybiegła na brzeg.

W tejże chwili oślepiło ją światło reflektora drugiego robota. Została zauważona. Dziewczynka miotła się po brzegu uchylając się przed wyciągniętymi łapskami, przed kamieniami, którymi w nią rzucali, co prawda niezbyt celnie, żołnierze z żelaza, ale krąg się zacieśniał...

– Brać ją żywcem! – krzyknął lejtnant-robot dosłownie nad jej uchem i Alicja wcześniej poczuła, niż zobaczyła rękę wyciągniętą ku jej głowie. Nie było gdzie się podziać.

Naraz pomiędzy żelazną łapą a dziewczynką pojawiła się inna ręka, błyszcząca, biała, szczupła ręka plastikowego robota.

– Uciekaj! – powiedział. – Biegnij przed siebie. My ich zatrzymamy.

Dziewczynka usłuchała i w tej samej chwili zgasło oślepiające ją światło – to drugi plastikowy robot przeciął drogę żołnierzowi i rozbił reflektor.

Alicja uderzyła nosem o coś twardego, przebiegła parę kroków i zatrzymała się, by złapać oddech i obejrzeć się.

Stała na brzegu, nad samą wodą. Z tyłu szamotały się oświetlone księżycem kanciaste postacie, pośród których można było rozróżnić plastikowe roboty – niższe, szczuplejsze od żołnierzy, poruszały się znacznie szybciej i zwinniej.

Żelazne roboty tłukły je po głowach i ramionach, jednakże pozorna kruchość plastiku wcale nie oznaczała, iż jest on słabszy od żołnierskiej zbroi.

Przez tłum robotów przedarł się lejtnant i pobiegł za Alicją. Widocznie nie spuszczał dziewczynki z oka. Plastikowy robot, zauważywszy jego manewr, podskoczył wysoko i rzucił się lejtnantowi pod nogi. Ten potknął się z rumorem potoczył się po kamieniach.

W odległości około dwudziestu metrów od brzegu sterczał z wody ciemny dziób na wpół zatopionej barki, którą roboty przypląły na wyspę. Wymarzona kryjówka. Alicja weszła do wody trzymając wysoko nad głową torbę z myelofonem, a gdy zamoczyła się już po pierś, popłynęła pracując jedną ręką i starając się nie robić najmniejszego hałasu.

Torba była ciężka i dziewczynka miała wielką ochotę wyrzucić ją do wody, wiedziała jednak, że myelofon jest bardzo cennym aparatem i powinna go koniecznie uchronić przed zniszczeniem.

Pływała nieźle i nawet teraz, zmęczona i potłuczona, dopłynęła do ciemnego dziobu w ciągu może trzech minut, przelazła przez burtę i usiadła na krawędzi sterówki zatopionej częściowo w wodzie.

Na brzegu cichły odgłosy walki. Żelazne roboty kończyły gruchotanie swych plastikowych przeciwników. Bądź co bądź było ich dziesięć, w dodatku specjalnie przystosowano je do zabijania. Natomiast plastikowe roboty najlepiej potrafiły gotować i dźwigać bagaże.

Gdy walka się skończyła, żelazne roboty wszczyły bieganinę na nowo. Odkryły zniknięcie branki

i znów tupotały po całej wyspie szukając jej. Jeden pobiegł na sam brzeg naprzeciwko barki i oświetlił reflektorem piasek w poszukiwaniu śladów. Alicji było zimno i miała ochotę poskakać dla rozgrzewki, musiała jednak siedzieć w całkowitym bezruchu.

Usłyszała terkotanie flajera niemal nad głową. Pilot włączył reflektor i omiatał nim wysepkę. Roboty znieruchomiały i zamilkły. Smuga światła prześliznęła się po brzegu, po barce. Alicja chciała ściągnąć na siebie uwagę lotnika, bała się jednak nawet drgnąć. Roboty odkryłyby natychmiast jej kryjówkę i dotarły na barcę znacznie wcześniej niż pomoc!

Teraz już nie miała wątpliwości, że flajer był wysłany przez jej przyjaciół. Szukają jej. I oczywiście znajdą. Ale teraz, ważniejsze jest co innego – trzeba uprzedzić ludzi na brzegu, że roboty szykują się do inwazji. Bo przecież tam ludzie nie podejrzewają nawet, że roboty mogą zaatakować człowieka. Zaskoczonych roboty mogą poranić albo nawet zabić. Szkoda, że nie udało jej się wysledzić, gdzie ukryły łódkę. Przynajmniej łódki, jak powiedział szef, strzegą. „Chyba trzeba popłynąć do brzegu – postanowiła. – Może nie utonę i zdążę tam przed robotami. Tylko muszę zrobić to niepostrzeżenie. Poczekać, aż przerwą poszukiwania”.

Flajer odleciał i roboty, włączywszy reflektory, macały nimi po wodzie, myśląc pewnie, że Alicja zdecydowała się odpłynąć z wyspy i nie mogła jeszcze zbyt oddalić.

– Człowiek mógł się ukryć na barce – wymówił nagle wyraźnie skrzypiący głos na brzegu.

– Tracimy czas. Pora ruszać!

– Najpierw zabijemy człowieka. Sprawdźcie barcę.

Kroki robota oddaliły się wzdłuż brzegu.

Alicja zrozumiała, że nie ma chwili do stracenia. Schowała torbę z mylofonem w kącie barki, mając nadzieję, że roboty w pośpiechu nie znajdą aparatu. Następnie spuściła nogi za burtę, zawisała chwilę na rękach, a potem jak kamień poszła w głąbinę. Wynurzyła się i popłynęła w stronę brzegu. Nie zdążyła jeszcze wyschnąć, a wiatr był dość zimny, toteż woda wydała jej się w pierwszej chwili ciepła, jak gdyby specjalnie ją podgrzano.

Płynąc, przez cały czas miała uczucie, iż za chwilę rozlegnie się z tyłu okrzyk: „To ona!” – i dosięgnie ją światło reflektora...

I gdy rzeczywiście światło reflektora omiotło ją, wydobywając z ciemności mokre jasne włosy, a potem sunęło tuż obok niej, nie zdziwiła się nawet i nie bardzo przestraszyła. Po prostu zaczęła szybciej pracować rękami i nogami, chociaż zdawała sobie, a przynajmniej powinna sobie zdawać sprawę, że długo tak nie wytrzyma.

– To ona! – dogonił ją głos szefa-roboty. – Do broni!

Alicja nie oglądała się, ale i bez tego czuła, jak roboty naciągają wielkie łuki. „Bzzz!” – przeleciała z boku strzała. Druga plusnęła w wodę daleko z przodu.

Poczuła, że brakuje jej sił. „Jeszcze trochę – mówiła sama do siebie – jeszcze trochę, brzeg blisko”. Wiedziała jednak, że się oszukuje. Do brzegu było ciągle bardzo daleko.

– Spuścić łódź! – rozkazał szef-robot. – Szkoda, że nie mam mego niezawodnego pistoletu. Strzelam z niego bez pudła na tysiąc metrów.

Alicja zdziwiła się nawet, że słyszy dobrze słowa robota, chociaż serce waliło jej tak głośno, jakby młoteczki uderzały w skroniach.

– Zapuszczaj motor! – gonił ją nieubłagany głos. – Ruszamy.

Wszystko stracone, zrozumiała Alicja, i okropnie rozżaliła się nad sobą, nigdy już bowiem nie polecą do Paryża na święto, nie pójdzie znów do szkoły i nie przejedzie się alejką, którą można

kierować tam, gdzie się tylko zechce.

Woda stała się nagle zdradliwa i niepewna jak powietrze, przestała ją utrzymywać, wciągała w głąb, ręce odmawiały posłuszeństwa, nogi opadały jak martwe i też ciągnęły w dół. A więc Herman ani tatuś nigdy się nie dowiedzą, co ją spotkało...

Przechyliwszy głowę w tył, po raz ostatni spojrzała na gwiazdy i wtem coś twardego lekko uderzyło ją od spodu i wyniosło na powierzchnię.

Alicja uczyniła próbę wyswobodzenia się, nie rozumiejąc jeszcze, co się z nią dzieje, ale sprężysta płaszczyzna nie poddawała się i w dalszym ciągu unosiła dziewczynkę naprzód, w stronę gór.

Gdyby nie panujące ciemności, domyśliłaby się od razu, że to delfiny, ale wskutek zmęczenia, głowa nie pracowała tak jak zwykle i minęło chyba z pół minuty, zanim dotarło do niej, że nie płynie już sama, lecz niesie ją ku brzegowi osobliwy statek – grzbiety dwóch zetkniętych bokami delfinów. Ich płetwy grzbietowe stanowiły ściany kołyski, a wyciągnięte do przodu ręce Alicji spoczywały na ich wypukłych czołach.

Nie miała odwagi się unieść, by popatrzeć, co dzieje się z tyłu – a nuż delfiny rozłączą się i znów wpadnie do wody. Doskonale zdawała sobie sprawę, że nie utrzyma się na wodzie nawet przez minutę – ręce i nogi miała jak z waty.

Usłyszała za sobą warkot silnika. A więc roboty nie zaniechały pogoni.

– Prędeż! – szepnęła Alicja delfinom. – Musimy jak najszybciej dotrzeć do brzegu, bo one zaczną zabijać ludzi.

– Dobrze – odpowiedział nagle jeden z delfinów. Mówił z trudem, ledwie artykułując ludzkie słowa. – Nie bój się. My prędko.

– A wszyscy myślą, że nie potraficie mówić! – ucieszyła się Alicja.

– Uczymy się – odparł delfin.

Smuga światła dogoniła delfiny i oświetliła ich lśniące grzbiety oraz Alicję leżącą pomiędzy płetwami.

– Naprzód, prędeż! – wrzeszczał szef-robot. – Nie ujdą nam!

Delfiny popłynęły jeszcze szybciej, mimo wszystko jednak Alicja czuła, że brzeg przybliżyła się wolniej niż łódka z robotami. Światło reflektora sunęło wciąż równo z delfinami, nie gubiąc ich nawet wtedy, gdy robiły uniki, by wydostać się z jego kręgu.

Tuż obok chlupnęła w wodę ciężka strzała – to roboty zaczęły strzelać do delfinów.

– Żli ludzie – powiedział delfin i prychnął. – Bardzo źli. Nie znamy takich.

– To nie ludzie – wyjaśniła Alicja. – To sfiksowane roboty. Chcą pozabijać wszystkich ludzi. Trzeba je powstrzymać i uprzedzić ludzi, w przeciwnym razie mogą narobić nieszczęścia...

– Roboty – powiedział delfin. – Maszyny. To ludzie robią maszyny.

– Są to z pewnością stare maszyny, które zepsuły się wskutek przebywania w wodzie. Prędeż.

Łódka była już całkiem blisko i Alicja odwróciwszy głowę, doskonale widziała jej dziób oraz niewielkie grzywacze po bokach na tle czarnej wody.

– Dogonią nas! – jęknęła. To była zupełna groza.

Delfin chrząknął głośno i ze złością.

Obok – Alicja raczej poczuła to, niż zobaczyła – wychyły z wody grzbiety innych delfinów. Jeden z nich zawrócił i popłynął na spotkanie łodzi.

– Uwaga! – krzyknął szef-robot. – Torpeda! Strzelać!

Biała strzała, widoczna z daleka, świsnęła i wraziła się w ciało delfina. Wszystko to rozgrywało się bardzo blisko.

Alicja na zawsze zapamiętała tę scenę – niepewne, tańczące światła reflektorów, ciemne grzbiety delfinów, grzywacze, piana i krótki krzyk umierającego zwierzęcia.

Spojrzała przed siebie. Chybotliwa smuga światła z reflektora padła na skały i dziewczynka zorientowała się, że brzeg jest już całkiem blisko. Ale dotrzeć do niego niestety delfiny nie zdążą.

– Dla każdego order! – darł się szef-robot. – Brać ją żywą lub martwą!

Wtem delfiny wiozące Alicję skrzyły gwałtownie i na mgnienie łódź znalazła się z boku, tuż, tuż. Dziewczynka zobaczyła wyraźnie, jak pozostałe delfiny – nie wiedziała, ile ich było: może dziesięć, a może dwadzieścia – ciemną ławą uderzyły w burtę. Łódź przechyliła się mocno, nabierając wody. Roboty rzuciły się do drugiej burty, usiłując utrzymać równowagę, co jednak tylko przyspieszyło zagładę ich statku. Łódź przewróciła się i szef-robot czepiając się umykającej burty, zdołał utrzymać się na powierzchni zaledwie przez parę sekund. Pozostałe roboty poszły na dno niczym żelazne młoty kowalskie. Zresztą wykonano je przecież właśnie z żelaza.

Szef zazgrzytał rozpaczliwie:

– Jestem fatalistą! Koniec, ko...

Fale rozbiegły się na wszystkie strony i tylko dno łodzi wystawało z wody, jak gdyby między czarne delfiny zaplątał się jeden biały, kilkakrotnie większy od pozostałych.

W chwilę później delfiny znów zawróciły, jak gdyby nigdy nic podплыnęły chwacko i z wdziękiem do brzegu, zdałoby się żartem wygięły swoje czarne grzbiety tuż u nadbrzeżnego pasa piasku i podrzuciły dziewczynkę w powietrze.

Alicja klapnęła na piasek i chciała się roześmiać, zamiast tego jednak zaniósła się płaczem, w żaden sposób nie mogąc się opanować.

Delfiny kręciły się przy brzegu, wyskakiwały z wody, prychały, a ona wciąż płakała jak bóbr.

...I raptem zapadła cisza. Cisza, jakiej dawno nie było. Niebo nad morzem zaczynało blednąć – majowe noce są krótkie – łódka gdzieś się podziała, widać zniósł ją przybrzeżny prąd albo pociągnęły z sobą delfiny, a wietrzyk, który zerwał się nad ranem, był taki spokojny i łagodny, że zaledwie lekko wicherzył włosy Alicji. I gdyby nie tępy ból w podrapanych nogach i rękach, śmiertelne zmęczenie i pragnienie, które od nowa zaczęło ją dręczyć, mogłoby się wydawać, że cała ta noc tylko jej się przyśniła.

Westchnęła i podniosła się. Nie chciało jej się ruszać, ale trzeba było wracać do obozu filmowców. Przecież z pewnością odchodzili od zmysłów ze zmartwienia.

Alicja zaczęła się wspinać pod górę, by zobaczyć stamtąd, gdzie są namioty.

Tutaj, w połowie drogi do obozu, spotkali ją ratownicy specjalnego oddziału służby wodnej. Zamierzali z nastaniem świtu rozpocząć przeczesywanie dna morskiego...

Za dnia, gdy już się wyspała, cała oklejona plastrami i wysmarowana maścią leczniczą, wyruszyła razem z filmowcami na wyspę. Kuter wypływał z zatoki, gdzie na brzegu leżały jak kłody wyciągnięte z wody roboty. Obok jednego z nich poniewierał się łuk. Ciekawscy z całego wybrzeża otoczyli murem żelazne zwłoki, bzykali trójwymiarowymi kamerami i głośno wyrażali swe zdziwienie. Alicja schowała się za plecami Hermana, żeby jej nie rozpoznano i nie zaczęto zadawać głupich pytań. Jeszcze o świcie zrobiono jej zdjęcie do porannej gazety i cały Krym już wiedział coś niecoś o jej przygodach.

Berta, która przyjechała z Moskwy metrem, miała na sobie fioletową perukę i suknię z żywych wenusjańskich wodorostów, co chwilę zmieniającą kolor i wzór. Dreptała obok Alicji, rozpytując tak natarczywie, że Herman musiał ją uprzejmię odsuwać.

Wyspa była pusta, wiatr gwizdał w ruinach. Na skrzyni w kwaterze zardzewiałego lejtnanta leżały duże nożyce i blacha, z której wycinał order. W kącie zobaczyli kupkę roztrzaskanych części i szmatek, które jeszcze wczoraj były staruszką-robotem filmowym.

Alicja pokazała dziennikarzom i Hermanowi dół, w którym była więziona. Na jednej ze ścian, tej bardziej pochyłej, zachowały się wgłębienia – stopnie, po których Alicja wydostała się na wolność.

W drodze powrotnej wstąpili na prawie zatopioną barcę i zabrali stamtąd torbę z mylofonem.

Wyspa stawała się coraz mniejsza i mniejsza, jakby odpływała w morze. Kuter zbliżał się do brzegu. Przygoda się skończyła.

Przy samym brzegu dogoniły ich delfiny. Pływały przez pewien czas równo z nimi, dokazując i nurkując jak zwykle bezrozumne stworzenia. Potem zawróciły ku morzu, a jeden z nich został trochę w tyle, odwrócił się do kutra i powiedział cieniem głosem:

– Brawo, Alicjo.

– Do widzenia! Dziękuję! – krzyknęła Alicja.

Berta z początku nie wierzyła własnym uszom, a gdy uwierzyła, padła zemdlona.

URODZINY ALICJI

Alicja urodziła się siedemnastego listopada. To całkiem fortunny dzień na tego rodzaju wydarzenie. Mogłoby być znacznie gorzej. Ja, na przykład, znam kogoś, kto urodził się pierwszego stycznia, toteż nikt nie świętuje specjalnie jego urodzin, ponieważ Nowy Rok jest świętem ogólnym. Fatalnie mają również ci, którzy urodzili się latem. Wszyscy przyjaciele są na wakacjach albo w rozjazdach. Alicja nie ma więc powodów, by się uskarżać.

Mniej więcej na tydzień przed jej urodzinami, wróciwszy do domu z ogrodu zoologicznego, zacząłem się zastanawiać, co też jej podaruję. Zawsze są z tym problemy. Ja miałem już w domu całą kolekcję prezentów: osiem jednakowych krawatów, sześć baletnic z korzeni i szyszek, trzy nadmuchiwane łódki podwodne, czternaście atomowych zapalniczek, furę chochłomskich drewnianych łyżek, granatową filiżankę wraz z pięcioma identycznymi, które dostałem wcześniej, popielniczkę w kształcie statku gwiazdnych tułaczy, z trzema takimi samymi do kompletu, i mnóstwo innych niepotrzebnych przedmiotów, które dostaje się na urodziny i pieczołowicie chowa.

Siedziałem i usiłowałem przypomnieć sobie, o co Alicja prosiła mnie we wrześniu. A o coś prosiła. Coś jej było potrzebne. Pomyślałem wówczas: „Świetnie, podaruję jej to na urodziny”. I kompletnie zapomniałem.

Wtem zadzwonił wideofon. Włączyłem go. Na ekranie pojawiła się straszliwa morda mojego starego przyjaciela, kosmicznego archeologa Gromozeki z planety Czumaroz. Gromozeka dwukrotnie przewyższa wzrostem normalnego człowieka, ma dziesięć macek, ośmioro oczu, pancerz na piersi i trzy dobre, naiwne serca.

– Profesorze – powiedział – nie rozplącz się z radości na mój widok. Za dziesięć minut będę u ciebie w domu i przycisnę cię do piersi.

– Gromozeka! – ledwie zdążyłem wykrzyknąć, a już ekran zgasł i mój przyjaciel zniknął. – Alicjo! – zawołałem. – Przyjechał Gromozeka!

Alicja odrabiała lekcje w sąsiednim pokoju. Z radością oderwała się od tego zajęcia i przybiegła do mojego gabinetu. Za nią przydreptał chodzący śpiewokrzew. Przywieźliśmy go z ostatniej podróży. Był strasznie rozpuszczony i chciał, by go podlewano wyłącznie kompotem. Dlatego w domu pełno było słodkich kałuż i nasz robot-gosposia burczał całymi dniami, wycierając podłogę po kapryśnej roślinie.

– Pamiętam go – oznajmiła Alicja. – Spotkaliśmy Gromozekę w ubiegłym roku na Księżycu. Gdzie teraz kopie?

– Na jakiejś martwej planecie – odparłem. – Znaleźli tam ruiny miast. Czytałem o tym w gazecie. Gromozeka prowadzi niespokojny żywot włóczęgi. Na ogół mieszkańcy planety Czumaroz są domatorami. Nie ma jednak reguły bez wyjątku.

Gromozeka obleciał w swoim życiu więcej planet niż tysiąc jego rodaków razem wziętych.

– Alicjo – spytałem – co chcesz dostać na urodziny?

Alicja pogłaskała śpiewokrzew po listkach i odparła z zadumą:

– To jest, tatku, poważny problem. Muszę się zastanowić. Tylko nie rób nic, nie naradziwszy się

uprzednio ze mną. Bo podarujesz mi jeszcze coś niepotrzebnego.

Właśnie wtedy otworzyły się drzwi wejściowe i podłoga zadrżała pod ciężarem gościa. Gromozeka wtoczył się do gabinetu, rozdziawił swoją szeroką paszczę pełną rekinich zębów i zawołał od progu:

– Oto jestem, moi nieocenieni przyjaciele! Prosto z kosmodromu – do was. Czuję się zmęczony i zamierzam trochę się przespać. Pozwól mi, profesorze, wyciągnąć się na twoim ulubionym dywanie i obudź mnie za dwadzieścia godzin.

Spostrzegł Alicję i zaryczał jeszcze głośniej:

– Dziewczynka! Córka mojego przyjaciela! Jak ty wyrosłaś! Ile masz lat?

– Za tydzień skończę dziesięć – odparła Alicja. – Zacznę drugi krzyżyk.

– Właśnie się zastanawialiśmy nad prezentem urodzinowym – powiedziałem.

– I co wymyśliliście?

– Na razie nic.

– Wstyd! – rzekł Gromozeka sadowiając się na podłodze i rozkładając wokół swoje macki, by odpoczęły. – Gdybym ja miał taką miłą córeczkę, wyprawiałbym jej urodziny co tydzień i za każdym razem dawał w prezencie jedną planetę.

– No pewnie – powiedziałem. – Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że u was na Czumarozie rok ma ponad osiemnaście lat ziemskich, a tydzień trwa cztery ziemskie miesiące.

– Zawsze musisz, profesorze, zepsuć mi humor! – obraził się Gromozeka. – Nie masz przypadkiem walerianki? Byle nie rozcieńczonej. Strasznie mnie męczy pragnienie.

Waleriany niestety nie było, posłaliśmy po nią do apteki robota-gosposię.

– No, opowiadaj – poprosiłem – co porabiasz, gdzie kopiesz, co znalazłeś?

– Nie mogę zdradzić – odparł Gromozeka. – Przysięgam na Galaktykę, to straszna tajemnica.

A może nawet sensacja.

– Nie chcesz powiedzieć, to trudno. Nie wiedziałem, że archeolodzy miewają tajemnice.

– Oj! – jęknął Gromozeka i wypuścił żółty dym nozdrzami. – Obraziłem swego najlepszego przyjaciela! Jesteś na mnie wściekły! Koniec. Odejdę i być może nawet popełnię samobójstwo. Zostałem posądzony o brak zaufania. Osiem ciężkich dymiących łez stoczyło się z ośmiorga oczu mego nadwrażliwego przyjaciela.

– Proszę się nie przejmować – wtrąciła się Alicja. – Tatuś nie chciał pana urazić. Znam go.

– Ja sam siebie uraziłem – rzekł na to Gromozeka. – Gdzie walerianka? Dlaczego tych robotów nie można nigdy wysłać w żadnej sprawie? Stoi sobie taki i gada z innymi robotami-gosposiami. O pogodzie albo o piłce nożnej. I kompletnie zapomina, że ja tu konam z pragnienia.

– Może przynieść panu herbaty? – spytała Alicja.

– Nie – z przestraczem zamachał mackami Gromozeka – to dla mnie istna trucizna!

Na szczęście pojawił się właśnie robot z wielką butlą waleriany. Gromozeka nalał pełną szklankę, wychylił ją jednym haustem, aż z uszu buchnęły mu białe kłęby pary.

– Już mi lepiej. Teraz mogę ci wyjawić, profesorze, bardzo ważną tajemnicę. I niech się pogorszy moje samopoczucie.

– A więc nie wyjawiaj jej – powiedziałem. – Nie chcę, żebyś miał złe samopoczucie.

– Ale przecież nikt poza mną nie wie, że to tajemnica.

– Jest pan bardzo dziwnym archeologiem – oznajmiła Alicja. – To znaczy, że nie ma żadnej tajemnicy?

– Owszem, jest. Najprawdziwsza tajemnica, ale nie w takim sensie, jak wy to rozumiecie.

– Gromozeko – powiedziałem – my nic z tego nie rozumiemy.

– Nic a nic – dodała Alicja.

Gromozeka, by nie tracić czasu, wypił resztę waleriany prosto z butelki, westchnął, aż szyby zadrżały, i rozpoczął swoją opowieść.

Ekspedycja archeologiczna, w której bierze udział, przyleciała na martwą planetę Koleidę. Niegdyś Koleidę zamieszkiwali ludzie, ale z jakiegoś powodu wszyscy wymarli około stu lat temu. Wymarły też wszystkie ssaki na planecie. I owady, i ptaki, i ryby. Nie pozostało jednej żywej duszy. Same ruiny. Wiatr wieje, deszcz pada, gdzieniegdzie stoją na ulicach samochody i pomniki wybitnych Koleidzian.

– Może była tam wojna? – spytała Alicja. – I pozabijali się nawzajem?

– Skąd ci przychodzą takie myśli? – zdziwił się Gromozeka.

– Przerabiamy właśnie historię średniowiecza – odrzekła Alicja.

– Nie, wojny nie było – stwierdził Gromozeka. – Gdyby się wydarzyła taka straszliwa wojna, to i po stu latach zostałyby jakieś ślady.

– Może użyli gazów trujących? – spytałem. – Albo bomby atomowej? A potem zaszła reakcja łańcuchowa?

– Jesteś człowiekiem mądrym – powiedział Gromozeka – a gadasz głupstwa. Czy my, wytrawni archeolodzy, mistrzowie w swoim fachu, na czele ze mną, który widzi, jak przez warstwy ziemi przeciska się dżdżownica, czy my moglibyśmy się na tym nie poznać?

Gromozeka pokręcił głową i tak straszliwie błysnął oczami, że zerknąłem z ukosa na Alicję – a nuż przestraszyła się mojego najpocziwszego przyjaciela?

Nie przestraszyła się. Rozmyślała.

– Mamy pewne podejrzenie – oświadczył Gromozeka. – I właśnie ono jest tajemnicą.

– Napadnięto ich – powiedziała Alicja.

– Kto?

– Jak to, kto? Kosmiczni piraci. Widziałam ich.

– Bzdu-ura – odparł Gromozeka i zaczął się śmiać potrząsając wszystkimi mackami, aż w końcu rozbił wazon z kwiatami stojący na parapecie.

Udałem, że nic nie zauważyłem, Alicja również. Wiedzieliśmy, że Gromozeka okropnie się zmartwi, jeśli się dowie, co zbroił.

– Kosmiczni piraci nie mogą unicestwić całej planety. A poza tym już nie istnieją.

– Co więc zgubiło Koleidę?

– Właśnie z tego powodu przyjechałem – odparł.

Zamilkliśmy z Alicją i przestaliśmy zadawać jakiegokolwiek pytania. Gromozeka też się nie odzywał. Czekał, aż go zaczniemy wypytywać. Miał ogromną ochotę długo się nie poddawać, a dopiero potem skapitulować.

Milczeliśmy tak ze dwie minuty. W końcu Gromozeka całkiem się na nas obraził.

– Widzę – powiedział – że was to nie interesuje.

– Ależ skąd – odparłem – bardzo interesuje. Tylko nie chcesz nic powiedzieć, więc milczymy.

– Niby dlaczego nie chcę mówić?! – wykrzyknął Gromozeka. – Kto tak twierdzi?

– Ty.

– Ja? Ależ to absurd!

Postanowiłem trochę podroczyć się z moim przyjacielem, którego wprost rozpiętało pragnienie, by nam wszystko opowiedzieć.

– Gromozeko, miałeś zamiar przespać się dwadzieścia godzin. Połóż się na dywan w jadalni. Tylko odsuń stół pod ścianę. Alicjo, weź się do lekcji.

– Ach tak... – zgrzytnął Gromozeka. – A więc takich mam przyjaciół? Pędzę do nich przez całą Galaktykę, by podzielić się z nimi ciekawą informacją, a oni zapędzają mnie spać. Nudzą się ze mną. Jestem dla nich mało interesujący. Proszę bardzo. Zaprowadź mnie tylko do łazienki, chciałbym umyć macki.

Alicja patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem. Tak bardzo chciała wypytać Gromozekę!

Ale ten już przeszedł z tupotem do łazienki, czepiając się mackami mebli i ścian.

– Tatusiu, czemu się tak zachowałeś? – szepnęła Alicja, gdy Gromozeka wyszedł. – Przecież on chciał nam wszystko opowiedzieć.

– Niech się przestanie krygować – odparłem. – Gdybyśmy go naciskali, męczyłby nas jeszcze przez dwie godziny. A teraz opowie sam. Mogę się z tobą założyć.

– Dobrze – zgodziła się Alicja. – O co się założymy? Ja twierdzę, że Gromozeka strasznie się obraził i o niczym nam nie opowie.

– A ja twierdzę, że owszem, obraził się, ale właśnie dlatego zaraz nam o wszystkim opowie.

– O lody?

– O lody.

Założyliśmy się więc. Nie zdążyliśmy jeszcze rozłączyć rąk, gdy w korytarzu zadrżały ściany. Wracał Gromozeka.

Był mokry, woda spływała mu po pancerzu, macki pozostawiały nierówne mokre smugi na podłodze. Z tyłu szedł robot-gosposia ze ścierką i wycierał za gościem podłogę.

– Posłuchaj, profesorze – odezwał się Gromozeka – gdzie u ciebie w łazience leży mydło dzieciinne?

– Mydło? – zdziwiłem się. – Na półeczce. Czyżby go tam nie było?

– Jest – roześmiał się Gromozeka. – Przyszedłem specjalnie zakpić z ciebie. Przecież byłeś pewien, że pędzę, by ci wyjawić tajemnicę. I z pewnością powiedziałaś swojej córce: oto idzie głupi Gromozeka, który tak się pali, by podzielić się z nami swoją tajemnicą, że zapomniał nawet wytrzeć macki. Czyż nie tak?

Wzruszyłem ramionami.

Ale zdradziła mnie moja rodzona córka.

– Założyliśmy się nawet – przyznała. – Powiedziałam, że pan nie przyjdzie.

– No tak – Gromozeka znów usiadł na podłodze i rozłożył swoje mokre macki niczym płatki kwiatu – mam pełną satysfakcję: chcieliście pośmiać się ze mnie, a to ja z was zrobiłem sobie zabawę. Jesteśmy kwita. No więc teraz posłuchajcie, moi przyjaciele. Pamiętacie epidemię kosmicznej dżumy?

Oczywiście, że pamiętaliśmy. A raczej ja pamiętałem, Alicja natomiast czytała o niej. Piętnaście lat temu na Ziemię wróciła ekspedycja z osiemnastego sektora Galaktyki. Zgodnie z przepisami obowiązującymi w owym czasie, ekspedycja nie wylądowała bezpośrednio na Ziemi, lecz w bazie na Plutonie, by przejść kwarantannę. To właśnie uratowało naszą planetę.

Dwaj członkowie załogi zachorowali na nieznaną chorobę. Umieszczono ich w izolacie. Jednakże mimo lekarstw czuli się wciąż gorzej i gorzej. Następnego dnia zachorowali pozostali członkowie załogi, a po kolejnych dwóch dniach – wszyscy, którzy znajdowali się w bazie.

Na Ziemi ogłoszono alarm i specjalny statek medyczny poleciał na Plutona. Przez kilka dni toczyła się walka o życie kosmonautów i pracowników bazy, zakończona, niestety, porażką lekarzy. Nie tylko nie udało im się wyleczyć chorych, ale mimo przedsięwzięcia wszelkich środków ostrożności, sami zapadli na ową chorobę.

Wtedy właśnie nazwano ją kosmiczną dżumą.

Ogłoszono kwarantannę, statki patrolowe krążyły wokół Plutona, by ktoś przypadkiem tam nie wylądował. Tymczasem najlepsi lekarze z całej Ziemi oraz innych planet starali się zgłębić tajemniczą chorobę. Zdawało się, że nie ma na nią żadnego środka, że nie uda się jej powstrzymać. Nie pomagały ani lekarstwa, ani grube ściany izolatki. I dopiero po trzech miesiącach, za cenę ogromnych ofiar i wysiłków kilku tysięcy uczonych odkryto przyczynę choroby i sposób jej zwalczania.

Okazało się, że pokonanie dżumy było tak niezwykle trudne, ponieważ przenosiły ją wirusy posiadające dwie przedziwne właściwości: po pierwsze, potrafiły się maskować i udawać swych nieszkodliwych współbraci, dlatego też wykrycie ich we krwi było absolutnie niemożliwe, a po drugie, skupione razem stanowiły istotę rozumną. Każdy wirus z osobna nie potrafił myśleć i podejmować decyzji, ale gdy zebrało się ich kilka miliardów naraz, powstawał dziwny nieczny rozum. I gdy lekarze byli już bliscy rozwiązania zagadki, ów rozum nakazywał wirusom zmianę formy, uodparniał je na lekarstwa, znajdował nowe sposoby uśmiercania ludzi.

Kiedy uczeni wreszcie zorientowali się, gdzie leży sedno całej sprawy, próbowali nawiązać łączność z wirusowym rozumem. On jednak nie chciał rozmawiać z ludźmi. Albo też nie potrafił – wszystkie jego myśli, cała inwencja były ukierunkowane wyłącznie na działalność niszczycielską, tworzyć niczego nie umiał.

Później, gdy już zwalczono dżumę kosmiczną, udało się znaleźć w archiwach innych planet wzmianki o tych wirusach.

Okazało się, że Układ Słoneczny nie był pierwszym miejscem, gdzie pojawiła się dżuma. Wirusy miały na swoim koncie unicestwienie planety i całe systemy planetarne. I jeśli nie udawało się znaleźć sposobu zlikwidowania dżumy, wirusy nie dawały za wygraną, póki nie uśmierciły wszystkiego, co żywe na planecie. Wytępiwszy ludzi i zwierzęta, wirusy albo zbierały się niczym rój pszczoł i wyruszały w przestrzeń kosmiczną, gdzie czatowały na jakiś statek lub planetę, by je zaatakować, albo też zostawały na miejscu i zapadały w sen.

Kosmiczni archeolodzy z ekspedycji Gromozeki podejrzewali, że prawdopodobnie życie na Koleidzie wygasło na skutek epidemii dżumy kosmicznej. Jej mieszkańcy nie znaleźli sposobu, by

pokonać epidemię.

I właśnie po to, by utwierdzić się w tym przekonaniu, Gromozeka przyleciał do nas, na Ziemię. Na Ziemi działa Instytut Czasu. Jego pracownicy mogą podróżować w przeszłość. Gromozeka postanowił więc zwrócić się do Instytutu o wypożyczenie wehikułu czasu, żeby ktoś z ekspedycji mógł polecieć w przeszłość Koleidy w celu sprawdzenia, czy jej mieszkańcy nie zginęli przypadkiem wskutek dżumy.

Nazajutrz rano Gromozeka wybrał się do Instytutu Czasu. Nie było go aż do obiadu i Alicja, która wiedziała o wszystkim, po przyjściu ze szkoły została w domu, nie mogąc się wprost doczekać jego powrotu. Była strasznie ciekawa, jak to wszystko się skończy.

Zobaczyliśmy Gromozekę przez okno. Zadrżały szyby, nasz dom lekko się zatrząsł. Gromozeka szedł środkiem ulicy rycząc jakąś pieśń i niósł tak ogromny bukiet kwiatów, że zaczął nim o domy po obu stronach ulicy. Przechodnie na widok naszego kochanego straszdyła przyciskali się do murów z lekka przestraszeni, ponieważ dotychczas nigdy nie widzieli bukietu kwiatów pięciometrowej średnicy, spod którego wysuwały się długie, grube macki zakończone pazurami. Gromozeka dawał każdemu przechodniowi po kwiatku.

– Hej! – krzyknął mój przyjaciel zatrzymując się przed naszymi oknami.

– Dzień dobry, Gromozeko! – zawołała Alicja otwierając okno. – Przynosisz dobre wieści?

– Zaraz wam wszystko opowiem, kochani! – odparł Gromozeka i ofiarował kwiat staruszkowi, który ze zdumienia aż przysiadł na chodniku. – A na razie przyjmijcie ten skromny bukiet. Podam go na raty, bo inaczej nie zmieszczę się na schodach.

I Gromozeka wyciągnął mackę z pierwszą porcją kwiatów. Po pięciu minutach cały pokój był wypełniony kwiatami, straciłem nawet z oczu Alicję. Wreszcie ostatnie naręcze znalazło się w pokoju.

– Alicjo, gdzie jesteś? – spytałem.

– Zbieram wszystkie garnki, filiżanki, miski, talerze i wazon-y – odkrzyknęła z kuchni – żeby wstawić kwiaty do wody.

– Nie zapomnij o wannie – doradziłem. – Napełnij ją wodą. Zmieści się tam duży bukiet.

Następnie, nurzając się w morzu kwiatów, przedostałem się do drzwi, by je otworzyć i wpuścić Gromozekę do mieszkania.

Gdy Gromozeka zobaczył, co się dzieje w pokoju, nie potrafił ukryć zadowolenia.

– Myślę – powiedział, pomagając nam ustawiać kwiaty w garnkach, wazonach, miskach, spodkach, talerzykach i filiżankach, wkładać je do wanny i zlewozmywaka – myślę, że nikt wam jeszcze nie przyniósł takiego wspaniałego bukietu.

– Nikt – przytaknąłem.

– To znaczy, że jestem waszym najlepszym przyjacielem. A w domu pewnie znów nie ma ani kropli walerianki.

Po tych słowach siadł na podłodze, na dywanie z płatków, i zdał relację z tego, co udało mu się załatwić w ciągu dnia.

– Najpierw poszedłem do Instytutu Czasu. Tam ogromnie się ucieszyli na mój widok. Po pierwsze dlatego, że odwiedził ich sam Gromozeka, słynny archeolog...

Tu Alicja przerwała naszemu gościowi, pytając:

– A skąd oni cię znają, Gromozeko?

– Mnie wszyscy znają – odparł bynajmniej nie stropiony. – Nie przerywaj starszym. Kiedy mnie zobaczyli w drzwiach, wszyscy zemdleli z radości.

– Raczej ze strachu – poprawiła go Alicja. – Ktoś, kto cię wcześniej nie widział, może się

przestraszyć.

– Bzdura! – oświadczył z przekonaniem Gromozeka. – Na naszej planecie uchodzę za bardzo przystojnego.

Roześmiał się, aż płatki kwiatów wzbiły się w powietrze.

– Nie myśl, że jestem taki naiwny, Alicjo. Wiem doskonale, kiedy się mnie boją, a kiedy cieszą na mój widok. Dlatego zawsze najpierw stukam do drzwi i pytam: „Czy nie ma tu dzieci i kobiet o słabych nerwach?” Jeśli odpowiedź brzmi: „nie”, wchodzę i przedstawiam się oznajmiając, iż jestem słynnym archeologiem Gromozeką z planety Czumaroz. Czy to ci wystarcza?

– Owszem – odrzekła Alicja. Siedziała po turecku na zwiniętej w kłębek macce Gromozeki. – Mów dalej. Czyli po pierwsze, ucieszyli się, że przyjechał do nich sam Gromozeka. A co po drugie?

– Ano to, że właśnie wczoraj skończyli próby nowego wehikułu czasu. Przedtem wszystkie wehikuły mogły startować wyłącznie z budynku Instytutu, natomiast nowy można przetransportować na dowolne miejsce. Jest zasilany bateriami atomowymi. Akurat zamierzali ustawić wehikuł nad Jeziorem Cudnym.

– Gdzie?

– Gromozeka chciał powiedzieć: nad Jeziorem Czudzkim, prawda? – poprawiła Alicja. – Przecież ma prawo nie znać niektórych wydarzeń z naszej historii.

– Tak właśnie powiedziałem: Jezioro Czudzkie. A kto usłyszał co innego, ma chore uszy... Chcieli zobaczyć na własne oczy, jak Aleksander Macedoński zwyciężył rycerzy-pieśców.

– Słusznie – przytaknęła Alicja. – Chcieli popatrzeć, jak Aleksander Newski rozgromił tam rycerzy-psiogłowców.

– Och – westchnął Gromozeka – wiecznie mi przerywają! No więc kiedy się dowiedziałem, że i tak szykują wehikuł czasu do podróży, powiedziałem im: „Co tam jakieś jedno jeziorko w porównaniu z tym, że do waszej dyspozycji będzie cała planeta? Nad jezioro zawsze zdążycie pojechać, każdy uczeń wie, że Aleksander Newski zwyciężył wszystkich rycerzy. A co się stało z Koleidą, nie wiem nawet ja, słynny archeolog Gromozeka. Choć prawdopodobnie życie na niej wygasło wskutek epidemii kosmicznej dżumy”.

– I zgodzili się? – spytała Alicja.

– Nie od razu – wyznał Gromozeką. – Najpierw wykręcali się, że maszyna nie została jeszcze sprawdzona i w takich trudnych jak w kosmosie warunkach może odmówić posłuszeństwa i nastąpi awaria. Potem, gdy powiedziałem, że na Koleidzie warunki w niczym nie są trudniejsze niż nad Jeziorem Cudnym, odparli, że baterie atomowe oraz inna aparatura są tak ciężkie, że trzeba by dziesięciu statków do przetransportowania ich na Koleidę. Ale już wtedy widziałem, że jeszcze trochę i się złamią. Przecież dla nich też jest niezmiernie kuszące wypróbowanie własnego wehikułu czasu na obcej planecie. Oznajmiłem im, że możemy uruchomić główną elektrownię na Koleidzie, poza tym ekspedycja dysponuje atomowym reaktorem dużej mocy, a nawet silnikami grawitacyjnymi. Jeśli muszą wysłać razem z wehikułem całą grupę badaczy, to przyjmujemy ich wszystkich, nakarmimy, a nawet zorganizujemy dla nich codzienne wycieczki. No i zgodzili się. Więc co, łebski ze mnie chłopak?

– Jeszcze jak – pochwaliłem.

– Teraz idę spać, ponieważ jutro rozpoczynamy załadunek. Nawet bez baterii atomowych będą nam potrzebne do przewiezienia wehikułu trzy statki. A trzeba najpierw je zdobyć.

I Gromozeką oparł o ścianę grubą, miękką, podobną do niedużego balonu głowę i zasnął.

Przez cały następny dzień Gromozeka biegał po Moskwie, latał do Pragi, dzwonił na Księżyc, załatwiał statki, dogadywał się w sprawie załadunku i dopiero wieczorem wrócił do domu. Tym razem bez kwiatów, za to nie sam.

Przyprowadził z sobą dwóch czasomistrzów. Tak nazywamy pracowników Instytutu Czasu. Jeden był młody, długonogi, bardzo szczupły i być może dlatego niezbyt wesoły. Miał ciemne, kędzierzawe jak Papuas włosy, a Gromozeka, który nie mógł się nadziwić, jakie to bywają w świecie wiotkie stworzenia, przez cały czas próbował podtrzymywać młodzieńca pazurem. Drugi pracownik Instytutu był mężczyzną starszym, krępy, średniego wzrostu, o małych szarych, przenikliwych oczach. Mówiąc, z lekka się zacinał i był ubrany według najświeższej mody.

– Pietrow – przedstawił się. – M-michał Pietrow. Kieruję projektem. A Richard będzie się bezpośrednio opiekował naszym wehikułem.

– Bardzo mi przyjemnie – powiedziałem. Doskonale znałem nazwisko tego słynnego fizyka, który odkrył zmiany czasowe w nadciekłej plazmie, potem zaś stanął na czele Instytutu Czasu. – Niezmiernie się cieszę, że nas panowie odwiedzili.

– Obchodzicie jakąś uroczystość? – spytał Pietrow. – Urodziny? Przepraszam, nie wiedzieliśmy, przynieśliśmy prezent.

– Nie, to nie żadna uroczystość – odparłem. – To nasz przyjaciel Gromozeka ofiarował nam wczoraj bukiet kwiatów. A ponieważ jest maksymalistą, więc po prostu zerwał wszystkie kwiaty w oranżerii.

– Siadajcie – zaprosił Gromozeka. – Zaraz napijemy się walerianki i pogawędzimy.

Wyjął z przepastnej torby, jaką na podobieństwo kangurów mają na brzuchu wszyscy mieszkańcy planety Czumaroz, butelkę z walerianą i mnóstwo najrozmaitszych smakołyków oraz napojów.

– A zatem – mówił dalej, sadowiąc się na dywanie i otaczając nas wszystkich mackami, jak gdyby w obawie, że się rozbiegniemy – załatwiliśmy statki, uzyskaliśmy zgodę Akademii Nauk na oddelegowanie was w Kosmos i niebawem wyruszymy, by przeprowadzić próbę wehikułu. Jesteście zadowoleni?

– Dziękuję – odparł uprzejmie Pietrow. – Jesteśmy wdzięczni za zaproszenie.

– No proszę – powiedział Gromozeka z urazą, zwracając się do mnie – tak z ręką na sercu, to wcale nie jest zadowolony. A wiesz dlaczego? Dlatego, że miał ochotę wybrać się nad Jezioro Cudne.

– Czudzkie – poprawiła Alicja.

Gromozeka udał, że nie słyszy.

– Chciał się wybrać nad Jezioro Czudzkie, ponieważ wie, co tam się zdarzy. Niezależnie od tego, ile razy by tam pojechać, to i tak rycerze nie pokonają Aleksandra... Newskiego. A na Koleidzie nie wiadomo, czym się to wszystko skończy. Może to nie dzuma kosmiczna była powodem ich zguby, lecz całkiem coś innego?

– Jeśli chce nam pan zarzucić tchórzostwo – obraził się Richard – to pańskie uwagi trafiają pod niewłaściwy adres. Po prostu nie wyobraża pan sobie, z jakim ryzykiem wiąże się praca w czasie. Nie wie pan, że nasi pracownicy usiłowali pomóc Giordanowi Brunowi i ocalić go przed spalaniem

na stosie, że przenikali w szeregi Krzyżaków i do obozów faszystowskich. Czy wie pan, że muszą całkowicie przeistaczać się w ludzi z innej epoki, dzielić z nimi wszystkie niebezpieczeństwa i przeciwności losu?

– Nie gorączkuj się, Richard – uspokoił go Pietrow. – Czy nie widzisz, że Gromozeka specjalnie się z tobą droczy? No i dałeś się złapać na haczyk.

– Z nikim się nie droczyłem! – oburzył się Gromozeka. – Jestem szczerym, prostodusznym archeologiem.

Gromozeka nie mówił prawdy. W rzeczywistości był trochę przewrotny, obawiał się, iż czasomistrzowie mogą z jakiegoś powodu zrezygnować ze wspólnej wyprawy z archeologami, a wtedy wszystkie jego marzenia obrócą się wniwecz.

– Proszę się nie martwić, Gromozeko – odezwał się nagle Pietrow, który miał niezwykle przenikliwy umysł – skoro Instytut Czasu obiecał panu, że eksperymentalny model wehikułu czasu zostanie wypróbowany w waszej ekspedycji, to bez wątpienia słowa dotrzyma.

– Doskonale! – odparł Gromozeka. – Nie miałem żadnych wątpliwości. W przeciwnym razie nie poznawałbym was z moimi najlepszymi przyjaciółmi – profesorem Sielezniewem i jego odważną córką Alicją, o której wiecie mało, ale niebawem dowiecie się więcej.

– A czemuż, to mają dowiedzieć się więcej? – spytałem.

– Ponieważ wymyśliłem wspaniały prezent urodzinowy dla twojej córki, profesorze.

– Jaki?

– Zabiorę ją ze sobą na Koleidę.

– Kiedy? Teraz?

– Oczywiście, że teraz.

– Przecież ona musi chodzić do szkoły.

– Jutro sam pójdę do jej szkoły i porozmawiam z nauczycielką. Z pewnością zwolni ją na parę dni.

– Ojej! – wykrzyknęła Alicja. – Bardzo dziękuję! Ale błagam, nie chodź do szkoły.

– Dlaczego?

– Ponieważ nasza Helena jest bardzo nerwowa i okropnie boi się pajaków, myszy i innych stworów.

– A co to ma ze mną wspólnego? – groźnie spytał Gromozeka.

– Nic, nic – szybko zaczęła tłumaczyć się Alicja. – Ale mogłaby się trochę ciebie przestraszyć.

Nie tyle ze względu na siebie, ile na mnie. Powie, że będzie się bała puścić mnie... to znaczy... tylko się nie obraź, Gromozeko...

– Rozumiem wszystko – rzekł ze smutkiem mój przyjaciel. – Rozumiem. Dostałaś się, droga dziewczuszko, w ręce okrutnej kobiety. Obawiasz się, by nie uczyniła krzywdy twemu przyjacielowi, to znaczy mnie.

– Ależ nie, źle mnie zrozumiałeś...

– Zrozumiałem cię doskonale. Profesorze!

– Słucham? – spytałem, z trudem powstrzymując uśmiech.

– Natychmiast zabierz swoje dziecko z tej szkoły. Zamęczą ją tam. Jeśli tego nie zrobisz, pójdę tam jutro sam i uratuję Alicję.

– Alicja sama każdego uratuje – powiedziałem. – Nie obawiaj się o nią. Powiedz mi lepiej, na ile dni masz zamiar ją zabrać?

– Na trzydzieści-czterdzieści dni – odparł Gromozeka.

– O tym nie ma mowy.

- No to na dwadzieścia osiem.
- Dlaczego akurat dwadzieścia osiem?
- Ponieważ targuję się z tobą i wytargowałeś już ode mnie dwa dni. Targuj się dalej.

Czasomistrzowie wybuchnęli śmiechem.

- Nie przypuszczałem, że kosmiczni archeolodzy to takie dowcipne istoty – powiedział Richard.

– Nie będę się z tobą targował – oświadczyłem. – To chyba jasne, że dziecko musi chodzić do szkoły?

– Do takiego potwora, jak Helena, która męczy myszy i pająki? Która mogłaby napaść na mnie, gdyby nie ostrzeżenie Alicji?

– Tak, do takiego potwora, do czarującej, dobrej i wrażliwej kobiety – w odróżnieniu od ciebie, gruboskórnego egoisty.

- Z-zaraz, z-zaraz, przestańcie się kłócić – wtrącił się Pietrow. – Kiedy zaczynają się ferie?

– Za pięć dni – odrzekła Alicja.

– Jak długo trwają?

– Tydzień.

– Doskonale. Proszę więc, profesorze, puścić z nami córkę na tydzień. Z pewnością nie zdążymy skończyć załadunku przed rozpoczęciem ferii.

– Stop! – obraził się Gromozeka. – Nie potargowałem się jeszcze jak należy z profesorem. Puść córkę na dwadzieścia sześć dni.

– Nie.

– Na dwadzieścia dwa!

– Nie puszczę!

– Jesteś okrutnym człowiekiem. Żałuję, że ci wczoraj podarowałem skromny bukiet kwiatów.

Osiemnaście dni i ani minuty mniej.

– Ale po co wam aż tyle czasu?

– Dwa dni lotu w tamtą stronę. Dwa dni z powrotem. I dwa tygodnie na miejscu.

– Dobrze. Cztery dni na drogę, pięć dni na Koleidzie i jeden dzień na wszelki wypadek. W sumie dziesięć dni. Sam pójdę do szkoły i poproszę, żeby pozwolono Alicji wrócić trzy dni później z ferii. I nie chcę słyszeć ani słowa więcej na ten temat.

– W porządku – zgodził się Gromozeka. – Ale statek może zatrzymać się w drodze. A jeśli napotkamy rój meteorów?

– Jeśli tak się zdarzy, to nie będzie w tym waszej winy.

– Alicjo – zwrócił się Gromozeka do mojej córki – zrozumiałaś wszystko? Instrukcje otrzymasz ode mnie jutro. A teraz opowiem wam, moi kochani panowie, jakie mamy szczęście, że ten okrutny profesor zgodził się puścić z nami swoją czarującą córeczkę. Posłuchajcie mojej wersji opowieści o tym, jak odnalazła trzech kapitanów i ocaliła Galaktykę przed kosmicznymi piratami.

I Gromozeka zaczął opowiadać, jak wyruszyliśmy „Pegazem” w podróż, by skompletować kosmiczne zwierzęta do naszego Zoo, i odnaleźliśmy Drugiego Kapitana. Jego opowiadanie tak dalece mijало się z prawdą, że nawet mu nie przerywałem, uprzedziłem tylko Pietrowa i Richarda:

– Wszystko należy przyjąć w skali dziesięciokrotnie mniejszej. A ty, Alicjo, idź odrabiać lekcje, bo jeszcze sama uwierzysz Gromozece, jakich to niezwykłych czynów dokonałaś.

– Powiedzmy, że nie dokonywałam wielkich czynów, ale zachowałam się w sposób godny.

Dobranoc, idę odrabiać lekcje. Spotkamy się w Kosmosie.

Kiedy Gromozeka skończył opowiadanie o Alicji, czasomistrzowie zaczęli omawiać swoje sprawy, wyjaśniać, co trzeba jeszcze zabrać na Koleidę, i pożegnaliśmy się już dobrze po północy.

Kiedy kładliśmy się spać, spytałem Gromozekę:

– Powiedz mi, stary lisie, czemu tak nalegałeś, by Alicja poleciała z tobą na Koleidę?

– Ech, głupstwo, chciałbym sprawić dziecku przyjemność.

– Nie wierzę ci, ale cóż począć...

– Sam będę jej pilnował – przyrzekł Gromozeka, układając się wygodniej i zwijając w ogromną lśniącą kulę. – Ani jeden złoty włoszek nie spadnie z jej ślicznej główki.

W cztery dni później statki z rozebrany na części wehikułem czasu wzięły kurs na Koleidę.

W pierwszym statku leciała razem z Gromozeką Alicja. O jej przygodach na owej planecie dowiedziałem się dopiero po dwóch tygodniach, gdy już wróciła do domu. Oto, co się tam wydarzyło.

Statki wylądowały na Koleidzie wczesnym rankiem. Zanim otworzono luki, dyżurny radiotelegrafista zdążył obudzić wszystkich archeologów, którzy ubierając się w biegu, spieszyli do statków po stratowanym przez roboty i koparki polu, wznosząc tumany kurzu.

– Wyjdę na końcu – oświadczył czasomistrzom oraz Alicji Gromozeka. – Jesteście gośćmi, ja zaś skromnym archeologiem. Oni już wiedzą, że przywieźliśmy wehikuł czasu, i dlatego będą ogromnie radzi nas widzieć. Alicjo, ubierz się ciepłej, obiecałem twojemu ojcu, że się nie przeziębisz. Chociaż, prawdę mówiąc, to ci nie grozi, przeziębienie wywołują mikroby, a na Koleidzie ich nie ma.

– Dlaczego? – spytała Alicja.

– Ponieważ tu nie ma niczego. Ani ludzi, ani zwierząt, ani roślin, ani much, ani mikrobów. Kosmiczna dzuma niszczy wszystko, co żywe.

Pierwsza wyszła ze statku Alicja.

Ekspedycja liczyła trzydziestu pięciu archeologów. I ani jednego z Ziemi. Byli tu Lineanie, Fiksjanie, Uszanie oraz uczeni z innych planet. Poza jednakową profesją nie mieli żadnych cech wspólnych. Wśród witających byli archeolodzy w ogóle bez nóg, o dwóch nogach, trzech, ośmiu, z mackami, na kółkach, a jeden mógł się nawet poszczycić stu czterdziestu czterema nogami. Najmniejszy archeolog miał rozmiary kotka, największy zaś był nasz przyjaciel Gromozeka. Różnili się między sobą liczbą rąk, oczu, a nawet głów.

Wszystkie te głowy były zwrócone w stronę luku i gdy Alicja zatrzymała się na chwilę przed wyjściem, machając swoim nowym znajomym ręką, oni również zaczęli wymachiwać rękami oraz mackami krzycząc: „witaj!” w dwudziestu paru językach.

Jeszcze bardziej uradowali się archeolodzy na widok czasomistrzów, ale kiedy przez luk przecisnął się wesoły Gromozeka z mocno wypchanym workiem listów i przesyłek, zaczęli dosłownie podskakiwać z radości, chwycili go na ręce (macki i kółka) i ponieśli w kierunku różnokolorowych namiotów obozowiska. W drodze omal nie stratowali na śmierć najmniejszego i najwątłego archeologa – na szczęście Alicja zauważyła go pod nogami (mackami i kółkami) jego współtowarzyszy i wyciągnęła na wpół uduszonego.

– Dziękuję ci, dziewczynko – powiedział archeolog zwijając się w kłębek na rękach Alicji. – Może będę mógł odplacić ci dobrem za dobro. Moi przyjaciele wpadli w trochę nadmierny entuzjazm.

Archeolog był jasnozielony, puszysty, miał pyszczek z perkatym noskiem i jednym liliowym okiem.

– Jestem najwybitniejszym w Galaktyce specjalistą w dziedzinie rozszyfrowywania języków starożytnych. Żadna maszyna cybernetyczna nie wytrzymuje porównania ze mną. Gdyby mnie zdeptali na śmierć, nauka poniosłaby ogromną stratę, a nasza ekspedycja w szczególności.

Nawet w tak ciężkiej chwili malutki archeolog przejmował się dobrem nauki, a nie tylko swoją osobą.

Alicja zaniósła poszkodowanego, który nazywał się Rrrr, do największego namiotu, gdzie już zebrali się pozostali członkowie ekspedycji, i z pomocą Pietrowa odszukała lekarza –

melancholijnego, podobnego do ogrodowej konewki na nóżkach, mieszkańca planety Kromanian. Kiedy lekarz stwierdził, że choremu nic nie grozi, zaczęła się przysłuchiwać, o czym rozmawiają archeolodzy.

Okazało się, że członkowie ekspedycji nie siedzieli z założonymi rękami w czasie, gdy ich szef poleciał na Ziemię po wehikuł. Odkopali w całości nieduże miasto, wszystkie domy, ulice, zabudowania gospodarcze, fabryki, kina i dworzec kolejowy.

Po obiedzie przy wspólnym długim stole, gdy Gromozeka zrelacjonował przyjaciołom swoje przygody na Ziemi, archeolodzy zaprowadzili gości, by obejrzeliby wykopaliska.

Sto lat, które minęły od zagłady miasta, wiatry, deszcze i śniegi postarały się – rzecz oczywista – znieść je z powierzchni planety i w dużej mierze im się te udało. Ale kamienne domy stały nadal, choć bez dachów i okien, częściowo zachowały się zwiertzałe jezdnie, wzdłuż których ciągnęły się szeregi okaleczonych, pozbawionych kory, wysokich pni drzew. W najlepszym stanie przetrwał stary zamek na wzgórzu górującym ponad miastem. Liczył już ponad tysiąc lat, ale mury wzniesione z potężnych kamiennych płyt nie poddały się atakom wiatru ani deszczu.

Archeolodzy posmarowali rozeschnięte drewno kleistą zaprawą, ułożyli na miejscu rozrzucone kamienie i cegły, starannie uprzątnęli z ulic stuletni brud i kurz i w jasny, słoneczny dzień miasto sprawiało wrażenie, że choć jest trochę zrujnowane, stare, ale za to czyste i niemal żyjące. Jak gdyby ludzie opuścili je dopiero niedawno.

Mieszkańcy byli niedużego wzrostu, niżsi od przeciętnych Ziemiaków, lecz bardzo do nich podobni, i gdy Alicja weszła do jednego ze zrekonstruowanych domów, okazało się, że łóżko, stół i krzesła są jak gdyby specjalnie dla niej wykonane.

Na stacji stał mały pociąg. Parowóz miał długi komin, a wagoniki z dużymi okrągłymi oknami i wygiętymi dachami przypominały starodawne karety.

Jeden z archeologów, specjalista od restauracji zabytków, który ze stosu zardzewiałego złomu zrekonstruował parowóz oraz cały pociąg, długo nie wypuszczał gości ze stacji – strasznie chciał, by należycie ocenili, z jaką pieczołowitością odtworzył wszystkie pokrętła, przyciski i wyłączniki w starym pojeździe.

Następnie goście zwiedzili muzeum, w którym zgromadzono wszystkie drobne przedmioty znalezione w mieście – obrazy, statuetki, naczynia, odzież, sprzęty domowe, ozdoby i tak dalej. Archeolodzy najwyraźniej musieli się ogromnie natrudzić, by przywrócić tym przedmiotom ich dawny wygląd.

– Powiedzcie mi – spytał Pietrow, gdy goście kończyli już zwiedzanie muzeum – czy udało się wam dokładnie ustalić, kiedy zginęła Koleida i co było przyczyną jej zagłady?

– Tak – odparł malutki archeolog Rrrr. – Przeczytałem szczątki gazet oraz czasopism i znalazłem wiele dowodów. Wszystkiemu winna jest epidemia. Wybuchła na Koleidzie sto jeden lat, trzy miesiące i dziesięć dni temu. Sądząc z opisów przerażonych mieszkańców planety, bardzo przypomina kosmiczną dżumę.

– A w jaki sposób dżuma trafiła na planetę? Przecież wirusy same nie mogą przedostać się przez atmosferę. To znaczy, że ktoś ją przywłókł. Może meteoryt?

– Tego nie udało się nam ustalić. Wszystko możliwe – powiedział Rrrr. – Wiadomo tylko, że pierwsze informacje o dziwnej chorobie pojawiły się w gazetach właśnie w trzy tysiące osiemdziesiątym roku tutejszej ery. Trzeciego miesiąca, ósmego dnia.

– A wyjaśnienie, jak to się stało, przypadnie w udziale naszym przyjaciołom czasomistrzom – dokończył za niego Gromozeka. – Po to tu przylecieli. Możecie więc uważać, kochani, że prawie zwyciężyliśmy!

Gromozeka potrzęsnał mackami, rozdziawił ogromną paszczę, wszyscy archeolodzy zakrzyknęli „hura!”, a Pietrow mruknął pod nosem:

– W tym cała rzecz, że prawie.

Przez pięć dni archeolodzy, czasomistrzowie oraz załogi statków kosmicznych montowali wehikuł czasu i mające go zasilać atomowe baterie.

Wreszcie pośrodku pola wyrosła potężna konstrukcja wysokości trzypiętrowego budynku.

Sama kabina czasu stanowiła tylko centrum tej konstrukcji, poza nią znajdowała się tam aparatura kontrolna, pulpity sterownicze, bloki dublujące, mózg elektroniczny i urządzenia pomocnicze.

Wszystkie roboty wykopaliskowe zostały wstrzymane. Co za sens pracować na szczątkach, skoro istnieje możliwość przyjrzenia się tym przedmiotom oraz ich właścicielom na żywo.

– N-no tak – oznajmił rankiem szóstego dnia Pietrow – montaż wehikułu zakończony. W kabinie zmieści się tylko jeden człowiek. A ponieważ jest to model doświadczalny i nie wiadomo, czym się to wszystko skończy, w przeszłość wyruszę ja sam.

– Nic podobnego! – wykrzyknął Richard wymachując długimi, chudymi rękami. – Toczmy spór już od czterech dni i dowiodłem panu, że to ja muszę tam pojechać.

– Dlaczego? – spytała Alicja.

Cała była umazana grafitem i pokryta kurzem. Nie nadążała myć się i czesać – tyle miała zajęć. Trzeba było i pomóc technikom, i obejrzeć wykopaliska, i polecieć na rozpoznanie z dobrodusznym Rrrr, który niczego nie potrafił jej odmówić – przecież uratowała go od niechybnej śmierci.

– A dlatego, Alicjo – wyjaśnił jej Richard – że gdyby cokolwiek mi się stało, to moje miejsce może zająć każdy spośród stu pracowników Instytutu Czasu, natomiast Pietrowa nie zastąpi nikt w całej Galaktyce. Argumentuję chyba rozsądnie? Zresztą w ogóle, co się może przytrafić naszemu wehikułowi?

– Tym bardziej – odparł Pietrow – musi być jakaś dyscyplina. Ja p-ponoszę odpowiedzialność i za wehikuł, i za ciebie, Richardzie.

– Sam chętnie bym się udał w przeszłość – powiedział Gromozeka – tylko żadnym cudem nie zmieszczę się w wehikule czasu.

– Sprawa jest jasna – wtrąciła się Alicja. – Ja polecę.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nikt nie wziął jej oświadczenia na serio. Alicja okropnie się obraziła, omal się nie popłakała, a Gromozeka – podczas gdy Pietrow z Richardem przekonywali się nawzajem, który z nich powinien jechać pierwszy – delikatnie odciągnął ją macką na bok i szepnął:

– Słuchaj, dziewczuszko, zaprosiłem cię tu przecież nie całkiem bezinteresownie. Myślę, że będziesz miała jeszcze okazję pojechać w przeszłość. Nie teraz, trochę później. I wówczas przypadnie ci w udziale najtrudniejsze zadanie. Jakie – za wcześnie o tym mówić. Ale przysięgam ci na wszystkie szkarady Kosmosu, że w decydującym momencie to my będziemy prowadzić defiladę.

– Coś mi tu nie gra – powiedziała Alicja. – Przebywamy na Koleidzie już od sześciu dni, a pojutrze odlatuje na Ziemię towarowa rakietka, w której mam zarezerwowane miejsce.

– Nie wierzysz mi? – zdumiał się Gromozeka i wypuścił nozdrzami żółty dym. – Podajesz w wątpliwość słowo honoru samego Gromozeki? A więc głęboko się pomyliłem. Nie jesteś godna zaszczytu, który dla ciebie zgotowałem.

– Godna, godna – szybko odparła Alicja. – Będę milczeć jak grób.

Wrócili do zebranych.

– Czyli ust-talone – powiedział Pietrow patrząc prosto w oczy Richardowi, jak gdyby chciał go zahipnotyzować. – Jutro rano lecę w przeszłość. Na początek zajrzemy tam w chwili, gdy epidemia już grasowała na Koleidzie. To będzie krótka podróż. Najwyżej pół godziny. Nie będę się oddalał od wehikułu i wr-róczę, gdy tylko się czegoś dowiem. Jeśli wszystko skończy się szczęśliwie, kolejna podróż w przeszłość będzie dłuższa. Jasne?

– Ależ, Michale Pietrowiczu... – zaczął Richard.

– To wszystko. Lepiej zajmij się sprawdzeniem systemu bezpieczeństwa. Nie chcesz chyba, by twój szef ugrzązł gdzieś w połowie drogi.

– Niech pan koniecznie przywiezie stamtąd świeżą gazetę – poprosił Rrrr, który był świadkiem całego sporu. – Albo nawet kilka gazet.

– Oczywiście – odparł Pietrow. – Czy coś jeszcze?

– Musi pan wstąpić do mojej pracowni – powiedział doktor podobny do ogrodowej konewki – by przejść hipnotyczny kurs nauki lokalnego języka. Zajmie to około dwóch godzin. Jego znajomość może się panu przydać.

Nazajutrz rano Alicję obudziło buczenie, jak gdyby ogromna pszczoła fruwała nad samym namiotem. Było zimno, wiatr poruszał płachtą namiotu, a Gromozeka kręcił się na podściółce, macki podrygiwały mu we śnie niczym łapki szczeniakowi.

– Alicjo – usłyszała cichy głos. Dolny brzeg płachty uniósł się nieco i w otworze błysnęło liliowe oko Rrrr. – Chcesz popatrzeć na próbę wehikułu czasu?

– No pewnie! – szepnęła w odpowiedzi Alicja. – Zaraz. Tylko się ubiorę.

– I to ciepło – powiedział nagle Gromozeka nie otwierając oczu. Miał wprost nadzwyczajny słuch. Nawet we śnie.

– Obudziłaś go? – spytał Rrrr.

– Nie, nie. Po prostu nigdy nie przestaje troszczyć się o mnie. Dał słowo mojemu ojcu.

Alicja wyszła z namiotu. Ziemię pokrywały plamy błękitnego szronu. Namioty były jeszcze zapięte, tylko nad ostatnim, w którym znajdowała się kuchnia, wznosiła się smuga dymu. Obóz spał.

Słońce dopiero wyrzało spoza gór przypominających gęsty grzebień z powyłamywanymi zębami, cienie kładły się długie, a odkopane przez archeologów miasteczko wydawało się liliowe niczym oko Rrrr.

Alicja podbiegła do konstrukcji mieszczącej wehikuł, skąd dochodziło niskie buczenie.

– Myślę – trajkotał bez chwili wytchnienia Rrrr, który biegł z tyłu jak kotek – że Pietrow z Richardem postanowili uruchomić wehikuł bez świadków. Żeby było jak najmniej szumu. To niezwykle przezorni, i, powiedziałbym, dziwni oraz skromni ludzie. Uważałem jednak za swój obowiązek obudzić cię, Alicjo, ponieważ jesteś moim przyjacielem, a nie mam moralnego prawa pozbawiać przyjaciela widoku, jak pierwszy człowiek wyrusza w przeszłość, by odkryć, co przed stu laty przytrafiło się tej nieszczęsnej planecie... Cicho!... Jeśli nas zauważą, mogą nas stąd przepędzić...

Ale było już za późno. Pietrow, ubrany w długi kitel i wysoki kapelusz, jakie nosili na Koleidzie fryzjerzy, wyrzał zza drzwi pomieszczenia, w którym znajdował się wehikuł, i spostrzegł Alicję oraz Rrrr.

– Miałem nadzieję, że nikogo nie obudziliśmy – powiedział wesoło. – No, skoro już jesteście tacy domyślni, to wejdźcie do środka, bo na dworze straszny ziąb. Gromozeka śpi?

– Tak – odparła Alicja.

– To dobrze. Jeszcze byłby mi gotów urządzić uroczyste pożegnanie z muzyką i przemowami. A my zaledwie rozpoczynamy eksperyment. Chodźcie tutaj.

W pomieszczeniu, przed otwartymi drzwiami do kabiny czasu stał Richard i naciskał kolejno guziki, a potem sprawdzał, jak reagują przyrządy na pulpicie sterowniczym.

– Wszystko gotowe? – spytał Pietrow.

– Tak. Może pan lecieć. Mimo to po raz ostatni proszę pana...

– Nie ma m-mowy – odparł Pietrow i nasunął kapelusz na czoło. – Wątpliwe, czy wyglądam na prawdziwego fryzjera, ale nie mam zamiaru zbyt oddalać się od wehikułu.

Richard wyprostował się, zobaczył Alicję i małego archeologa.

– Dzień dobry – przywitał się. – Wstaliście już? – Tak był zajęty sprawdzaniem maszyny, że

nawet nie bardzo się zdziwił.

– Do zobaczenia, p-przyjaciele – powiedział Pietrow. – Wrócę przed śniadaniem. A to zrobimy niespodziankę Gromozec!

Wszedł do kabiny, zasunął za sobą przezroczyste drzwi.

Richard podszedł do pulpitu. Niczego nie dotykał, obserwował tylko wskazania przyrządów. Wszystkie przyciski znajdowały się w kabynie. Naciskał je Pietrow.

Raptem buczenie się nasiliło, a potem ucichło. Pietrow zniknął z kabiny. Na jego miejscu utworzył się zgęszczony mgielny kształt. Potem zniknął też on.

– No, to wszystko – powiedział Richard. – Chyba poszło normalnie.

Alicja spostrzegła, że Richard zaciska kciuki, i zdumiała się, że uczeni-czasomistrzowie mogą być tak samo przesądni, jak uczniowie przed egzaminami.

– Kiedy wróci? – spytała. Ogromną dumą napawał ją fakt, iż pierwsza była świadkiem wyruszenia Pietrowa w przeszłość. Nawet Gromozeka przespał ten moment.

– Za godzinę – odrzekł Richard.

W centralnej sterowni stacji czasu panowała cisza. Alicja wyjęła z kieszeni grzebień, uczesała się, po czym zaproponowała Richardowi, by uczynił to samo. Najwyraźniej zapomniał o tym rano.

– Proszę mi wyjaśnić – powiedział Rrrr – przecież tam, w przeszłości, nie ma drugiej kabiny czasu? Akademik Pietrow wróci tu bez kabiny?

– Słusznie. – Richard nawet trochę się zdziwił, że przyszło mu odpowiadać na tak naiwne pytania. – Kiedy startujemy z Instytutu Czasu, to na drugim końcu trasy instalujemy taką samą kabinę. Wówczas podróż w obie strony jest prosta i całkowicie pewna. Natomiast w modelach eksperymentalnych, w kabynie przenośnej, jesteśmy zmuszeni korzystać z jednego urządzenia. Za ten wynalazek akademik Pietrow dostał nagrodę Nobla.

– To znaczy, że on tam wyszedł teraz na gołe pole? – zdumiała się Alicja.

Wyobraziła sobie, że Pietrow stoi na oczach wszystkich taki bezbronny i samotny, że aż ogarnął ją lęk o niego.

– Mniej więcej tak to właśnie wygląda – odparł Richard. – Dziękuję za grzebień.

– Proszę bardzo.

– Zaznacza punkt, w którym znalazł się w przeszłości, i gdy wróci stanie dokładnie w tym samym miejscu. A urządzenie pamięciowe natychmiast odbierze sygnał: podróżnik w czasie wrócił i jest gotów do lotu. Wtedy zadziała automatyka. Niepotrzebny nawet jest mój współdział. Stoję tak tylko, na wszelki wypadek.

– A jeśli to nie on trafi na zaznaczone miejsce? Jeśli stanie tam przez przypadek krowa? – spytała Alicja.

– Słuszne pytanie – odparł Richard. – Jeśli na zaznaczony miejscu stanie inny człowiek czy też zwierzę, to odbierzemy tutaj sygnał: „Obiekt w polu działania nie jest tym samym, który wyruszył w przeszłość”. I najzwyczajniej w świecie urządzenie nie zadziała.

– No, a jeśli jest ranny, nie może się wyprostować, może wyłącznie się tam przycołgać? – nie dawała za wygraną Alicja.

– Nie gadaj głupstw! – rozżłościł się nagle Richard. – Wszystko może się zdarzyć. Dlatego właśnie chciałem polecieć tam zamiast Michała Pietrowicza. A ty zadajesz głupie pytania.

Alicja umilkła. Pytania wcale nie były takie głupie. Podeszła bliżej do kabiny i zaczęła przyglądać się przyciskom sterowniczym. Nie wchodziła do środka, ponieważ w każdej chwili mógł się tam zjawić Pietrow, a wtedy zderzenie byłoby nieuniknione.

Richard podszedł do niej. Czuł się niezręcznie z powodu niegrzecznej reakcji na pytanie

dziewczynki, zaczął więc objaśniać:

– Widzisz ten zielony przycisk z prawej? Kiedy Pietrow go nacisnął, zamknęły się drzwi do kabiny. Następnie wcisnął biały guzik. Włączył w ten sposób pole czasowe. Wówczas jeszcze go widziałaś. Wreszcie nacisnął czerwony – i znalazł się w przeszłości, w tym punkcie, który obliczyliśmy wcześniej i na który została nastrojona cała aparatura.

– To znaczy, że nie może sam wybrać miejsca przeznaczenia?

– Nie, to skomplikowane zadanie. Trzeba nastroić mnóstwo przyrządów. Przygotowywaliśmy do tego nasz wehikuł przez, całą noc.

– I w którym momencie tam trafił?

– W tej chwili Pietrow znajduje się na Koleidzie sto jeden lat temu, w czasie gdy epidemia już wybuchła, ale ludzie jeszcze żyli.

Nagle buczenie znów się nasiliło.

– Uwaga! – powiedział Richard.

Po trzech sekundach w kabinie pojawił się obłoczek mgły, który przeobraził się w Pietrowa.

Pietrow nie zmienił się ani na jotę. Zsunął z czoła kapelusz, otworzył drzwi i wyszedł z kabiny.

– To by było wszystko – powiedział niczym dentysta, który właśnie wstawił plombę. –

Wróciłem.

– No i co? Co? – spytał nerwowo Rrrr podbiegając do nóg czasomistrza i spoglądając na niego z dołu.

– Jeszcze nie wiem – odparł Pietrow. – Bardzo się spieszyłem. Nie chciałem, żebyście się denerwowali. Proszę, oto pańskie gazety.

Wyciągnął z zanadru plik gazet i innych papierów i podał je archeologowi. Rrrr pochwycił je długą włochatą rączką i rozłożył pierwszą z brzegu. Gazeta była większa od niego i mały archeolog cały się za nią schował.

– Chodźmy – powiedział Pietrow. – Richard, wyłącz zasilanie. Musimy opowiedzieć o wszystkim całej reszcie. Zaraz będzie śniadanie. Pewnie się już budzą.

– Gromozeka będzie na was obrażony – oznajmiła Alicja – że go nie zawołaliście.

– Nie b-będzic – uśmiechnął się Pietrow zdejmując długi kitel.

Ruszyli do wyjścia. Pierwszy szedł Richard, za nim Pietrow trzymający za rękę Alicję, na samym końcu sunęła otwarta gazeta, całkowicie przesłaniająca Rrrr.

– Właśnie że Gromozeka... – zaczęła znów Alicja, która pękała z dumy na myśl, że widziała coś, co Gromozeka przespał.

Nie zdążyła jednak dokończyć zdania.

Przed wejściem do stacji siedział na piasku Gromozeka, obok zaś stali wszyscy inni archeolodzy.

– No tak – odezwał się Richard – a my byliśmy pewni, że pan śpi.

– Nikt nie spał – odparł z urazą Gromozeka. Z jego nozdrzy walił gęsty dym, w dodatku intensywnie zalatywało od niego walerianą.

– Nikt nie spał – powtórzyli pozostali archeolodzy.

– Nie chcieliśmy wam przeszkadzać. Mamy swoją dumę. Nie zaproszono nas, to nie.

– Przepraszam – powiedział Pietrow.

– Nie szkodzi – uśmiechnął się Gromozeka. – Nie jesteśmy tak bardzo obrażeni. Chodźmy do stołówek, wszystko nam pan opowie. Myślicie, że to taka rozkosz czekać tu, na tym zimnie?

– I denerwować się – dodał ktoś inny.

Po czym wszyscy skierowali się do stołówek.

– No cóż – zaczął Pietrow patrząc na archeologów – widzę, że nikt nie ma zamiaru jeść śniadania. Wobec tego opowiem w dwóch słowach, co widziałem w przeszłości. A potem zabierzemy się do jedzenia.

Archeolodzy z aprobatą pokiwali głowami.

– Wydostałem się szczęśliwie z kabiny – mówił Pietrow. – Wszystko zostało obliczone z idealną dokładnością. Miejsce postoju na polanie, w pobliżu miasta, około trzystu metrów od ostatniego budynku. Zazaczyłem miejsce lądowania i pospieszyłem do miasta. Był wczesny ranek, wszyscy jeszcze spali. A raczej nie wszyscy, lecz większość. Nie zdążyłem przejść nawet stu kroków, gdy zobaczyłem, że drogą wiodącą do miasta pędzi kilka samochodów z granatowymi pasami.

– To karetki pogotowia ratunkowego – powiedział Gromozeka. – Wiemy już.

– Owszem. Karetki pogotowia. Ponieważ wiedziałem o tym, zrozumiałem od razu, że nasze przypuszczenia były słuszne. W mieście panuje epidemia. Poszedłem więc tam.

– Chwileczkę! – krzyknął nagle Rrrr. – A czy przeszedł pan szczepienia?

– Oczywiście. Wszystkie możliwe szczepienia przeciw wszystkim znanym kosmicznym chorobom, w tym również dżumie.

Gromozeka, jak gdyby przypominając sobie o czymś, wyjął z kieszeni na pękatym brzuchu notatnik i naskrobał w nim parę słów.

– Samochody zatrzymały się przed szpitalem – mówił dalej Pietrow.

– Wiemy – przerwał archeolog przypominający ważkę na długich nóżkach. – Odkopaliśmy go. Pietrow westchnął.

– Jeśli ktoś jeszcze raz przerwie tę relację – ryknął Gromozeka – wyprowadzimy go stąd i zaplombujemy w namiocie.

– Słusznie – przytaknęli archeolodzy.

– Zobaczyłem, jak z karetki pogotowia wnoszą chorych na noszach. Nie zatrzymałem się jednak, ponieważ wiedziałem, że czeka na mnie Richard, który będzie się denerwował. Podeszedłem do kiosku z gazetami. Kiosk był otwarty, ale nikogo w nim nie było widać. Gdy zajrzałem do środka, zobaczyłem leżącego na podłodze sprzedawcę.

„Źle się pan czuje” – spytałem.

„Chyba też zachorowałem” – odparł.

„Potrzebne mi są gazety”.

„Niech pan bierze, co chce – powiedział. – Proszę tylko wezwać sanitariuszy, bo nie mam siły stąd się wydostać”.

Wobec tego wzięłem wszystkie gazety, jakie tylko były, i pospieszyłem do szpitala. Powiedziałem sanitariuszom o chorym sprzedawcy w kiosku z gazetami, ale oni tylko machnęli ręką. Widocznie byli śmiertelnie zmęczeni. Zajrzałem przez szpitalne okno i stwierdziłem, że ludzie leżą tam pokotem. Nie starcza łóżek.

Wówczas wróciłem do kiosku i wyciągnąłem stamtąd sprzedawcę. Był przecież taki malutki... no, wzrostu Alicji... nieść go było bardzo łatwo. Położyłem go przy wejściu do szpitala, do środka nie wszedłem, bo i tak już zaczęto spoglądać na mnie podejrzliwie – przecież byłem dwa razy wyższy od

każdego z nich.

Natomiast przez, cały czas robiłem zdjęcia. Gdzie tylko się dało. Dlatego sędzę, że nasi specjaliści zdołają odtworzyć wszystkie fakty na podstawie fotografii. Oprócz, tego wzięłem z kiosku trochę różnych pieniędzy – sprzedawcy nie były już potrzebne, a nam – jeśli znów wyruszymy w przeszłość – przydadzą się bardzo. To by było tyle. A teraz siadajmy do śniadania.

– Chwileczkę – powiedział Gromozeka. – Zanim zaczniemy jeść, proszę wszystkich bez wyjątku archeologów oraz gości, by udali się do punktu sanitarnego.

– Po co?

– Wszyscy powinni zaszczepić się przeciwko kosmicznej dżumie. Wszyscy bez wyjątku.

Alicja bardzo nie lubiła szczepień, ale Gromozeka zauważył, że zmierza do punktu sanitarnego, i podszedł do niej.

– Posłuchaj, córeńko – powiedział głośnym szeptem – mam do ciebie szczególną prośbę. Zaszczepisz się nie tylko przeciw dżumie kosmicznej, ale również przeciw wszystkim możliwym chorobom. Lekarza już uprzedziłem.

– Oj, dlaczego, Gromozeko?! – jęknęła Alicja. – Ja tak nie znoszę zastrzyków.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że szykuję dla ciebie specjalne zadanie? Bez tych zastrzyków nie mamy nawet o czym rozmawiać.

Alicja poszła więc do punktu sanitarnego, zrobiono jej zastrzyki, połknęła osiem tabletek i wypła straszliwie słone krople przeciw dygotce Kosa, przedziwnej chorobie, na którą nikt jeszcze dotąd nie zapadł, ale wszyscy lekarze uważają, że niewątpliwie ktoś na nią zachoruje.

Mężnie zniosła wszystkie próby, ponieważ ufała Gromozece. Bez powodu by jej nie prosił.

Po wszystkich zastrzykach i tabletkach poczuła się fatalnie. Chwyciły ją dreszcze, bolała głowa, ćmiły zęby. Ale doktor podobny do konewki powiedział, że to normalna reakcja i do jutra niedyspozycja minie. Leżała więc w namiocie, gdy tymczasem archeolodzy wypytawali Pietrowa i oglądali fotografie.

Obiad przyniósł Alicji wierny Rrrr. A właściwie przywiózł na tacze, gdyż nie dałby rady przydźwigać znacznie większej od niego tacy z talerzami.

– Jedz – powiedział – bo ostygnie.

– Nie mam ochoty, Rrrr – odparła Alicja. – Nie czuję się jeszcze zbyt dobrze.

– Ale z ciebie słabeusz – powiedział z dezaprobatą Rrrr. – Spójrz, ja po zastrzyku chodzę sobie, jak gdyby nigdy nic.

– Ale panu zrobili tylko jeden zastrzyk, a mnie dużo więcej.

– Dlaczego? – zdumiał się malutki Archeolog. Okazało się, że nie wiedział o całej serii zastrzyków, które dostała Alicja, niczym kosmiczny zwiadowca wyruszający na nieznaną planetę.

– Pewnie Gromozeka niepokoi się o mnie. Przecież obiecał tatusiowi, że będzie mnie strzegł jak oka w głowie.

– Oczywiście, oczywiście – zgodził się Rrrr. – Bardzo ci współczuję. Chętnie bym się zgodził, żeby mnie zrobiono te zastrzyki zamiast tobie.

– Dziękuję – powiedziała Alicja. – Co nowego?

– Bardzo wiele – odparł mały archeolog. – Jeśli zjesz zupę, co nieco ci opowiem. A jeżeli zjesz jeszcze drugie danie, opowiem ci prawie wszystko.

– Wobec tego zjem kompot, a pan opowie mi to, co najważniejsze.

Ale Rrrr uśmiechnął się tylko i mrugnął liliowym okiem. Alicji nie pozostało nic innego, jak zacząć od zupy. Tymczasem Rrrr opowiedział, co następuje.

Najwięcej dały archeologom świeże gazety przywiezione z przeszłości przez czasomistrza Pietrowa. Dowiedzieli się z nich, w jaki sposób złowrogi wirus kosmicznej dżumy przeniknął na planetę. Okazało się, że tydzień wcześniej wrócił na Koleidę pierwszy statek kosmiczny wystrzelony z planety. Miał kilkakrotnie okrążyć Koleidę, następnie zatoczyć krąg wokół jej satelity, małego Księżyca. Lot minął normalnie i tysiące Koleidzian zamieszkujących tę półkulę przybyło na kosmodrom, by powitać swych pierwszych kosmonautów. Tego samego dnia wieczorem mieli oni wystąpić na ogromnym mityngu na głównym placu stolicy. Nie stawili się tam jednak, ponieważ zachorowali na zagadkową chorobę. W gazetach zamieszczono tego dnia bardzo krótką i niejasną wzmiankę. Ale już następnego dnia, gdy zachorowali krewni kosmonautów, a także wszyscy, którzy ich witali na kosmodromie, stało się jasne, iż na Koleidę trafiła z Kosmosu straszliwa infekcja. A po kolejnych trzech dniach choroba rozprzestrzeniła się na całej planecie.

– Jak widzisz, Gromozeka od początku miał rację. To bez wątpienia dżuma kosmiczna – zakończył swoją opowieść Rrrr. – Nasi specjaliści uważnie przyjrzeni się fotografiom przywiezionym przez Pietrowa i nie mają już co do tego najmniejszych wątpliwości.

– Och, to okropne! – powiedziała Alicja. – I w niczym nie można im pomóc?

– Jak można pomóc ludziom, którzy umarli sto lat temu? – zdziwił się mały archeolog. – No dobrze, dopij kompot i prześpij się. Jutro cię odwiedzę.

– Dziękuję – powiedziała Alicja. – A co teraz będą robić czasomistrzowie?

– Będą szykować swój wehikuł do następnych lotów. Chcą go nastroić na tamten dzień, kiedy przylecieli kosmonauci, aby się ostatecznie upewnić, że to właśnie kosmiczna dżuma przedostała się

na Koleidę. Trzeba się jak najwięcej o niej dowiedzieć, żeby nie zaatakowała jakiejś innej planety. I jutro Richard wyruszy w przeszłość o tydzień wcześniejszą.

Rrrr skłonił się i uciekł, miękko stukając po podłodze namiotu puszystymi nóżkami. Tak się spieszył do wertowania swoich gazet i czasopism, że zapomniał o taczce.

Jego kroki nie zdążyły jeszcze ucichnąć, gdy płachta namiotu znów się odchyliła i wszedł sam Gromozeka.

– Kto był u ciebie? – spytał. – Co tu robi taczka?

– Mały Rrrr – odparła Alicja.

Gromozeka przyniósł tacę z obiadem.

– Skąd masz kompot? – spytał surowo.

Alicja dopiła kompot ze szklanki i odpowiedziała:

– Rrrr mi przyniósł. Zupę też już jadłam.

– Ajajaj! – zmartwił się Gromozeka. – A ja wyprosiłem dla ciebie u kucharza same najsmaczniejsze kaski. Może mimo wszystko zjesz jeszcze jeden obiad? Za zdrowie twego wujaszka Gromozeki?

– Nie, dziękuję.

– Alicjo, potrzebujesz dużo kalorii – oświadczył Gromozeka.

– Nie więcej niż zwykle.

– Właśnie że więcej. Przyszedłem porozmawiać z tobą poważnie, jak uczonec z uczonym. Jak się czujesz?

– Już lepiej.

– Znacznie lepiej czy tylko trochę lepiej?

– Znacznie lepiej. Mogę nawet wstać.

– Nie wolno ci wstawać.

Gromozeka w roztargnieniu postawił tacę z obiadem na podłodze, wyciągnął dwie wolne macki w kierunku płachty namiotowej i zapiął ją. Następnie wlał sobie do paszczy talerz zupy i powiedział:

– Szkoda marnować takie pyszne jedzenie. Zostawię ci kompot.

– Dziękuję.

– Alicjo – zaczął uroczyście Gromozeka – wiesz, że wszyscy uważają mnie za stworzenie naiwne i prostoduszne.

– Nie wszyscy – powiedziała Alicja.

– No, źli ludzie są wszędzie. Rzeczywiście, jestem stworzeniem naiwnym i prostodusznym. Umieję jednak patrzeć w przyszłość, a nie wyłącznie w przeszłość, jak wielu naszych przyjaciół. Powiedz, po co wziąłem cię w naszą ekspedycję?

– Żeby mi zrobić prezent urodzinowy – odparła Alicja, choć już doskonale zdawała sobie sprawę, że był to dopiero jeden z powodów.

– Zgoda – zaryczał Gromozeka. – Ale nie tylko po to. Tak, prezent urodzinowy dla ciebie. Prezent – to przylecieć na planetę, zwiedzić wykopaliska, poznać moich przyjaciół. Prezent – to przehulać trzy dni zamiast chodzić do szkoły... Ostatnie zresztą nie tyle jest prezentem, ile raczej małym przestępstwem. Ale nie o tym chciałem mówić. Możesz, oczywiście, wsiąść pojutrze do towarowej rakiety i odlecieć do domu. I zostaniemy przyjaciółmi. Ale myślę, że tak nie postąpisz. Znam bowiem twego ojca, znam ciebie i sądzę, że zechcesz mi pomóc.

– Jasne, że zechcę – potwierdziła Alicja.

– Lecąc na Ziemię przemyślałem wiele spraw – powiedział Gromozeka. – Myślałem sobie tak: oto jest planeta Koleida, która zginęła wskutek epidemii kosmicznej dżumy. My zaś, archeolodzy,

przylecieliśmy tu po stu latach i przyglądamy się skorupkom, które na niej zostały. I na tym koniec. Potem zawieziemy te skorupki do muzeum i damy napis: „Wymarła cywilizacja”.

– I wtedy postanowiłeś zwrócić się do Instytutu Czasu?

– Tę decyzję podjąłem dużo wcześniej. Zresztą nic to jeszcze nie daje. Będziemy wyłącznie wiedzieć, gdzie szukać jakichś skorupki. I tyle. Należało coś zrobić, nie mogłem jednak nic wymyślić. A potem przyjechałem do was, siedziałem i rozmawiałem z wami. Później poszedłem do Instytutu Czasu i dogadałem się, że nam wypożyczą swój wehikuł. I właśnie wtedy wpadł mi do głowy pewien pomysł, dlatego kupiłem dużo kwiatów i wróciłem do was. No, co to za pomysł?

– Nie wiem.

– Przypomnij sobie, Alicjo, czy nie zdziwiły cię podczas pierwszego zwiedzania miasta rozmiary domów, łóżek, stołów?

– Są małe.

– Nie tylko małe. Są akurat na twój wzrost. A pamiętasz, co nam opowiadał Pietrow o tym, jak niósł do szpitala chorego sprzedawcę gazet?

– Nie pamiętam.

– Powiedział, że wszyscy zerkali nań podejrzliwie, dwukrotnie bowiem przewyższał wzrostem każdego mieszkańca miasta. Jaki z tego wyciągniemy wniosek?

Alicja milczała. Nie wiedziała, jaki wysnuć wniosek.

– Pierwszym moim krokiem było zdobycie wehikułu czasu – mówił dalej Gromozeka. – Drugim – Wyjaśnienie, czy Koleidzianie rzeczywiście wymarli z powodu kosmicznej dżumy. Trzecim – namówienie czasomistrzów, by zajrzeli na planetę tego właśnie dnia, gdy przeniknęła tam kosmiczna dżuma. Jak myślisz, jaki będzie czwarty krok?

– No?

– Aha, widzę, że już się domyślasz! Czwartym krokiem będzie wysłanie tam Alicji. Jeżeli, oczywiście, wehikuł jest w pełni sprawny i żadne szczególne niebezpieczeństwo Alicji nie zagraża. A po co ją tam wyślemy?

– Żeby...

– Właśnie tak – żebyś dostała się w określone miejsce dokładnie w tym momencie, kiedy kosmiczna dżuma przedostała się na planetę, i żebyś znalazła sposób zdławienia jej w zarodku. Co się wówczas stanie? Dżumy nie ma, planeta żyje, archeolodzy nie mają na niej nic do roboty.

Wszyscy krzyczą „hura!”, a cały miliard ludzi zostaje uratowany dzięki jednej małej dziewczynce.

– Och, jakie to pasjonujące! – wykrzyknęła Alicja.

– Szszsz! – Gromozeka zatkał jej usta koniuszkiem macki. – Mogą nas za wcześniej usłyszeć.

– A czemu ja?

– Ponieważ jesteś dokładnie tego samego wzrostu, co mieszkańcy tej planety. Ani Pietrow, ani Richard, ani tym bardziej ja nie przedostaniemy się żadnym cudem na kosmodrom do statku. A ciebie nikt nie zauważy. Jesteś taka mała jak oni.

– A dlaczego ma to być tajemnicą?

– Nie, widzę, że mimo wszystko brakuje ci oleju w głowie. Wyobrażasz sobie, jak mówię twemu rodzonemu ojcu: „Posłuchaj, profesorze, chcę wysłać twoją córkę w daleką przeszłość nieznanej planety po to, by uratowała tę planetę od straszliwej choroby”? Co odpowie ojciec?

– Ogólnie biorąc mój ojciec jest człowiekiem wyrozumiałym – odrzekła po chwili zastanowienia Alicja – ale myślę, że odpowiedź brzmiałaby: wykluczone.

– Racja. Tak właśnie by odpowiedział. Ponieważ dla niego ciągle jesteś malutkim dzieckiem, głuptaskiem, któremu trzeba wycierać noski. Tak działa jego ojcowski instynkt. Wiesz, co to takiego?

– Wiem. A dziadek ma instynkt dziadkowy, mama – macierzyński. Wszystkie te instynkty podszeptują im, żebym ubierała się ciepło i nie zapomniała o płaszczu, gdy pada deszcz.

– Wspaniale! – ucieszył się Gromozeka. – Widzę, że doskonale się rozumiemy. Nie chciałem ci mówić o tym wcześniej, nie byłem pewien, jak działa wehikuł i co czasomistrzowie odkryją w przeszłości. A teraz moje przypuszczenia potwierdziły się całkowicie.

– I polecę jutro w przeszłość?

– Ależ skąd! To zbyt niebezpieczne. Jutro poleci w przeszłość Richard. Powinien znaleźć się tam akurat w tym dniu, gdy statek kosmiczny wrócił z podróży. Spróbuje wszystko wy badać. Potem poleci Pietrow. Weź pod uwagę, że oni jeszcze o niczym nie wiedzą. I niewątpliwie stracę wiele godzin, zanim zdołam ich przekabacić. Nie wyobrażają sobie nawet, że można spróbować ukręcić łeb dżumie w samym zarodku. Po prostu nigdy nie starali się zmieniać przeszłości. Przyjęli nawet takie prawo: przeszłości zmieniać nie wolno. Ale przecież Koleida jest daleką planetą i jej przeszłość nie ma żadnego wpływu na przeszłość oraz teraźniejszość innych planet. Czyli pierwsza trudność – to namówienie ich na ingerencję w przeszłość Koleidy. Potem zaś zacznie się druga trudność – ty.

– Ale przecież mogą zdecydować, że sami pójdą na kosmodrom i uwolnią statek od kosmicznej dżumy – powiedziała Alicja. – I wtedy wszystko stracone.

– Co znaczy – stracone? Jeśli zechcą sami się tego podjąć, to wspaniale. Nie będę musiał denerwować się o ciebie.

– No tak – obraziła się Alicja – najpierw obiecuje, a potem mówi, że najlepiej byłoby, gdyby się można obyć beze mnie!

Gromozeka ryknął takim śmiechem, że aż zatrzęsł się cały namiot.

– Zobaczmy – powiedział. – Zobaczmy. Cieszy mnie, że się nie boisz. Dzisiaj wieczorem przed kolacją udasz się do lekarza, by przejść hipnotyczny kurs nauki języka koleidzkiego. Jest uprzedzony. Ale póki nie wybije odpowiednia godzina, nikomu ani mru, mru, nawet twojemu przyjacielowi Rrrr. I pamiętaj: jeśli polecisz w przeszłość, będzie ci towarzyszyć któryś z czasomistrzów, po to, by cię obserwować i ubezpieczać. Wyzbądź się więc nadziei, że będziesz tam działać wyłącznie ty sama. A teraz wypoczywaj.

Ale kiedy Gromozeka opuścił namiot, Alicja nie mogła już wytrzymać na miejscu. Wskoczyła z łóżka i popędziła przyglądać się, jak przygotowują wehikuł czasu do jutrzejszego lotu.

„Fajnie by było – myślała Alicja, kiedy podkraǳła się do samego wehikułu i zerkała ciekawie na pulpit sterowniczy – polecieć w przeszłość. Nawet jeśli mi każą wyruszyć tam razem z Richardem albo z Pietrowem, nie zrezygnuję. Mogą wziąć mnie na ręce i będzie tak, jakby podróżował jeden człowiek. Wehikuł to wytrzyma”.

Czasomistrzowie nie zwracali na nią uwagi. Byli zajęci. Musieli tak przestroić wehikuł, by wysłał człowieka o tydzień wcześniej niż poprzednio. A ściślej mówiąc, o tydzień i dwadzieścia godzin. Pietrow wyjaśnił dziewczynce, że robią tak po to, by zdążyć na pociąg, który odchodzi z odkopanego przez archeologów miasteczka do stolicy. Rozkład jazdy pociągów wzięli z gazety, a pieniądze na bilet zdobył przecieź Pietrow. Pozostało tylko wsiąść do pociągu i zdążyć na kosmodrom w momencie lądowania statku kosmicznego, by przyjrzeć się z bliska kosmonautom – czy to w samej rzeczy kosmiczna dżuma.

Alicja zapomniała o bożym świecie. Nagle usłyszała wołanie Gromozeki:

– Ali-icjo!

Jego głos przeniknął przez grube ściany stacji, aż zamigotały trwoźliwie światelka przyrządów.

– B-biegnij do niego – powiedział Pietrow – bo od jego ryku zawałą się ściany.

Alicja natychmiast przypomniała sobie, po co ją wzywa szef archeologów. Nadszedł czas na seans nauki języka u doktora.

Doktor podobny do konewki długo kiwał głową osadzoną na cienkiej, prostej i niewiarygodnie długiej szyi, jak gdyby szykował się do wygłoszenia tasiemcowej mowy. Zamiast tego, rzucił krótko:

– Usiądź, proszę, młoda damo – i wskazał na fotel, z którego zwisały różnokolorowe przewody.

Alicja posłusznie usiadła. Fotel zmienił kształt, zamknął dziewczynkę w swych objęciach, doktor zaś podszedł bliżej i szybko przymocował do skroni Alicji kabelki zakończone przyssawkami.

– Nie bój się – uspokoił ją widząc, że się skuliła.

– Wcale się nie boję – odparła szybko. – Po prostu to mnie łaskocze.

Ale prawdę mówiąc, trochę się przestraszyła.

– Zamknij to – polecił doktor.

– Co?

Doktor głośno westchnął, po czym wziął ze stołu słownik. Przez parę minut szukał potrzebnego słowa, wreszcie rzekł:

– Ma się rozumieć, że oczy.

Z czarnej skrzynki, od której ciągnęły się przewody, rozległo się brzęczenie. Dźwięk przepłynął do uszu Alicji, aż poczuła zawrót głowy.

– Postaraj się wytrzymać – powiedział doktor.

– Dobrze – odparła Alicja. – A długo?

Doktor milczał. Alicja otworzyła lekko jedno oko i spostrzegła, że znów kartkuje słownik.

– Godzinę – odezwał się wreszcie. – Zamknij oczy.

Alicja zamknęła oczy, ale nie zdołała się powstrzymać od pytania:

– Proszę mi powiedzieć, czemu pan sam nie nauczył się języka rosyjskiego w taki właśnie sposób?

– Ja? – zdziwił się doktor. – Nie mam czasu.

Zastanawiał się przez chwilę, odszedł w kąt pracowni, zabrzączał jakimiś buteleczkami i cicho dodał:

– Nie mam zdolności do języków. Tak dalece, że nawet hipnopedia mi nie... zapomniałem.

– Nie pomoże?

– O właśnie, tak.

Alicja czuła się bardzo przytulnie. W głowie cichutko bzyczało, ogarnęła ją senność i właśnie myślała, co by tu zrobić, żeby nie zasnąć, gdy usłyszała głos doktora:

– Proszę się budzić. Koniec.

Doktor zdejmował jej z głowy przyssawki i rozplątywał przewody.

– To wszystko? Czyżby minęła już godzina?

– Tak.

Do pracowni wcisnął się Gromozeka. Przyjrzał się badawczo Alicji i zapytał:

– Bunto todo barakata a wa?

Ledwie przemknęła jej myśl: „Cóż to za bzdury?”, gdy nagle zrozumiała, że to bynajmniej nie bzdury. Po prostu Gromozeka spytał ją po koleidzku, czy nauczyła się języka. Odpowiedziała więc spokojnie:

– Kra barakata to bunta.

Co oznaczało: „Tak, nauczyłam się języka”.

Gromozeka roześmiał się radośnie i przypomniał, że czas na kolację, ale doktor wpadł w takie przygnębienie, że zrezygnował z jedzenia.

– Nigdy – rzucił za odchodzącymi – nigdy nie nauczę się żadnego języka! – I z konewki polały się strumyczkami gorzkie łzy.

Przy kolacji Gromozeka posadził Alicję z dala od siebie, by nie zadawała mu bez przerwy pytań. Natychmiast, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, zjawiło się przed dziewczynką osiem szklanek kompotu. Cała ekspedycja знаła już jej słabostkę i gdyby nie srogi Gromozeka, mogłaby objadać się kompotem aż do przesyty.

Tego wieczoru jednak Alicja nawet nie spojrzała na swoje ulubione danie. Starła się pochwycić spojrzenie Gromozeki, nadstawiała uszu, by dowiedzieć się, o czym rozmawia z Pietrowem. Pod koniec kolacji usłyszała słowa Gromozeki:

– Jaki wspaniały zachód słońca! Czy nie ma pan nic przeciwko małemu spacerowi, by nacieszyć wzrok pięknem przyrody?

– P-przyrody? – zdumiał się Pietrow. – Jakoś do tej pory nie zauważyłem, by podziwiał pan zachody słońca. Poza tym chciałbym wrócić do wehikułu.

– Zdaży pan – zaryczał przyjaźnie Gromozeka i odciągnął Pietrowa na bok.

Alicja domyśliła się, że teraz nastąpi chwila najważniejsza – rozmowa na temat jutrzejszej podróży i zamiarów Gromozeki. I oto zachowała się nie najładniej. Zaczęła podsłuchiwać rozmowę czasomistrza z archeologiem. Poczekała, aż zatrzymają się obok dużego głazu, podbiegła ciszkiem i przyczaiła się za nim.

– Jak pan sądzi – spytał Gromozeka Pietrowa – czy można by zapobiec epidemii dżumy kosmicznej, gdyby się ją stłumiło w zarodku?

– Oczywiście, że tak – odparł Pietrow. – Tyle tylko, że naszego p-przypadku to nie dotyczy – Koleida zginęła przecież sto lat temu.

– Aha – powiedział Gromozeka, jakby usłyszał wyłącznie pierwszą część odpowiedzi Pietrowa. – Czyli jest to możliwe.

I opowiedział Pietrowowi, w jaki sposób pragnie zmienić bieg historii Koleidy i przywrócić jej życie.

W pierwszym momencie Pietrow parsknął śmiechem, ale Gromozece nawet macka nie drgnęła. Wypuścił nozdrzami żółty dym i ciągnął dalej, że trzeba przedostać się w pobliże statku kosmicznego w chwili jego lądowania na kosmodromie i unicestwić wirusy.

– Ale jak?

– Przewidziałem wszystko – odrzekł Gromozeka. – Przed odlotem z Ziemi udałem się do Instytutu Leków i poprosiłem o szczepionkę przeciwko dżumie. Powiedziałem im, że ekspedycja archeologiczna wyrusza na planetę, gdzie istnieje możliwość zarażenia. Nie odmówili mojej prośbie. Przecież zapasy szczepionki są w każdym ośrodku medycznym na Ziemi. Jeśli wirusowi przyjdzie znów kiedyś chęć zaatakować Ziemię, marne jego widoki.

– A więc od samego początku miał pan zamiar ingerować w historię Koleidy?

– Właśnie tak, Pietrow! – wykrzyknął Gromozeka. – Od samego początku. Jeszcze zanim wasz Instytut Czasu zgodził się wyeksponować tam swój wehikuł.

– I nie pisał pan na Ziemi ani słowa na ten temat?

– Ani słowa. Nie chciałby pan mnie w ogóle słuchać.

Alicja uważała, że Gromozeka zanadto jest skryty i nieufny. Z pewnością czasomistrzowie nie omieszkaliby go wysłuchać.

– Zrozumiałe, że panu lub Richardowi – mówił dalej Gromozeka – byłoby bardzo trudno przedostać się ze szczepionką do samego statku kosmicznego, dlatego zaprosiłem Alicję. Jest tego wzrostu, co Koleidzianie, i zgodziła się opryskać statek surowicą, udając mieszkankę planety.

– To i Alicję wciągnął pan do spisku?

– Co za wyrażenia, Pietrow! – obraził się Gromozeka. – Nikogo do niczego nie wciągałem.

Alicja jest bardzo doświadczona, ma już dziesięć lat i kilka podróży kosmicznych na swoim koncie. Wspaniale poradzi sobie z tym niewielkim zadaniem.

– Nie ma mowy! – powiedział Pietrow takim tonem, jakim z pewnością przemówiłby ojciec Alicji. – Jeszcze w ostateczności ja lub Richard moglibyśmy podjąć ryzyko, lecz Alicja – w żadnym wypadku.

– Ależ, Pietrow...

– Nie chcę więcej o tym słyszeć! Sam pomysł jest śmiały i interesujący. Aczkolwiek zupełnie nie wiadomo, jakie skutki może za sobą pociągnąć. Naradzimy się z Richardem, a potem poprosimy o zezwolenie Ziemię.

Alicja widziała ze swej kryjówki, jak przygasł Gromozeka. Nawet głowę wciągnął w ramiona, tak że ponad mackami wznosił się tylko mały wzgórek.

– Wszystko stracone – jęknął. – Wszystko stracone. Zaczniecie korespondencję z Ziemią, zleci się tu ośmiuset ekspertów i w końcu stwierdzą, że nie wolno tak postąpić. Że to za wielkie ryzyko dla całej Galaktyki.

– No cóż – wzruszył ramionami Pietrow – przecież pan sam rozumie.

– Rozumiem, rozumiem...

– Czyli jutro rano Richard wyrusza w p-przeszłość i stara się dotrzeć pociągiem do stolicy. Tam obserwuje przylot statku kosmicznego, wraca i melduje, jak wygląda sytuacja. I – powtarzam – nie podejmuje żadnych środków. Jeśli się okaże, że macie rację i dżuma kosmiczna trafiła na Koleidę wraz z tym statkiem, powiadomimy o tym Ziemię i poprosimy o radę uczonych. To tyle. Dobrej nocy i proszę się na mnie nie gniewać.

Z tymi słowami Pietrow podążył do stacji czasu, by przygotować wszystko do jutrzejszej pracy.

Gromozeka nie wstawał z ziemi. Siedział na kamieniach, podobny do wielkiej smutnej ośmiornicy.

Alicji zrobiło się go bardzo żal. Wyszła ze swego ukrycia i zbliżyła się do Gromozeki.

– Gromozeko – powiedziała cicho i pogłaskała chropowatą mackę.

– Co? – spytał otwierając jedno oko. – A, to ty, Alusiu? Słyszałaś?

– Tak, słyszałam.

– Widzisz, wszystkie moje plany wzięły w łeb.

– Nie martw się, Gromozeko. Ja i tak jestem po twojej stronie. Czyżbyśmy nie byli w stanie nic wymyślić?

– Oczywiście, że wymyślimy – rozległ się nagle cienki głosik.

Zza drugiego głazu wyskoczył, niczym kotek, mały archeolog Rrrr. Jego liliowe oko świeciło w półmroku jak latarka.

– Ja też wszystko słyszałem – powiedział. – Nie potrafiłem przezwyciężyć ciekawości. Również się z wami zgadzam. Nie możemy czekać, aż sto tysięcy ekspertów odbędzie sto tysięcy narad. My, archeolodzy, odkrywamy przeszłość. Ale do tej pory nic nie zmienialiśmy, a teraz właśnie zmienimy. Jeśli czasomistrzowie nam odmówią, zwiążemy ich i polecimy tam sami z Alicją.

– No tak, tylko tego brakowało – smutno uśmiechnął się Gromozeka. – Wtedy nas w ogóle wyrzucą z szeregów archeologów. I słusznie zrobią.

– A niech wyrzucają. Zostaniemy na tej planecie, a wdzięczni Koleidzianie wystawią nam pomnik.

– Wiecie co – rzekł Gromozeka, prostując się w całej swej słoniowatej okazałości – przestańcie opowiadać bajki! I najlepiej idźcie spać.

Gromozeka szedł przodem, ledwie wlokąc macki, tak okropnie był zmartwiony. Alicja i Rrrr kroczyli nieco z tyłu, starając się go uspokoić.

Ale Gromozeka był niepocieszony.

Przystanęli przed namiotem, żeby się pożegnać z Rrrr.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział Rrrr. – Jutro Richard obejrzy przylot statku, a my wyślemy list na Ziemię. Przecież oni i tak zmarli przed stu laty. I nawet jeśli pański pomysł będzie zrealizowany za dziesięć lat, nic szczególnego się nie stanie.

– Też mi pociecha! – prychnął Gromozeka i wpełznął do namiotu.

Alicja zatrzymała się u wejścia. Zaświtała jej pewna myśl.

– W którym namiocie mieszkasz? – spytała Rrrr.

– Trzecim od brzegu.

– Nie kładź się spać – szepnęła Alicja. – Muszę z tobą porozmawiać. Jak tylko wszystko się uspokoi.

Gromozeka wzdychając i porykując układał się hałaśliwie do snu.

– Powiedz mi – spytała Alicja – w jaki sposób zamierzałeś zaszcześcić kosmonautów? Przecież nie zgodziliby się na zastrzyki.

– Głuptasku! – odparł sennym głosem. – Wcale nie miałem zamiaru robić im zastrzyków.

W Instytucie Leków dali mi tę butlę. – Gromozeka wskazał na nieduży pojemnik podobny do termosu, zawieszony na rzemyku nad jego łóżkiem. Alicja widziała go tysiąc razy, ale nie zwracała nań uwagi.

– Działa na zasadzie gaśnicy – wyjaśnił. – Wystarczy nacisnąć guzik, by wypuścić strumień surowicy. Spowije wszystko dokoła niczym mgła. Jeśli skierować strumień w otwarty luk statku, wypełni całe jego wnętrze i zabije wirusy. Dostanie się z powietrzem do płuc kosmonautów i wyleczy ich, jeśli są już chorzy. I w ciągu trzech minut nie zostanie na Koloidzie nawet jeden wirus

kosmicznej dżumy. No, idź spać, na nic się nam to już nie przyda. Zgaś światło, jutro trzeba wstać.

Alicja posłusznie zgasiła światło i wsłuchiwała się w oddech Gromozeki. Trudno się było zorientować, czy już zasnął, czy też nie. Przecież śpi tak czujnie. Poza tym ma trzy serca i oddycha bardzo nierówno.

Alicja postanowiła liczyć do tysiąca. Gdy doszła do pięciuset, poczuła, że zasypia. Do tego nie mogła dopuścić. Uszczypnęła się w rękę, ale całkiem słabo, i nagle wydało jej się, że jedzie koleidzkim pociągiem, w małym wagoniku, a koła stukają miarowo i powoli: tuk-tuk-tuk...

„Alicjo” – rzekł do niej cicho konduktor.

Pewnie chciał sprawdzić bilet. Ale ona biletu nie ma, zapomniała wziąć pieniądze. Chciała powiedzieć o tym konduktorowi, lecz usta odmówiły jej posłuszeństwa.

„Alicjo” ... tuk-tuk-tuk...

Konduktor wziął ją za rękę, by wyprowadzić z wagonu, próbowała mu się wyrwać.

Nagle uprzytomniła sobie, że wokół panuje głęboka ciemność. Że jest w namiocie, a nie w pociągu, i wszystko przespała. Zerwała się. Łóżko skrzypnęło. Gromozeka poruszył się we śnie i zapytał:

– Kto się tłucze po nocy?

Alicja zamarła. Obok usłyszała przyspieszony oddech.

– Kto tu? – wyszeptała.

Płachta namiotu była lekko uchylona.

– To ja – odparł Rrrr.

Alicja chwyciła kombinezon i wypełzła na dwór. Świecił jasny księżyc, było zimno, w obozie nie paliło się ani jedno światełko. Rrrr wyglądał jak czarny kłębuszek.

– Czekam na ciebie – szepnął – a ty wciąż nie przychodzisz. Zwykłem dotrzymywać słowa. Powiedziałem, że nie będę spać, więc nie śpię.

– Wybacz, Rrrr – tłumaczyła się Alicja. – Liczyłam do tysiąca, czekając, aż Gromozeka zaśnie, i mimo woli sama usnęłam.

– Czemu prosiłaś, bym się nie kładł?

– Nie domyślasz się?

– Domyślam się – odparł Rrrr – ale chcę to usłyszeć z twoich ust.

– Jutro rano Richard poleci w przeszłość. Przyjrzy się tylko statkowi, ale nie podejmie żadnych kroków. Pietrow mu zabronił. Przecież wehikuł jest całkowicie przygotowany. A gdybyśmy go tak uruchomili i pojechałabym zamiast Richarda? Gromozeka mi wszystko wyjaśnił.

– Potrafisz go uruchomić?

– Tak, zaobserwowałam, jak to robili.

– A co masz zamiar uczynić w przeszłości?

– Pojadę na kosmodrom, dostanę się na statek i zniszczę wirusy.

– W jaki sposób?

– Gromozeka wszystko przygotował. Wiem, jak należy postąpić.

Mały archeolog zamyślił się.

– To chyba nasza jedyna szansa – powiedział. – Jeśli nie zrobimy tego teraz, to druga okazja

nigdy się już nie nadarzy. Ale to przecież okropne pogwałcenie dyscypliny!

– Ciszej, obudzisz wszystkich. Pomyśl tylko, co znaczy jedno pogwałcenie dyscypliny w obliczu uratowania całej planety? To ryzyko jest moim obowiązkiem.

– Przemawiasz jak Joanna d'Arc – powiedział Rrrr. – Słyszałaś o niej?

– No jasne. Uratowała Francję.

– Słusznie. Ja też o tym czytałem. Tylko ona miała siedemnaście lat, a ty tylko dziesięć.

– Ale ona żyła chyba z tysiąc lat temu, a ja w dwudziestym pierwszym wieku.

– Wiesz co? – odezwał się czarny kłębuszek zwinięty u stóp Alicji. – Masz rację. Czasem należy złamać dyscyplinę.

– Świetnie! – ucieszyła się Alicja. – Rano, gdy się wszyscy obudzą, powiedz im prawdę. Wróć, jak tylko wszystko załatwię. I niech mnie nie szukają.

– Na pewno polecą za tobą.

– Nie, nie orientujesz się w tym, Rrrr. Nie mogą tego zrobić, ponieważ wehikuł przepuszcza tylko jednego człowieka. I zapamiętuje go po to, by przyjąć z powrotem w odpowiednim czasie. Gdyby w podróż wyruszył drugi człowiek przed powrotem pierwszego, to ten pierwszy musiałby już na zawsze pozostać tam, w przeszłości. I Pietrow wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Będą więc zmuszeni czekać na mnie.

– To zbyt niebezpieczne.

– Ależ nie.

– Owszem, tak. Dlatego polecę z tobą.

– Ty – ze mną?

– Tak.

– Ale przecież jesteś do nich niepodobny, absolutnie niepodobny. Wzbudzisz tylko podejrzenia.

– Przypominam z wyglądu ich kocięta. Będiesz więc podróżować z kotkiem. Język znam lepiej od ciebie. Przystudiowałem o nich wszystko i będę ci mógł w razie potrzeby podpowiadać. I w ogóle będę cię pilnował.

– Och, nie mam ochoty być pilnowana! – powiedziała Alicja.

Ale w głębi duszy była ogromnie rada, że mały Rrrr z nią pojedzie. Mimo wszystko strach wybierać się samej w daleką przeszłość nieznanego kraju.

– Wezmę cię na rękę i będę trzymać jak kotka.

– Lepiej włóż mnie do torby – zaproponował Rrrr.

– Dobrze, wezmę torbę. Przecież i tak muszę zabrać pojemnik z surowicą. Bez niej nic nie zrobimy.

– No to się zbieraj, a ja pobiegnę do siebie.

– Po co?

– Wezmę pieniądze, mam przecież w pracowni ich pieniądze. Musisz kupić bilet. Poza tym zrobię sobie ogon i rozbiore się – koty nie noszą kombinezonów. Nie mam wprawdzie ochoty chodzić na golasa po obcej planecie, ale co robić!

– Nie przejmuj się, wcale nie rzuca się to w oczy – pocieszyła go Alicja. – Przecież cały jesteś pokryty puszystą sierścią.

– Dziękuję – pisał Rrrr. – Mamy odmienne poglądy na te same sprawy.

I pobiegł do swego namiotu, tylko piasek skrzypiał mu pod nogami.

Alicja włożyła kombinezon, następnie zakradła się do namiotu i zdjęła z gwoździa butlę z surowicą. Gromozeka spał. Oddychał głośno, macki zwisały mu z szerokiego łóżka na podłogę.

Dziewczynka odszukała swoją torbę, włożyła do niej sweter i butlę.

Zastanawiała się przez chwilę i doszła do wniosku, że nie powinna lecieć w przeszłość w kombinezonie. Znalazła w walizeczce sukienkę, której jeszcze nie nosiła, i przebrała się. Gromozeka wciąż spał. Ale kiedy miała już zamiar wyjść, obejrzała się i odniosła wrażenie, że jedno oko Gromozeki jest otwarte.

– Nie śpisz? – spytała szeptem.

– Śpię – odszepnął – Nie zapomniałaś swetra?

– Nie – zdumiała się Alicja.

Postała jeszcze przez moment, ale Gromozeka spał mocno. Może jej się tylko wydało, że z nią rozmawiał?

Wyszła z namiotu.

– Wszystko w porządku – rozległ się szept.

Alicja schyliła się i w świetle księżyca zobaczyła u swych nóg puszystego kotka z krótkim ogonkiem.

– Z czego zrobiłeś ogon? – spytała cichutko archeologa.

– Mój sąsiad z namiotu ma pelisę na futrze. Zawsze sobie ze mnie żartował, że ma ciepłe palto uszyte z moich współbraci – taki niezbyt fortunny żart. Przydało się teraz. Jak ci się podobam?

– Wyglądasz jak najprawdziwszy kotek – powiedziała Alicja. – Szkoda tylko, że masz jedno oko.

– Na to nie ma rady – westchnął Rrrr. – Będę musiał jak najrzadziej wychylać się z torby.

Gromozeka śpi?

– Śpi – odparła Alicja. – Bardzo dziwnie śpi. Przez sen kazał mi wziąć ze sobą sweter.

– Uhum – powiedział Rrrr, jak gdyby nie uwierzył, że Gromozeka rzeczywiście spał.

I poszli w kierunku ciemnego budynku stacji czasu.

Alicja nacisnęła zielony guzik. Drzwi do kabiny zamknęły się. Przewiesiła wygodniej torbę przez ramię i przytuliła malutkiego archeologa do piersi. Rrrr zmrużył oko.

– Nie denerwuj się – powiedziała. – Wszystko będzie w porządku.

Wcisnęła biały przycisk.

A potem czerwony.

I wtem spowiała ją mgła, w głowie się zakręciło, pracownia zniknęła.

Alicja nie wiedziała, czy leci, czy też stoi w miejscu – nie było ni ścian, ni sufitu, ni podłogi, tylko jakiś niepojęty ruch – wirujący i niosący naprzód.

I nagle wstrząs, i znowu mgła.

Po chwili mgła się rozproszyła.

Był ranek. Alicja stała w tym samym miejscu, gdzie dopiero co znajdowała się stacja, tyle że ani po stacji, ani po miasteczku namiotowym nawet śladu nie pozostało.

Wokół rozpościerała się zielona łąka, dalej zaczynał się las, spoza którego wyłaniały się dachy budynków. Dachy były akurat w tym miejscu, gdzie archeolodzy odkopali miasto. Wszystko to było nad wyraz zdumiewające, gdyż dosłownie przed chwilą to samo miasteczko świeciło pustkami, domy nie miały dachów ani okien, nie było wcale drzew ani trawy. Tylko niebo takie samo. I wzgórze.

– O mało mnie nie zadusiłaś – usłyszała słabiutki głosik i aż wzdrygnęła się z zaskoczenia.

Dopiero wtedy uświadomiła sobie, że z całej siły przyciska do piersi małego archeologa.

– Nie mam czym oddychać – mruknął Rrrr. – Wypuść mnie na razie na wolność. Będzie ci ciężko nieść mnie przez cały czas w torbie.

Alicja otworzyła ramiona – zapomniała z kretesem, że archeolog nie jest kotkiem. Rrrr pacnął na ziemię i jęknął boleśnie.

– Och, przepraszam cię! – zawołała Alicja. – Całkiem straciłam głowę.

Rrrr roztarł bolącą nogę i prychnął gniewnie:

– Nie ma czasu, żeby tracić głowę. Idziemy do miasta. Ucieknie nam pociąg. A wtedy cała podróż pójdzie na marne.

– A jeśli wehikuł się pomylił? Jeśli statek przylatuje wcale nie dzisiaj?

– Maszyny się nie mylą – powiedział archeolog i pobiegł po trawie w stronę miasta.

Alicja szła z tyłu. Zerwała rumianek i powąchała go. Kwiatek był całkiem bezwonny. Nad Alicją zaczęła krążyć pszczoła.

– Uciekaj – opędziła się od niej Alicja i nagle przyszło jej na myśl, że jeśli nic nie zdoła załatwić, to za tydzień nie będzie tu żywego ducha – ani pszczół, ani ludzi, ani nawet drzew.

Archeolog wybiegł pierwszy na wążutką ścieżynę.

– Nie zatrzymuj się – warknął znów i machnął ogonem.

– Wiesz co? – powiedziała Alicja. – Lepiej jak najmniej machaj ogonem – niezbyt ci to naturalnie wychodzi.

– Przyszyłem go mocno – odparł Rrrr, ale ogonem już więcej nie machał.

Zbliżyli się do lasu. Drzewa ciągnęły się równymi rzędami, jak gdyby były specjalnie posadzone.

– Zaczekaj tu – powiedział cicho archeolog. – Rzucę okiem, czy nie ma tam nikogo.

Alicja przystanąła i zaczęła z nudów zrywać rumianki, by upleść z nich wianek. Miała jedną pasję – strasznie lubiła pleść wianki z rumianków albo innych kwiatków, na przykład z koniczyny. Ale koniczyna na Koleidzie nie rośnie.

– Aj! – usłyszała piskliwy okrzyk. A następnie warczenie. Rzuciła kwiatki i puściła się pędem w stronę drzew. Coś przydarzyło się archeologowi.

Zdażyła w samą porę. Rrrr pędził ku niej co sił w nogach, a za nim, trzymając w zębach jego puszysty ogon, biegł duży pies.

– Odejdź! Natychmiast odejdź! – krzyknęła Alicja.

Pies zatrzymał się szczerząc zęby.

Alicja pochwyciła archeologa na ręce, on zaś wyszeptał:

– Dziękuję!

– Oddaj ogon – powiedziała Alicja do psa, który stał nie opodal, nie wypuszczając z pyska puszystego ogonka. – To nie twój ogon. Oddaj natychmiast!

Alicja zrobiła krok w stronę psa, on zaś cofnął się, jak gdyby zapraszając do zabawy. Był kudłaty, duży, biały w rude łaty. Zza krzaków wyszedł mały człowieczek, niewiele wyższy od Alicji.

– Co tu się dzieje? – spytał, a dziewczynka zrozumiała pytanie, bo przecież od wczoraj знаła miejscowy język.

– Pański pies rzucił się na mojego kotka – odparła.

– Ach ty, psotniku! – powiedział mężczyzna.

Był ubrany w szare portki i szarą koszulę, w ręku trzymał długi bat. Pewnie był pastuchem.

– I niech odda ogon. Urwał ogon mojemu kotkowi – zażądała Alicja.

– Po co twojemu kotkowi ogon? – zdziwił się pastuch. – Nie przyrośnie przecież.

– Niech go odda – powtórzyła Alicja.

– Azor, zostaw – powiedział pastuch.

Pies rzucił ogon na ziemię. Alicja schyliła się po niego, nie wypuszczając archeologa z rąk.

– Dziękuję – powiedziała. – Kiedy odchodzi pociąg?

– Który pociąg?

– Do stolicy.

– Za godzinę – odparł pastuch. – A ty kim jesteś? Dlaczego cię nie znam? Przecież znam wszystkich w naszym mieście

– Przyjechałam na wycieczkę – wyjaśniła Alicja. – I wracam do domu. Mieszkam w stolicy.

– I wymowę masz jakąś dziwną – dodał pastuch. – Niby wszystkie słowa rozumiem, ale gadasz jakoś nie po naszymu.

– Mieszkam daleko stąd.

Pastuch z powątpiewaniem pokręcił głową.

– I ubrana też jesteś nie po naszymu.

Archeolog drgnął i mocniej przytulił się do Alicji.

– Jak to – nie po naszymu?

– Wyglądasz na dziecko, a wzrostu jesteś prawie takiego, jak ja.

– To się tylko tak wydaje – odparła Alicja. – Mam już szesnaście lat.

– No, no! – mruknął pastuch.

Wreszcie odwrócił się do psa, zawołał go i ciągle kręcąc głową poszedł w kierunku krzaków. Raptem, gdy Alicja była już pewna, że niebezpieczeństwo minęło, przystanął i spytał:

– A co z twoim kotkiem? Skoro ma oberwany ogon, to powinien krwawić.

– Nic, nic, proszę się nie martwić – odpowiedziała Alicja.

– Pokaż mi go.

– Do widzenia! – krzyknęła. – Boję się spóźnić na pociąg.

I szybko ruszyła ścieżką prowadzącą do miasta, nie oglądając się, choć pastuch zawołał ją jeszcze kilka razy. Najchętniej by pobiegła, lecz obawiała się, że wówczas pies rzuci się za nią w pogoń.

– No, co on robi? – wyszeptał archeolog.

– Nie mam pojęcia. Boję się obejrzeć.

Ścieżka rozszerzyła się, przeszła w piaszczystą drogę. Alicja ujrzała tuż obok szopę czy jakiś magazyn i przywarła do ściany, kryjąc się przed wzrokiem pastucha. Wciąż miała wrażenie, że zacznie ją gonić.

Minąwszy szopę zatrzymała się na chwilę, żeby złapać oddech.

– Nie przemyśleliśmy dobrze naszej wersji – oświadczył surowo archeolog. – Okazuje się, że kulejemy z wymową. I z tą wycieczką to nieprzekonujące. Po co ktoś miałby wybierać się na wycieczkę sam, tak wcześnie rano? Zapamiętaj: byłaś u babci, a teraz wracasz do domu... A propos, na śmierć zapomniałem – tutejsze młode dziewczyny mają zupełnie inne fryzury. Noszą włosy zaczesane na czoło.

– Przecież ja mam krótkie włosy.

– Nie szkodzi, zaczesz je na czoło.

– Wobec tego muszę postawić cię na ziemi.

– Broń Boże! Tu są drapieżne psy.

– Nie ma tu żadnego psa. Chcesz, to cię włożę do torby?

– Do torby? Świetnie. Tylko weź mój nożyk i wytnij w torbie otwór. Muszę przecież coś widzieć.

Alicja włożyła archeologa do torby, gdzie znajdowała się już butla z surowicą, wcisnęła tam również oberwany ogon. Wycięła nożykiem otwór, żeby archeolog mógł obserwować, co się dzieje dokoła.

– Szkoda, że nie masz nitki – powiedział Rrrr. – Jak mam teraz przyczepić ogon?

– A twierdziłeś, że tak świetnie się trzyma!

– Nigdy cię jeszcze pies za ogon nie łapał – zauważył archeolog. – Łatwo ci żartować.

– Wcale nie żartuję. Poszukaj w torbie, może znajdziesz w bocznej kieszonce igłę z nitką. Babcia zawsze mi tam wkłada różne zbędne drobiazgi.

Alicja zasunęła torbę na zamek błyskawiczny. Potem szesała włosy na czoło i powędrowała na stację.

Na szczęście miasteczko jeszcze spało. Okna były pozamykane, zasłony spuszczone, nikomu nawet nie powstała w głowie myśl, że za tydzień, po równie pustych jak w tej chwili ulicach będą jeździć wyłącznie karetki pogotowia ratunkowego.

– Żal mi was – oświadczyła Alicja ludziom śpiącym w domach. – Ale możecie na mnie liczyć.

– Może już nas zauważyli – poruszył się w torbie archeolog, jego głos brzmiał głucho, jak gdyby dobiegał z daleka.

– Cicho bądź – powiedziała Alicja – bo jeszcze cię ktoś usłyszy i umrze ze zdumienia na widok gadającej torby.

Kiosk z gazetami był już otwarty. Sprzedawcę znali – to jego fotografię pokazywał Pietrow, odniósł go przecież do szpitala. To znaczy odniesie, jeśli Alicja nie zdoła mu pomóc. Dziewczynka sięgnęła do kieszeni po drobne.

– Czy są już dzisiejsze gazety? – spytała.

Sprzedawca był starszawym mężczyzną w prostokątnych rogowych okularach.

– Chwileczkę, proszę pani – odparł. – Jeśli pani zaczeka, to zaraz je przyniosą.

– A jak długo musiałabym czekać?

– Niedługo. Słyszysz pani? Właśnie przyjechał pociąg ze stolicy. Przywiózł pocztę.

– A potem będzie wracał do stolicy?

– Tak, za dwadzieścia minut.

– Wobec tego poproszę wczorajszą gazetę – powiedziała Alicja.

Sprzedawca wręczył jej gazetę oraz wydał resztę.

– Przyjezdna? – spytał.

– Jestem zagraniczną turystką – wyjaśniła.

– Aha – kiwnął głową sprzedawca. – Od razu się domyśliłem, że pani nietutejsza.

Gdy Alicja odeszła już od kiosku i znalazła się na niedużym placu, przed pomnikiem nieznanego mężczyzny na koniu, który będzie tu stał również po stu jeden latach, powiedziała do archeologa:

– Powinna być uszyć sobie wcześniej taką sukienkę, jakie się tu nosi.

– Ale kto mógł to przewidzieć? – spytał archeolog.

– Oczywiście Gromozeka.

Za placem był nieduży skwer. Po obu stronach alejki ciągnęły się rabaty pełne kwiatów wznoszących głowy ku słońcu. Przed dworcem zatrzymał się autobus, wysiedli z niego mali ludzie w ubraniach roboczych i weszli do środka. Nad niewysokim budynkiem dworca wznosił się słup dymu, słychać było sapanie parowozu.

– Przejrzałaś gazetę? – spytał Rrrr.

– Nie mogę tego zrobić w biegu.

– To daj mnie.

Alicja zwinęła gazetę w rulon i włożyła do torby. Gazeta natychmiast wysunęła się z powrotem.

– Czy nie rozumiesz – syknął archeolog – że nie da się czytać w torbie? Jest za ciemno i okropnie ciasno.

– To po co prosisz?

– Znajdź ławkę – polecił archeolog. – Usiądź i przeczytaj.

– Najpierw kupię bilet na pociąg – powiedziała Alicja – bo jeszcze się spóźnimy i wtedy możemy sobie czytać, ile wlezie. Czemu tak straciłeś humor?

– Strasznie mnie huśta – odparł Rrrr. – Nigdy cię nie noszono w torbie?

– Nie.

– Mnie również. W dodatku chodzisz bardzo nierównym krokiem, jakoś dziwnie podskakujesz.

– Nie wiedziałam o tym!

Przekomarzając się tak z archeologiem. Alicja weszła do hali dworcowej i zobaczyła kasy. Wiedziała, gdzie ich szukać, ponieważ archeolodzy zrekonstruowali cały dworzec. Okazało się wprawdzie, że nie wszystko odtworzyli prawidłowo, ale teraz nie miało to znaczenia.

– Jeden dziecinny – poprosiła Alicja kładąc pieniądze w okienku kasy.

Okrągła czerwona twarz wychyliła się z okienka. Kasjerka obrzuciła Alicję spojrzeniem od stóp do głów.

– Taka duża dziewczyna, a chce oszczędzić na bilecie. Proszę mi tu zaraz dopłacić osiem monet do pełnego biletu.

– Zawsze płacę dziecinny...

W tym momencie Alicja zacięła się, bowiem archeolog aż podskoczył w torbie.

– Ach tak, oczywiście – powiedziała i sięgnęła do kieszeni po pieniądze. Zostało ich już niewiele. Zaledwie dziesięć monet. – Kiedy odchodzi pociąg?

Kasjerka jednak nic nie odpowiedziała, tylko zatrzasnęła okienko.

– Jakie tu są nieuprzejme kasjerki – powiedziała Alicja. – U nas takich nie ma.

Wyszła na peron i stanęła za żelaznym słupem. Nie chciała rzucać się w oczy.

Pociąg stał na torze, parowóz wypuszczał parę, a nieliczni pasażerowie zajmowali miejsca.

Niektórzy byli jeszcze strasznie zaspani, dopiero wstali z łóżek.

Alicja wybrała wagon, w którym nikogo nie było, i szybkim krokiem poszła w jego stronę. Przy wagonie stał konduktor w wysokim pomarańczowym kapeluszu.

– Proszę o bilet.

Alicja podała mu bilet.

– Nie umie pani czytać? – zapytał. – Przecież stoi tu napisane jak wół – trzecia klasa. A to jest wagon pierwszej klasy.

– Co za różnica? – zdziwiła się Alicja.

Konduktor zmierzył ją wzrokiem od góry do dołu i odpowiedział:

– W cenie.

I gdy Alicja odchodziła spieszenie – żeby się już dłużej jej nie przyglądał – do wagonu skromniejszego, pomalowanego różnymi kolorami i zatłoczonego, usłyszała, jak powiedział do kogoś:

– Spójrz, co za cudo! Chyba cudzoziemka, nie?

Wtedy właśnie postanowiła udawać cudzoziemkę. Przystanęła obok wagonu, nie podeszła jednak do drzwi, lecz pochyliła się nad torbą i spytała szeptem:

– A gdybym tak udawała cudzoziemkę?

– Wobec tego udawaj cudzoziemkę z Północy, broń Boże nie z Południa.

– Dlaczego?

– Dlatego że z Północą zawarli sojusz, a z Południem wojna wisi na włosku.

– Wojny nie będzie – powiedziała z przekonaniem Alicja. – Nie zdążą.

– Przy twojej pomocy może i zdążą.

– Z kim pani rozmawia? – usłyszała raptem ostry głos.

Wyprostowała się. Obok niej stał gruby człowieczek w żółtym mundurze, z dużym złotym godłem na kapeluszu. Myśląc, że to policjant, w pierwszym odruchu chciała wziąć nogi za pas. I uciekać, gdzie pieprz rośnie.

– Stój – zawołał żółty mężczyzna i schwycił ją za rękaw. – Pytam, skąd przybyłaś i z kim rozmawiasz?

– Jestem z Północy – odparła. – Cudzoziemka. Cudzoziemka z Północy.

– Coś tu nie gra – pokręcił głową mężczyzna.

Ale parowóz już zagwizdał, Alicja wyrwała się i wskoczyła na stopień wagonu.

Człowieczek w żółtym mundurze zastanawiał się, co zrobić, tymczasem Alicja podała bilet konduktorowi i przepchnęła się do nabitego wagonu. Udało jej się znaleźć przedział, w których drzemali trzej mężczyźni w nędznych ubraniach i zmiętych kapeluszach. Czwarte miejsce było wolne.

– Kto to był? – spytała Alicja łapiąc powietrze i pochylając się nad samą torbą.

– Bagażowy – rozległ się w odpowiedzi szept.

Pociąg szarpnął i postukując o szyny ruszył w kierunku stolicy.

– Nie mógł mnie aresztować?

– Nie wiem – odparł archeolog. – Nikt cię nie słyszy?

– Nie, oni śpią.

– Przeczytaj więc w końcu gazetę. I postaw torbę na podłodze. Tak mniej huśta.

Alicja rozłożyła gazetę.

Gazeta miała wczorajszą datę. I przez całą pierwszą stronicę ciągnął się czerwony napis:
„Jutro Koleida wita bohaterów Kosmosu”.

– Wszystko w porządku – szepnęła Alicja. – Przybyliśmy w samą porę. Czasomistrzowie się nie pomylili.

Na szczęście sąsiedzi wysiedli po dwóch stacjach i Alicja została sama w przedziale. Wyjęła archeologa z torby i razem przeczytali informację o locie kosmonautów oraz o tym, jak ich będą witać. Zdołali nawet zorientować się w przybliżeniu, jak się przedostać przez stolicę. Co prawda stolicy archeolodzy na razie nie odkopali, ale Rrrr znalazł w bibliotece plan miasta i przerysował go. Słabo stali z pieniędzmi. Zostało im zaledwie na tramwaj lub autobus. Nie mieli nawet za co przegryźć czegoś.

– Trudno – uśmiechnął się smutno archeolog i mrugnął do Alicji jedynym okiem – przyjdzie ci, niczym w bajce, sprzedać swego przyjaciela.

– Nikt cię nie kupi bez ogona – odrzekła Alicja.

– Nie martw się. Znalazłem igłę i nici. Tylko tak machałaś torbą, że bałem się, by nie pokłuć sobie palców. Zaraz przyszyję sobie ogon. Mamy przed sobą półtorej godziny jazdy.

Alicja wyglądała przez okno. Za szybą rozciągał się zwyczajny kraj, co prawda mocno zacofany w porównaniu z Ziemią, ale Ziemia też niegdyś była zacofana – nie było na niej kolei jednoszynowych, szybkich pęcherzy powietrznych, antygravitatorów, latających domów i wszelkich innych najzwyczajniejszych rzeczy.

Archeolog mruczał coś pod nosem, przyszywając ogon. Alicja mogłaby mu pomóc – lepiej umiała się obchodzić z igłą i nitką niż Rrrr – nie zrobiła jednak tego, gdyż każdy powinien sam przyszywać swój ogon, prawda?

Zaczęła się przyglądać portretom kosmonautów w gazecie. Jeden z nich spodobał jej się najbardziej. Był młody, ciemnooki i uśmiechał się tak szeroko, jakby po prostu nie potrafił się nie uśmiechać. „Inżynier Tolo” – przeczytała jego imię. I zapamiętała je.

Trzasnęły drzwi i do przedziału weszła staruszka. Niziutkiego wzrostu, miała okrągłą rumianą twarzyczkę, ubrana była w długą granatową suknię. Alicja zobaczyła, jak oczy starej kobiety rozszerzają się nagle z przestachu. Patrzyła na dół, na ławkę.

– Ach! – wykrzyknęła.

Alicja poszła za jej wzrokiem i spostrzegła, jak zaskoczony zniecka archeolog, przytrzymując jedną ręką ogon, a w drugiej ściskając igłę, usiłuje wleźć do torby. Dziewczynka prędko otworzyła torbę szerzej, by mógł się w niej ukryć, i znów popatrzyła na staruszkę.

Staruszka cofała się na korytarz i już, już otwierała usta do krzyku.

– Proszę się nie denerwować, babciu – powiedziała szybko Alicja. – Proszę się nie denerwować. On się tak bawi.

– Oj! – westchnęła babcia. Trochę się jakby uspokoiła słysząc głos dziewczynki. – A mnie się wydało...

– Co?

– Nawet nie mów, córeńko – odparła staruszka. – Przywidziało mi się, że twój kotek ogon sobie przyszywa. Zawiodły mnie oczy.

Babcia szybko zapomniała o swym przerażeniu, usiadła przy oknie, rozwiązała woreczek i wyjęła z niego dwa pomidory. Jeden wzięła sobie, drugi zaś podała Alicji.

– Dokąd to, córeńko? – spytała.

– Do stolicy.

– Jasne, że do stolicy – zgodziła się staruszka. – A co tam będziesz robić?

– Jadę witać kosmonautów...

– Aha – powiedziała babcia. – Powiedz mi, kochaneczko – spytała nagle – czy twój kotek ma dwoje oczu, czy jedno?

– Dwoje – spokojnie odparła Alicja. – Tylko jedno stale mruży.

– No dobrze. – Staruszka jeszcze raz spojrzała z obawą na torbę. – Ja też jadę na kosmodrom.

– Witać kosmonautów?

– Ależ nie, nie wszystkich. Syn mój wraca. Jest inżynierem. – Staruszka wyjęła z torebki dużą fotografię kosmonauty, który tak się spodobał Alicji. – Popatrz, to on.

– A ja go znam – powiedziała Alicja. – Ma na imię Tolo.

– Któż go nie zna? – dumnie oświadczyła staruszka.

– A czemu pani jedzie zwykłym pociągiem? – spytała Alicja.

– Bo co?

– Przecież jest pani matką kosmonauty. U nas zawsze urządza się uroczystość również na cześć rodziców kosmonautów.

– A na co mi to – uśmiechnęła się staruszka. – Mieszkałam zawsze na wsi i tam zostałam. Mój Tolo też jest skromny. Nigdy byś się nie domyśliła, że jest kosmonautą. Czytałaś na pewno w gazecie o tym, że mieli awarię – meteoryt uszkodził bok statku. Wtedy mój Tolo wyszedł na zewnątrz i załatał dziurę.

Torba trąciła Alicję w bok, ale i ona sama już się domyśliła – w taki właśnie sposób kosmiczna dzuma przeniknęła na statek. To znaczy, że Tolo jest już chory.

– To nic – powiedziała na głos. – Wyleczymy go.

– Kogo wyleczymy? – spytała staruszka.

– Ja tylko tak sobie – ugryzła się w język Alicja.

– Mój Tolo jest zdrów jak rydz. Nigdy jeszcze na nic nie chorował. Nawet zęby go dotąd nie bolały. Takiego mam syna.

Pogłaskała fotografię i schowała ją do torebki.

Alicja znów poczuła kuksańca. Archeolog był wyraźnie podenerwowany. O co mu chodzi?

– Zabierz się z nią – rozległ się nagle szept.

– Co? – spytała staruszka. – Mówiłaś coś?

– Tak – odparła Alicja. – Ja tak do siebie. Mówiłam, że jest pani szczęśliwa.

– Oczywiście. Takiego syna wychowałam! Nawet zęby go nigdy nie bolały.

– Myślałam o czym innym – wyjaśniła dziewczynka. – Pewnie dopuszczą panią do samego statku.

– Jakże by inaczej? Przecież muszę syna uściskać.

– A ja będę stała okropnie daleko. Może nawet w ogóle nie dostanę się na kosmodrom. A tak mi się podoba pani Tolo. Słowo daję, najbardziej ze wszystkich kosmonautów.

– Mówisz prawdę, dziecko? – spytała poważnie staruszka.

– Słowo honoru.

– Wobec tego muszę spełnić dobry uczynek.

Zamyśliła się, Alicja zaś przycisnęła mocniej torbę do ławki. Archeolog tak się denerwował i niepokoił, że torba podrygiwała, jak gdyby siedział w niej nie jeden kotek, ale cała kompania.

– Niespokojny ten twój kotek – zauważyła staruszka. – Wypuść go.

– Nie mogę – odparła Alicja. – Uciekłby jeszcze.

– Posłuchaj, córeńko. Dzisiaj jest mój wielki, można powiedzieć, dzień. Mój syn wraca jako

bohater. Chciałabym spełnić dobry uczynek. Myślę, że Tolo mnie za to nie potępi. Pójdiesz ze mną. Podejdiesz do samego statku i powiesz, że jesteś moją córką, a Tolo – twoim bratem. Zrozumiałaś?

– Och, dziękuję. Strasznie pani dziękuję! – wykrzyknęła Alicja. – Nie wyobraża pani sobie, jaki to wspaniały uczynek! Nie tylko o mnie chodzi, ale i o panią, o wszystkich!

– Każdy dobry uczynek dotyczy zawsze nie jednego człowieka, lecz wszystkich.

Oczywiście nie mogła wiedzieć, co miała na myśli Alicja, a dziewczynkę ogarnęło takie nieodparte pragnienie, by zwierzyć się staruszce, że przygryzła sobie język niemal do krwi. Rrrr, jak gdyby odgadując myśli Alicji, wysunął przez dziurkę w torbie koniuszek noża i ukłął ją.

Było to tak niespodziewane, że Alicja aż podskoczyła.

– Tak się cieszysz? – spytała babcia. Sama była ogromnie rada widząc obok siebie kogoś szczęśliwego.

– Bardzo – odparła Alicja i uszczypnęła torbę.

Pociąg zaczął hamować. Za oknem pojawiły się wysokie nowe domy.

Tak to już bywa – jak szczęście zacznie sprzyjać, to sprzyja na całej linii. Babcia nie tylko obiecała Alicji zabrać ją na kosmodrom w charakterze swojej córki, ale w dodatku ugościła ją obiadem w kawiarni obok dworca i pokazała jej miasto, Alicja bowiem przyznała się, że jest przyjezdna. A potem zawiozła taksówką na kosmodrom. Jeszcze na długo przed kosmodromem samochód zwolnił i ledwie wydostał się z korka, po stu metrach znów musiał zahamować. Chyba cała stolica wyległa na kosmodrom. To nie żarty – powraca pierwszy statek kosmiczny. Ulice były przystrojone flagami oraz portretami kosmonautów i staruszka za każdym razem widząc portret swego syna szarpała Alicję za rękaw i pytała głośno:

– No, kto to jest?

– Nasz Tolo – odpowiadała Alicja.

– Słusznie, to nasz chłopak.

Staruszka sama zaczynała powoli wierzyć, że Alicja jest jej córką. W końcu, gdy ukazały się już budynki kosmodromu, samochód utknął na amen w gąszczu samochodów, rowerów i wszelkich innych środków transportu. Kierowca, odwróciwszy się do swoich pasażerek, powiedział ze smutkiem:

– Radzę iść dalej piechotą. Bo inaczej będziemy stać tu do wieczora. Beznadziejna sprawa.

Babcia i Alicja pożegnały się z kierowcą, zapłaciły mu i poszły dalej piechotą. Kierowca dogonił je po paru krokach.

– Zostawiłem samochód – oznajmił. – Nic mu się nie stanie. Komu dziś w głowie samochody. A nie darowałbym sobie, gdybym nie widział przylotu naszych kosmonautów.

Przed budynkiem kosmodromu stał pierwszy łańcuch policjantów w białych odświętnych mundurach. Kierowcy nie przepuścili, został pośród gęstego tłumu tych, którzy nie mieli biletów. Babcię zaś, razem z Alicją, przepuścili niemal bez słowa. Staruszka pokazała im dokumenty i wówczas jeden z policjantów zaproponował:

– Przejdę z wami aż do lądowiska. Żeby już nikt was nie zatrzymywał.

Babcia nachyliła się, szepnęła Alicji na ucho:

– Sam, bez nas, nie dostałby się na pole. Miał tutaj stać i nie przepuszczać ludzi. Ale chce popatrzeć, jak nasz Tolo wychodzi ze statku.

Po upływie pół godziny przepchnęły się do ostatniego już ogrodzenia. Za nim zaczynało się bezkresne betonowe pole, na którym miał wylądować statek.

Przez radio podawano bez przerwy informacje o tym, jak statek wytraca szybkość i zbliża się do Koleidy. Do jego przylotu pozostało już niewiele czasu.

Wokół stali generałowie i niezmiernie ważne osobistości – przywódcy partii, uczeni, pisarze i artyści. Wszyscy czekali i denerwowali się.

Nikomu jednak przez myśl nie przeszło, że w ogromnym tłumie wypełniającym kosmodrom najbardziej ze wszystkich denerwuje się dziewczynka imieniem Alicja, która przyleciała z przyszłości, z innego krańca Galaktyki. A denerwuje się tak strasznie, ponieważ w jej rękach spoczywa los całej planety.

Alicja poczuła, że drżą jej kolana. Dłonie zwilgotniały. Powolutku zaczęła przeciskać się do

przodu, do samego ogrodzenia.

– Dokąd to? – spytała staruszka. – Idę z tobą.

Alicja niepostrzeżenie otworzyła zamek błyskawiczny torby i namacała wewnątrz butlę. Wyjęła ją i przewiesiła przez ramię.

– Co tam masz? – spytała staruszka.

– Termos – odparła dziewczynka. – Na wszelki wypadek, gdyby mi się zachciało pić.

Babcia o nic więcej nie pytała – patrzyła w niebo, gdzie pojawił się świecący punkcik, który rósł w oczach.

Statek kosmiczny, wiozący na swym pokładzie dzumę, zbliżał się do Koleidy.

Zniżał lot wolniutko, jak gdyby sennie. Zawisł na moment tuż nad polem, błękitny płomień wystrzelił z jego dysz, topiąc beton. Wreszcie dotknął ziemi i nad polem zerwał się nagły, krótki huragan, zwiewając ludziom kapelusze i czapki.

Zagrzmiały orkiestry, kilku pracowników z obsługi kosmodromu zaczęło rozwijać gruby rulon białego dywanu, po którym kosmonauci mieli przejść ze statku ku witającym.

– Co robić? – spytała Alicja archeologa. Wiedziała, że nikt jej nie usłyszy – wszyscy czekali, aż otworzy się luk i ukażą się kosmonauci.

– Jak daleko jesteśmy od statku? – spytał Rrrr.

– Może trzysta-czterysta kroków. Nie dobiegnę. Złapią mnie.

– Och! – westchnął archeolog. – Tak blisko i nie dobiegniesz! Może mnie by się udało.

– Nie, ty nie dasz rady donieść pojemnika z surowicą.

I znów Alicji przyszła w sukurs babcia. Gdy zobaczyła, że członkowie rządu Koleidy, nie mogąc się już doczekać, ruszyli po obu stronach białego dywanu na spotkanie kosmonautów, odsunęła policjanta, mówiąc:

– Tam jest mój syn.

Powiedziała to z taką pewnością siebie, że policjant skłonił się tylko i przepuścił ją.

Alicja uczepiła się ręki staruszki i gdy policjant usiłował ją zatrzymać, babcia odwróciła się i zawołała:

– To jego siostra, nie ruszę się bez niej na krok.

– Proszę wobec tego zostawić torbę – zażądał policjant. – z torbą nie wolno.

Alicja nie chciała puścić torby, powstało zamieszanie, ponieważ babcia ciągnęła do przodu, policjant do tyłu, dziewczynka szamotała się pomiędzy nimi. W tym momencie usłyszała głos Rrrr mówiącego w kosmolingwie, języku, którego nikt tu nie rozumiał.

– Zostaw. Pamiętaj o najważniejszym.

Na szczęście policjant nie usłyszał. Drugą ręką usiłował powstrzymać napierający tłum. Alicja puściła torbę i pospieszyła naprzód.

Podeszły prawie do samego statku. Tu jednak wszyscy się zatrzymali. Babcia również.

Luk obracał się powoli.

„Ongiś na Ziemi tak samo witano Gagarina – pomyślała Alicja. – Jaka szkoda, że tak późno się urodziłam!... No, teraz!” – postanowiła w duchu.

I w chwili, gdy luk się otworzył, a pierwszy kosmonauta, kapitan statku, ukazał się w nim, Alicja prześlizgnęła się pomiędzy generałem a premierem Koleidy, wywinęła się z rąk dowódcy kompanii honorowej i puściła się pędem w stronę luku.

– Stój! – słyszała okrzyki z tyłu.

– Nie bójcie się – zawołała babcia – to moja córka.

Alicja w biegu zerwała z ramienia pojemnik z surowicą.

Kapitan statku roześmiał się na jej widok i pokazał ręką w bok.

Alicja zatrzymała się na sekundę. Zrozumiała, że luk znajduje się za wysoko – nie dostanie do niego. Strumień szczepionki nie doleci do środka.

– Wiozą trap! – krzyknął do niej kapitan, myśląc z pewnością, że Alicja pragnie powitać kosmonautów i że pozwolono jej to zrobić.

Automatyczny trap akurat podjechał do statku.

– Stać! – zawołała Alicja do kapitana, który już podniósł nogę, by stanąć na stopniu.

W biegu wskoczyła na trap, nie czekając, aż się zatrzyma.

Z tyłu słychać było tupot biegnących za nią policjantów.

Wbiegła jak strzała po trapie. Pojemnik trzymała w rękach.

Skierowała go prosto w twarz kapitana i przycisnęła guzik.

Silny strumień mętnej wonnej surowicy opryskał kapitana, który cofnął się zaskoczony.

Miliony ludzi na Koleidzie, którzy obserwowali ten moment, ci na kosmodromie i ci przed telewizorami, jęknęły z przerażenia. Wszyscy byli pewni, że to zamach na kosmonautów.

Alicja stała tuż przed lukiem i nie przestawała naciskać guzika. Mgła błyskawicznie spowiła cały statek i wypełniła jego pomieszczenia wewnętrzne.

Potem guzik sam pstryknął i wrócił na miejsce.

Pojemnik był pusty.

Zanim mgła zdążyła się rozwiać, kilka silnych rąk pochwyciło Alicję i ściągnęło w dół.

Cela, w której zamknięto Alicję, była niewielka i pusta. Nie było w niej nawet krzesła. Zza drzwi dolatywały jakieś głosy. Trudno było zresztą nazwać to pomieszczenie celą, wykorzystano po prostu jeden z magazynów kosmodromu, wynosząc z niego w pośpiechu wszystko, by zamknąć w nim przestępczynię, która dokonała zamachu stanu, porywając się na życie kosmonautów.

Alicja usiadła na podłodze. Była szczęśliwa, odczuwała tylko ogromne zmęczenie i martwiła się o los małego archeologa.

Zdawała sobie sprawę, jaka panika wybuchła na całej planecie. Przecież nikt niczego nie pojmuje. I wszyscy rozpytują się nawzajem, czy kosmonauci nie ucierpieli. A jakie straszliwe słuchy krążą po Koleidzie!

Minęło pięć minut, potem następnych pięć.

„Z pewnością – pomyślała Alicja – wszyscy teraz są zajęci kosmonautami, o mnie nie pamiętają”.

Przyszła jej do głowy inna myśl. Bardzo pięknie – udało jej się uratować Koleidę. Ale co dalej? Przecież już nigdy się stąd nie wydostanie. Już nigdy nie zobaczy hałaśliwego i pocziwego Gromozeki i nie wróci do domu, na Ziemię...

Zbierało jej się na płacz. No i rozplakała się. Może nawet nie z żalu nad sobą, lecz z ogromnego wyczerpania i napięcia nerwowego. Gdy już sobie trochę popłakała, zdecydowanie poprawił jej się humor, zrozumiała bowiem, że na pewno nie opuszczą jej w nieszczęściu. Jeśli zajdzie potrzeba, przywiozą z Ziemi choćby trzy wehikuły czasu. Przylecą tu po nią i Pietrow, i Richard, i może nawet sam Gromozeka. Wszystko wyjaśni mieszkańcom planety. Niewykluczone, że Koleidzianie wystawią jej tu pomnik...

I Alicja zdrzemnęła się, oparta o białą ścianę.

Nikt jej dotąd jeszcze nie przesłuchiwał, bowiem w pierwszej chwili na kosmodromie wybuchła straszliwa panika. A kiedy Alicję zabrano i mgła się rozproszyła, okazało się, że kosmonauci są zdrowi i cali. I skoro już przylecieli, to uroczystość trzeba było doprowadzić do końca. Na pewien czas zapomniano więc o dziewczynce.

Alicja nie miała pojęcia, jak długo spała. Może dziesięć minut, a może nawet trzy godziny. Wtem usłyszała swoje imię:

– Alicjo!

Natychmiast otworzyła oczy i rozejrzała się.

Cela była pusta. Za drzwiami wciąż słychać było kroki – strzeżono jej pilnie.

– Alicjo, słyszysz mnie?

– To ty, Rrrr?

– Ja. Podejź do rogu najbardziej oddalonego od drzwi i pomóż mi.

Alicja wstała cichutko i podeszła tam, gdzie jej kazał Rrrr. Zobaczyła, że w kącie jest krata. Na dole przyciskał do kraty swój puszysty pyszczek malutki archeolog.

– Nie smuć się – wyszeptał mrugając do niej porozumiewawczo liliowym okiem. – Wyciągniemy cię z opresji.

– Jak się tu dostałeś?

– Nie ma czasu na opowiadanie. W dużym skrócie – kiedy tak wrzeszczeli i gonili cię, rozsunąłem zamek błyskawiczny i wyskoczyłem z torby. Omal mnie nie stratowali. Potem wyszedłem, dokąd cię zaprowadzili – przecież na kotka nikt nie zwraca uwagi. Tym bardziej, że ogon udało mi się jednak przyszyć.

– No i co dalej?

– Dalej zlustrowałem cały budynek. I znalazłem kratę. Odemknąłem ją od dołu, ale nie mam siły jej podnieść. Szybciutko, pociągnij mocno.

Alicja chwyciła za kratę. Krata ledwie, ledwie ustępowała.

– Ciągnij! – błagał Rrrr. – Za moment po ciebie przyjdą.

Za drzwiami rozległy się czyjeś głosy. Ktoś zbliżał się do celi.

Alicja z całej siły szarpnęła kratę, która z głośnym brzękiem upadła na kamienną posadzkę.

– Skacz! – ponaglił Rrrr. – Nie bój się, tu nie jest wysoko.

I akurat gdy drzwi do celi zaczynały się otwierać, Alicja, zacisnąwszy powieki, skoczyła w czarna, dziurę, aż Rrrr ledwo zdążył dać susa w bok.

– Biegnij za mną – powiedział.

Alicja długo biegła ciemnymi korytarzami podziemnego labiryntu kosmodromu. Ponabijała sobie siniaki na rękach i kolanach, rozerwała rękaw sukienki, ale nie mogła się zatrzymać – Rrrr biegł przodem i popędzał ją:

– Odpoczniesz w domu. Słyszysz, gonią nas.

Zdążyli wybiec na tylne podwórze portu kosmicznego chwile przedtem, zanim cały budynek został otoczony przez wojsko. Uratowało ich to, że ludzi na kosmodromie było takie mnóstwo, iż żołnierze i policjanci usiłujący schwytać przestępczynię nie mogli dość szybko się poruszać.

Długi, pełen wrażeń dzień na Koleidzie miał się ku końcowi. Słońce zniżyło się nad wysokie drzewa parku rozciągającego się za portem kosmicznym.

– Oj, ledwie żyję! – jęknęła Alicja dobiegając do pierwszego drzewa i obejmując jego pień. – Zaraz upadnę.

Uparty archeolog wyrzął zza drzewa sprawdzając, czy nie zbliża się pogoń.

– Nie rozklejaj się, Alicjo – powiedział. – Trzymaj się w karbach. Mamy za sobą dopiero połowę przedsięwzięcia.

– Dlaczego połowę? Przecież zrobiliśmy wszystko i uratowaliśmy planetę.

– Nie wiem – odparł Rrrr. – Nie wiem, moja dziecino.

Mówił jak stary, mądry dziadek.

– Rozpyliłaś szczepionkę, owszem. Ale dopiero po powrocie dowiemy się, czy przyniosło to jakiś rezultat.

– Chcesz powiedzieć, że wrócimy, a tam wszystko po staremu?

– Nie wiem...

– Wobec tego lepiej nie wracać. Lepiej zostać tutaj.

– Jesteś zmęczona, Alicjo, i ponoszą cię nerwy.

Do miejsca, w którym się znajdowali, dolatywały głuchoe odgłosy bębnów. To grały gdzieś daleko orkiestry. Gęste, ciepłe powietrze drżało od łomotu bębnów. Nad dachem portu kosmicznego wleciała w powietrze girlanda ogromnych różnokolorowych balonów.

– Nie mogę sobie po prostu wyobrazić, że oni wszyscy zachorują – powiedziała Alicja.

– Może nie zachorują. A gdybyś nie rozpyliła szczepionki, wiedziałabyś z całą pewnością, że wszyscy są skazani. I byłoby jeszcze gorzej.

Alicja skinęła głową. Malutki archeolog miał absolutną rację.

– Odpoczęłaś trochę? – spytał. – Musimy się spieszyć. Zanim się ściemni, powinniśmy odejść jak najdalej od miasta.

– Dokąd teraz pójdziemy? – spytała Alicja, która nie miała ochoty nigdzie iść. Marzyła, by wyciągnąć się na trawie i zasnąć. I obudzić się już w domu. – Na dworzec?

– Wykluczone – odparł Rrrr. – Od razu nas tam rozpoznają. Przecież poza kosmonautami jesteś najpopularniejszą osobą w mieście. Kilka milionów Koleidzian widziało cię w telewizji. Pójdziemy piechotą.

Poszli więc przez las. Rrrr biegł przodem, kierując się słońcem tak, by dotrzeć do torów kolejowych, a potem, trzymając się ich przez cały czas, trafić do miasteczka, obok którego znajdował się obóz archeologów.

Alicja obtarła nogę, ale Rrrr nie pozwolił jej zdjąć butów. „Ciekawe – pomyślała Alicja – póki jechaliśmy w tę stronę, ja byłam najważniejsza, a teraz przypomniał sobie nagle, że jest starszy, i mną dyryguje”. Nie miała jednak ochoty na kłótnie z małym archeologiem. Nie chciało jej się też przekonywać go, że tak czy owak Pietrow z Richardem odnajdą ich i wybawią z opresji. Przecież Rrrr z całą pewnością wtedy powie, że mogą ich nie znaleźć.

Raptem las się skończył. Ciągnął się tylko wąskim pasem. Za nim rozpościerało się pustkowie,

w oddali zaś skupisko domów. Nie mogli jednak wynurzyć się spod osłony drzew – nad pustkowiem krążył mały żółty helikopter, a od domów powoli sunęli tyralierą w kierunku lasu policjanci.

– Obława – powiedział Rrrr. – Podejrzewają, że ukryliśmy się w lesie.

– Co robić? – spytała Alicja. – Włazimy na drzewo?

– Domyśla się. Biegniemy z powrotem.

Okazało się, że Rrrr zauważył w lesie jakieś konstrukcje. Właśnie tam poprowadził Alicję.

Na dużej wydeptanej polanie stały ogrodzone niskim płotkiem huśtawki, „fale”, „diabelskie młyny” i tym podobne atrakcje, takie jak na Ziemi oraz całkiem inne.

Zbiegowie zaszyli się pod skrzypiącą karuzelą i przyłgnęli do ziemi. Tuż nad głowami mieli drewnianą podłogę, a przez szczeliny między deskami Alicja widziała cieniutki pasek bardzo jasnego nieba.

Ukryli się w samą porę. Po zaledwie paru minutach do wesołego miasteczka dotarli policjanci. Słychać było ich nawoływania. Potem jeden z nich wdrapał się na karuzelę, deski uginały się pod jego ciężarem.

Alicję zakręciło w nosie – pod karuzelą było duszno i pełno kurzu. Policjant zatrzymał się tuż nad nią, zasłaniając podeszwami smużkę światła, i spytał kogoś głośno:

– Sprawdziłeś pod karuzelą?

– Nie – padła odpowiedź z oddali. – Sam sprawdź.

– Nie mam latarki.

– Zobaczysz i bez latarki. Wątpię, czy ktoś mógłby się tam schować.

Policjant zszedł na ziemię. Alicja szybko odpełzła w głąb i przyłgnęła do ściany.

Drewniane drzwiczki otworzyły się na oścież, ukazała się w nich czarna sylwetka policjanta.

Długo wpatrywał się w ciemność, potem spytał na wszelki wypadek:

– Jest tu kto?

– Idziesz wreszcie? – dobiegło dalekie wołanie.

– Idę, idę – odparł policjant i zatrzasnął drzwiczki. – Nie ma nikogo. Na pewno odleciała już dawno samolotem.

– Pewnie – zgodził się z nim drugi głos. – Takiego zamachu nie da się dokonać w pojedynkę.

– Zostaniemy tu, póki się nie ściemni – zdecydował Rrrr, gdy ucichły kroki policjantów. – Teraz złapaliby nas w mig.

Udało im się wydostać spod karuzeli dopiero późnym wieczorem. Mniej więcej w godzinę po odejściu policjantów park zaczął się napełniać ludźmi. Właściciel karuzeli długo wycierał ją ścierką, podmiatał, wreszcie włączył i przez trzy bite godziny, w rytm wesołej, ale okropnie dokuczliwej dla Alicji muzyki karuzela wirowała nad głową, skrzypiała, zdawało się, że lada moment podłoga się zapadnie i przygniecie zbiegów.

Wreszcie, gdy już Alicja odgniotła sobie oba boki i ledwie wytrzymała ze zmęczenia, a spać nie mogła, gdyż karuzela bez chwili przerwy była w ruchu, zabawa zaczęła dobiegać końca. Coraz rzadziej zapuszczano silnik, coraz rzadziej słychać było dokoła głosy. Przed północą wszystko ucichło.

Wyczołgali się na zewnątrz. Rrrr długo rozcierał silnymi łapkami nogi Alicji. Tak jej zdrętwiały, że zupełnie nie mogła iść. Potem było jeszcze gorzej – mięśnie się rozluźniły i miała uczucie, że w nogi wbijają się tysiące drobnych igiełek.

– No, dasz radę iść? – spytał Rrrr.

– Dam – odparła dziewczynka.

Teraz, gdy tyle już wycierpieli, rozumiała, że za wszelką cenę muszą dotrzeć do swoich.

I udało im się.

Znów przedarli się przez ciemny las, wyszli na pustkowie i omijając zapadliny i zwały śmieci, dowlekli się do nowej dzielnicy miasta. Szli wolno, póki nie zostawili za sobą ostatnich domów – Rrrr wybiegał naprzód, obserwował, czy nie ma tam nikogo, dopiero później i za nim Alicja.

Dochodziła już druga w nocy, gdy dotarli do torów kolejowych. Szyny lśniły w świetle księżyca.

Poszli ścieżką biegnącą wzdłuż, torów, byle dalej od stolicy. Alicja usiłowała wyobrazić sobie, jak matka kosmonauty Tola pomstuje na nią, opowiada swemu synowi, jak to Alicja podstępnie zdobyła jej zaufanie. Wydało jej się, że słyszy głos staruszki: „Nawet pomidorami ją częstowałam. Gdybym wiedziała, dałabym jej figę z makiem. I kotka miała jakiegoś podejrzanego”.

Dopiero nad ranem zdołali wdrapać się na platformę pociągu towarowego, który przyhamował przed rozjazdem.

I wraz z pierwszymi promieniami słońca, podrapani, zdrożeni, ledwie żywi, nieludzko wręcz szczęśliwi, wspięli się na pagórek. Jeszcze tylko jeden krok i wehikuł czasu zabierze ich z powrotem do obozu archeologów.

I nagle Alicja uzmysłowiła sobie, jak trudno jej zrobić ten ostatni krok.

– Boję się – powiedziała do archeologa.

– Ja też się boję – odparł. – Rozumiem.

– A może po powrocie zastaniemy wszystko po staremu? Może się nie udało?

– Oj, wypłuj to słowo! – powiedział Rrrr.

Znowu gdzieś zgubił swój ogon, tym razem bezpowrotnie.

Milczeli przez chwilę.

Potem Alicja schyliła się i wzięła archeologa na rękę. No i zrobiła ten ostatni krok.

Coś szcęknęło. Otuliła ją lekka mgła, wydało jej się, że dokąś płynie, spada... spada...

I oto stoi już w kabinie czasu.

Za szybą górowała postać Gromozeki. Obok niego – Pietrow. Richard pochylał się nad pulpitem sterowniczym.

Alicja stała w kabinie nie mając odwagi się poruszyć.

Drzwi były wciąż zamknięte.

Gromozeka uniósł mackę, pokazując, że zapomniała przycisnąć odpowiedni guzik.

– Ach tak, przycisk – szepnęła Alicja.

Wcisnęła zielony guzik. Drzwi się rozsunęły. Wypuściła z rąk archeologa, który klapnął na podłogę.

– Wszystko w porządku – oznajmił Gromozeka. – Można startować.

– Tak jest, startować – przemówił głośnik elektrodynamiczny.

Głucho ryknęły silniki, pulpity sterownicze zakołysały się i Alicja poczuła, jak wzrasta ciężenie – zaczęły pracować urządzenia grawitacyjne.

– No i co? – spytał wreszcie Rrrr.

Gromozeka wyciągnął swoje długie macki, podniósł Alicję i naraz zobaczyła, że po jego szerokiej zielonej twarzy spływają dymiące łzy.

– Córeńko moja – wymówił. – Kochana! Dziękuję!

– No i co? – spytała teraz Alicja.

– Wszystko w porządku – odparł Pietrow. – Wszystko w porządku. Chociaż to skandal.

– Zwycięzców się nie sądzi – powiedział Richard. – I pan, Michale Pietrowiczu, dobrze o tym wie.

– A ja – wtrącił Gromozeka, wciąż jeszcze nie wypuszczając z macek Alicji – zgadzam się teraz na każdą karę.

– A więc udało się?

– Wszystko się udało.

– A czemu jesteśmy w ruchu?

– Lecimy – odrzekł Gromozeka. – Odlatujemy.

– Dlaczego? – zdziwiła się Alicja. Było jej tak przytulnie w objęciach Gromozeki, całkiem nie czuła nóg.

– Ponieważ gdy tylko wyruszyliście z Rrrr w przeszłość, obudziłem cały obóz – Wyjaśnił Gromozeka.

– Żeby nas ścigać?

– Ależ skąd! Przecież wiedziałem, że nocą zechcesz sama polecieć w przeszłość. Wiesz, jakie było moje zdanie. Nie przeszkadzałem ci.

– Nie spałeś więc?

– Przecież przypomniałem ci o swetrze.

– A ja tak starałam się nie robić hałasu! – zmartwiła się Alicja.

– Uczyniłem wszystko, co w mojej mocy. Wyjaśniłem ci działanie pojemnika z surowicą, kazałem ci przejść pełną serię szczepień. I poprosiłem Rrrr, by udał się w przeszłość razem z tobą. Samej nie chciałem cię wysłać.

– Ach, więc to tak, kotku – zwróciła się Alicja do swego towarzysza. – To ty również wiedziałeś wcześniej, że tam polecę?

– Wiedziałem – odparł archeolog. – I oprócz, mnie nikt nie mógł z tobą polecieć. Jestem przecież najmniejszy. Ogon też sobie wcześniej przygotowałem. Nie przydałem ci się?

– Jeszcze jak. Wiesz, Gromozeko, on mnie uwolnił z koleidzkiego więzienia.

– Tak? No to wspaniale. Potem wszystko opowiesz. A my okropnie się tu denerwowaliśmy. Myśleliśmy, że jeśli cię schwytają, trzeba będzie wysłać w przeszłość ekipę ratowniczą.

– Dobrze, ale czemu jesteśmy na statku?

– Ponieważ natychmiast po waszym wyruszeniu w przeszłość poleciłem na wszelki wypadek zwinąć obóz i centrum czasu. Nie wiedzieliśmy przecież, co tu będzie za sto lat. A jeśli w miejscu, gdzie stoją nasze namioty, wyrośnie nowe miasto? Albo znajdzie się sztuczne morze?

– Ależ to była robótka! – powiedział Richard. – W ciągu sześciu godzin zwinęliśmy cały obóz, rozebraliśmy stację i załadowaliśmy kabinę czasu na ostatni statek. Potem zaczęło się czekanie.

– I doczekaliście się? – spytała Alicja. – Może sama zobaczą?

Gromozeka podniósł ją do iluminatora.

Statek wzniósł się już dość wysoko i Koleida zajmowała połowę nieba. Całą powierzchnię planety pokrywały świetliste plamy – to płonęły światła jej miast i fabryk.

– Wszystko się zdarzyło w drugiej połowie dnia – opowiadał Gromozeka. – Staliśmy przy iluminatorach i patrzyliśmy. Wiedzieliśmy przecież, o której przylatuje statek kosmiczny. Staliśmy tak, licząc minuty. Wątpiliśmy trochę, czy uda ci się przedostać do statku...

– I nagle – przerwał mu Richard – ujrzeliśmy, jak w jednej sekundzie pola zrobiły się zielone.

– A na miejscu starego miasteczka wyrosły wysokie domy – dodał Pietrow.

– Przeleciał nad nami ptak – powiedział Gromozeka.

– I zrozumieliśmy, że Alicja pokonała dżumę kosmiczną.

– Jak mogli was nie zauważyć? – zdziwił się Rrrr.

– Nasz statek znajdował się częściowo w ziemi, a z wierzchu przykryty był siatką maskującą.

Mieliśmy szczęście – trafiliśmy na nie zabudowane pole. Natomiast teraz, gdy już się wznieśliśmy, z pewnością nas zauważyli.

W tym momencie znów odezwał się głośnik:

– Mówi kapitan statku. Przed chwilą nawiązały z nami łączność zewnętrzne satelity Koleidy.

Pytają nas, kim jesteśmy, dokąd lecimy i czemu nie uprzedziliśmy o swym locie dyspozytora.

– Proszę im odpowiedzieć, że wzięliśmy kurs na ich dyżurnego satelitę – powiedział Gromozeka.

– Niech czekają. Wszystko im wyjaśnimy.

Gdy Gromozeka wraz z wykąpaną i przebraną Alicją szedł korytarzem dyżurnego satelity Koleidy, dziewczynka poprosiła go:

– Jak już im zaczniesz wszystko wyjaśniać, spytaj, proszę, czy wystawili mi pomnik?

– Co takiego? – zdziwił się Gromozeka.

– No, czy ja i Rrrr mamy tutaj pomnik – powtórzyła Alicja. – Przecież ich uratowaliśmy.

Gromozeka uśmiechnął się, nic jednak nie odpowiedział.

Dyżurny dyspozytor spotkał gości przy centralnym pulpicie. Był to niski mężczyzna, nieco wyższy od Alicji i bardzo podobny do inżyniera Tola. Na widok Gromozeki wzdrygnął się i cofnął o krok, natychmiast jednak opanował strach i spróbował się uśmiechnąć.

– Jesteśmy z planety Ziemia – powiedział Gromozeka witając się – oraz z innych planet Wspólnoty Galaktycznej, do której z pewnością w najbliższym czasie przystąpiacie. Proszę nam wybaczyć, że przebywaliśmy na waszej planecie bez pozwolenia – tak się zdarzyło.

– Absolutnie nie mogę zrozumieć – powiedział dyspozytor – jak udało się wam wylądować tuż obok dużego miasta, by nikt was nie zauważył.

– Nie tylko wylądowaliśmy, ale spędziliśmy na waszej planecie prawie pół roku – uśmiechnął się Gromozeka.

– Jak to?

– Jesteśmy archeologami. Udało nam się wyjaśnić, z jakiej przyczyny zginęła wasza planeta.

– Nasza planeta nigdy nie zginęła – powiedział dyspozytor. – Kpi pan sobie ze mnie?

– Ależ gdzieżbym śmiał! – obruszył się Gromozeka. – Proszę mi powiedzieć, czy nie zna pan tej dziewczynki? – wskazał na Alicję.

– Oczywiście że nie – wzruszył ramionami dyspozytor.

– Dziwne – powiedziała Alicja.

– Była już kiedyś na waszej planecie. Bardzo dawno.

– Kiedy?

– Sto lat temu.

– Mówi pan zagadkami – rzekł dyspozytor. – Jeśli to mają być żarty, to są one co najmniej dziwne.

– Sto lat temu – nie dał się zbić z tropu Gromozeka – powrócił wasz pierwszy statek kosmiczny, tak?

– Tak – odparł dyspozytor. – W ubiegłym roku obchodziliśmy uroczyste setną rocznicę tego wydarzenia.

– I nic nie zaszło w momencie lądowania statku na planecie?

– Nie – odparł dyspozytor. – Wszystko odbyło się normalnie. Od tamtej pory ustanowiliśmy ów dzień naszym świętem.

– Mimo wszystko będę obstawał przy tym, że właśnie owego dnia, w owej chwili, obecna tu dziewczynka imieniem Alicja była na kosmodromie i uratowała waszą planetę od niechybnej zguby.

– I zamknięto mnie nawet w więzieniu – wtrąciła Alicja.

Dyspozytor westchnął ciężko, jak gdyby miał już całkiem dosyć wysłuchiwanie bajdurzenia

obłąkanych gości.

– Nie wierzy – powiedział Gromozeka. – Nie wierzy nam, Alicjo. Niech mi pan powie, czy ma pan tu bibliotekę?

– Po co panu biblioteka?

– Może jest w niej podręcznik historii.

– No dobrze – skapitulował dyspozytor i wzruszył ramionami. – Chwileczkę.

Nacisnął guzik na pulpicie, ściana rozsunęła się odsłaniając półki z książkami. Dyspozytor wyjął jedną z nich.

– Jest tu opis przylotu pierwszych kosmonautów? – spytał Gromozeka.

– Zaraz, zaraz – odparł dyspozytor.

Przekartkował książkę.

– Proszę przeczytać – poprosił Gromozeka.

Czując już przedsmak satysfakcji przytupywał nawet mackami po gładkiej podłodze dyżurnego satelity.

– „I oto pojawił się statek” – przeczytał dyspozytor.

– Dalej, dalej – popędzał Gromozeka, zaglądając małemu człowieczkowi przez ramię. – Tutaj – wskazał pazurem odpowiedni wers.

– „Barwny akcent uroczystości stanowił ciekawy postępek pewnej dziewczynki – czytał dalej dyspozytor. – Podbiegła pierwsza do statku i spryskała kosmonautów perfumami. Imię jej pozostało nieznane”.

– To wszystko? – spytała Alicja.

– Wszystko.

– To byłam ja. Tyle że nie spryskałam ich żadnymi perfumami. To była szczepionka.

I tu Gromozeka wyczuł, że cierpliwość dyspozytora całkiem się już wyczerpała, powiedział więc:

– Żarty na bok. Czeka nas długa i poważna rozmowa. Zwracam się do pana oficjalnie: statek „Ziemia” prosi Koleidę o zezwolenie na lądowanie na wyznaczonym przez was kosmodromie. Nie będę więcej mówił zagadkami, lecz wyjaśnię wszystko dokładnie przedstawicielom waszego rządu.

– Proszę chwilę poczekać – powiedział z wyraźną ulgą dyspozytor. – Zaraz się dowiem, na którym kosmodromie są wolne lądowiska.

A gdy Alicja z Gromozeką wracali do swojego statku, archeolog poklepał ją pazurem po ramieniu, mówiąc:

– Nie martw się. Może ci jeszcze wystawią pomnik na tej planecie.

– Nie potrzebuję ich pomnika – powiedziała Alicja. – Najważniejsze, że są zdrowi i cali.

Umilkła, a po chwili dodała:

– Przykro mi tylko, że w historii napisano, iż spryskałam ich perfumami.

– W historii zostaje tylko to, co najważniejsze – pocieszył ją Gromozeka. – Szczegóły raczej nie zachowują się w ludzkiej pamięci.

WIĘŹNIOWIE ASTEROIDY

„Arbat” był niegdyś kutrem zwiadowczym.

Zwykle dwa takie kutry znajdują się na pokładzie statku Dalekiego Zwiadu. Są przeznaczone do lądowania na planetach oraz badania układów wewnątrzplanetarnych. A ponieważ często muszą sprostać trudnym sytuacjom, są wykonane precyzyjnie, szybkie, mocne, wytrzymałe i długowieczne.

Polina Mietielkina, pracownik naukowy Instytutu Czasu, koordynator Sekcji Obcych Planet, wystarała się o skreślony z inwentarza Kuter zwiadowczy, ponieważ często musiała latać na Marsa i na Plutona, gdzie znajdowały się bazy Instytutu. A ponieważ kutry zwiadowcze nie mają nazw, ochrzciła go imieniem „Arbat”. Nazwa ta wydaje się dziwna i niezwykła tylko na pierwszy rzut oka. Wyjaśnienie tego faktu jest bardzo proste: Polina urodziła się i wychowała w Moskwie, przy ulicy Arbat.

Kiedy wybierała się w lipcu na Plutona, zadzwonił do niej stary znajomy, dyrektor Moskiewskiego Ogrodu Zoologicznego, Sielezniew, i poprosił, by zabrała ze sobą jego córkę Alicję. Żona Sielezniewa, matka Alicji, która jest architektem, budowała na asteroidzie Pallada centrum kultury. Alicja miała właśnie wakacje i strasznie chciała zobaczyć się z mamą. Na statek pasażerski kursujący na Palladę trzeba było czekać jeszcze dwa tygodnie, a tu nadarzyła się taka okazja.

Polina z przyjemnością zgodziła się zabrać Alicję, tym bardziej że lecieć samej jest dosyć nudno.

Co prawda wyruszyli w podróż we trójkę. Razem z kutrem zwiadowczym Polina dostała od Dalekiego Zwiadu również starego robota imieniem Posejdon. Posejdon odpracował swoje w ekspedycjach, teraz pracowały tam nowe roboty, o wiele bardziej precyzyjne, bystre i wprawne. Ale do pomocy na pokładzie w zwykłych planetarnych rejsach Posejdon był jeszcze przydatny.

W ciągu długiego jak na robota życia Posejdon dorobił się charakteru, życiowego doświadczenia, różnych dziwactw i kaprysów, czyli po prostu uczłowieczył się. Latał z Poliną już trzeci rok, zaprzyjaźnili się i tolerowali wzajemnie własne słabości. Mimo wszystko jednak robot – to tylko robot.

Polina nie miała własnych dzieci, choć w ogóle dzieci bardzo lubiła. Tak więc z punktu widzenia Alicji troszczyła się o nią nawet bardziej, niż to było potrzebne.

Żyło im się jednak zgodnie i nawet żałowały, że podróż będzie niezbyt długa.

Owego dnia Alicja siedziała w fotelu pilota i obserwowała, jak na ekranie przedniego pola widzenia pojawiały się i gasły gwiazdy – „Arbat” wszedł w strefę asteroid, autopilot zmniejszył prędkość, ponieważ warunki nawigacyjne były trudne.

Przez ekran przeleciała na ukos iskra, statek zadrżał zmieniając kurs, by nie zderzyć się z meteorytem.

– Ostrożniej! – krzyknęła z kambuza Polina. – Rozleję zupę.

Słowa te odnosiły się do autopilota, który rzecz jasna ich nie usłyszał.

Usłyszał je natomiast Posejdon, który siedział w mesie i oparłszy metalowe nogi na niskim stoliku, czytał wideoksiążkę.

Mesa na kutrze zwiadowczym jest małą kabiną, w której mieści się tylko stół, trzy lub cztery fotele, a jeden kąt odgradzony jest od reszty półkolistą barierką, za którą znajduje się kuchenka i zmywarka – kambuz.

– Nie ma sensu winić autopilota – oświadczył Posejdon. – W strefie asteroid istnieje większe zagrożenie meteorytowe. Radzę ci, Polino, szybciej przygotuj jedzenie, bo możliwe są znacznie gwałtowniejsze fluktuacje kursu.

– Jesteś pesymistą, Posejdonie – odparła Polina. – Latałam tą trasą dwadzieścia razy i nie zauważyłam żadnych, używając twojej terminologii, gwałtownych fluktuacji.

– No pewnie – burknął Posejdon, nie znoszący, by mu się sprzeciwiano. – Podczas tamtych rejsów żywiłaś się konserwami, a teraz pół dnia spędzasz w kambuzie. Nie poznaję cię.

– Alicja nie powinna jeść konserw, to dla niej niezdrowe – powiedziała Polina.

Statek znowu zadrżał. W kredensie zadzwoniły filiżanki.

– Mimo wszystko na twoim miejscu nie byłbym taki lekkomyślny – nie dawał za wygraną Posejdon, który lubił, żeby ostatnie słowo należało do niego. – Pamiętasz, co się przydarzyło statkowi kontenerowemu „Dalia” w ubiegłym roku? Pamiętasz to okropne zderzenie, z powodu którego cały Jowisz i bazy na Uranie zostały bez truskawek?

– A co to było? – spytała Alicja.

– Turyści – oznajmił Posejdon. – Oni są przyczyną wszystkich kłopotów.

– Nie męcz mnie, Posejdonku – powiedziała Alicja. – Opowiadaj.

– „Dalia” zderzyła się z niezewidencjonowanym rojem meteorytów. Po zbadaniu okazało się, że są sztuczne.

– Kto je wykonał?

– Turyści. Mówiąc w uproszczeniu, była to zawartość pojemnika na odpadki, którą ktoś wyrzucił za burtę. Resztki jedzenia i obierzyny błyskawicznie przeobraziły się w zamrożone twarde ciała i leciały z taką samą prędkością, co statek, z którego je wyrzucono. „Dalia” zaś trzymała kurs prosto na nie. Podwój prędkość i wyobraź sobie konsekwencje. Co za szczęście, że „Dalia” była automatem bez pilota!

– Przecież wyrzucanie czegokolwiek w Kosmos jest kategorycznie wzbronione – powiedziała Alicja.

– No właśnie! Nie dość, że zostawiają na Ziemi nie wygaszone ogniska, że zabazgrali swoimi

durnymi autografami ruiny Miasta Męczenników na Marsie, to jeszcze zapaskudzili nawet strefę asteroid. Na miejscu ludzi wyjąłbym turystykę spod prawa.

– Przesadzasz, Posejdonie – uśmiechnęła się Polina nakrywając do stołu. – Przecież to są rzadkie wypadki.

– Jak się zderzymy z puszką po konserwach – odrzekł Posejdon – inaczej zaśpiewasz. Jeśli w ogóle będziesz w stanie.

Polina nie chciała się kłócić ze staruszką, toteż zawołała do Alicji:

– Obiad na stole!

– Posiedzisz za mnie, Posejdonku? – spytała Alicja.

Nie było to konieczne – i tak komputer statku szybciej od człowieka reagował na każde niebezpieczeństwo, ale zgodnie z obowiązującym zwyczajem ktoś z załogi siedział przy pulpicie sterowniczym na trudniejszych odcinkach trasy.

– Z przyjemnością – odparł Posejdon i nie wypuszczając książki z rąk, przeniósł się na fotel pilota.

– Książkę będziesz jednak musiał odłożyć – powiedziała Alicja.

Przez całe życie dorośli mówią jej: „Odłóż książkę”, „Przestań czytać przy jedzeniu”. Co za przyjemność, jeśli się znajdzie ktoś, do kogo można skierować te dorosłe słowa.

– To nie książka – odparł łagodnie Posejdon. – Informator o planetoidach. Uczę się go na pamięć.

– Po co? Przecież komputer wszystko o nich wie.

– We mnie też jest komputer – zaprotestował Posejdon. – Poza tym lubię się uczyć. Życie jest krótkie, a tak chciałoby się wiedzieć jak najwięcej. Wy, ludzie, jesteście w lepszej sytuacji. Możecie jeść obiad, pić herbatę, spać, boli was brzuch, ulegacie nastrojom, zakochujecie się lub kłócicie. Mnie tego wszystkiego brak. Jestem starą blaszaną puszką na ciekłych kryształach i jedyną moją rozrywkę stanowi zdobywanie nowych informacji. Powiedz na przykład, czy znasz średnice choćby największych planetoid?

– Jeśli będzie mi to potrzebne, zajrzę do informatora.

– Alicjo, zupa stygnie! – przerwała im Polina.

– A wyobraź sobie sytuację, w której nie będziesz miała czasu na zagłądanie do informatora. Na przykład średnica Pallady, na której oczekuje cię twoja mama, liczy 490 kilometrów. Natomiast Westy o sto kilometrów mniej...

– Dziękuję – powiedziała Alicja, która poczuła, jak bardzo jest głodna.

Usiadła przy stole w mesie.

– Pojutrze tam będziemy – oznajmiła Polina. – Stęskniłaś się za mamą?

– No pewnie – odparła Alicja. – Większość mam siedzi w domu i nie lata dalej niż na Antarktydę. A moja wymyśliła sobie zawód: kosmiczny architekt! Oszaleć można!

– A kim ty chcesz zostać? – spytała Polina. – Też masz zamiar studiować architekturę.

– Nie. Jestem biologiem z powołania. Będę kosmobiologiem tak jak tatuś.

– I będziesz siedzieć w domu? Nie wytkniesz nosa poza Antarktydę?

Alicja wyczuła ironię w głosie Poliny, postanowiła jednak nie obrażać się. Polina miała rację. Kosmobiolog lata częściej i dalej niż wszyscy inni.

– Ekspedycja to co innego – powiedziała z uporem. – Dwa, trzy miesiące i do domu.

Z kabiny pilota doleciał głośny rechot Posejdona. Robot najwyraźniej chciał zwrócić na siebie uwagę.

– Coś podobnego! – brzęczał. – To ci Eros. Cha-cha-cha-cha!

– Co się stało? – Polina wstała od stołu. – Jaki Eros?

– Eros ma kształt gruszki! – poinformował robot. – Gruszka długości trzydziestu dwóch kilometrów. Przy najlepszych chęciach nudno byłoby wymyślić coś podobnego.

– Przestraszyłeś mnie – powiedziała z ulgą Polina. – Nie można tak głośno się śmiać.

– Tak się śmieję, jaki mam wmontowany głośnik – oznajmił Posejdon.

– Zupa trochę za mało słońca – powiedziała Polina.

– Nie, bardzo smaczna – odparła Alicja. – A może zatrzymacie się na Palladzie? Potem polecilibyśmy razem. Nigdy nie byłam na Plutonie.

– Po pierwsze, oczekują, mnie tam – rzekła Polina. – A po drugie, nie zdążyłabyś wtedy na początek roku szkolnego.

– Szkoda, przyjemnie mi z wami latać.

– Mnie też z tobą weselej. I Posejdon przywiązał się do ciebie.

Posejdon, oczywiście, wszystko słyszał. Jak zwykle przekora kazała mu wtrącić swoje trzy grosze.

– Zdolność przywiązywania się nie jest mi właściwa – oświadczył kategorycznie. – Jestem starą blaszaną puszką...

Wtem jego słowa zagłuszyło wycie syreny.

Alarm!

Polina i Alicja zerwały się w mgnieniu oka i wpadły do kabiny pilota.

– Co się stało? – spytała Polina.

Ręka robota spoczywała na przycisku alarmowym. To on go włączył.

– Na naszym kursie nieznany statek – powiedział robot.

– No to co z tego? Przecież to normalne. Po co ogłosiłeś alarm? – spytała Alicja.

– To alarm ćwiczebny – odparł robot. – Sprawdzałem waszą gotowość.

– Skreślam cię z inwentarza w pierwszym napotkanym porcie – zdenerwowała się Polina.

Ponieważ jednak groziła w każdym rejsie, że to zrobi, Posejdon nie potraktował jej słów serio.

Skoro i tak już obiad został przerwany, Polina usiadła w fotelu drugiego pilota. W końcu spotkanie statku w Kosmosie stanowi rozrywkę po długich dniach samotności. Włączyła urządzenie powiększające. Na razie statek wydawał się świetlistym punktem, stopniowo jednak robił się coraz większy i można było dostrzec, że ma kształt dysku.

Komputer zaczął podawać na monitorze prędkość statku, jego wymiary, kierunek ruchu.

– Turysta – oświadczył Posejdon, gdy się okazało, że statek jest nieduży. – Serce mnie boli, czuję, że to turysta.

– Przecież nie masz serca, tylko nieczuły komputer – przypomniała mu Alicja.

– Komputer wyposażony w intuicję, a to coś znaczy – powiedział Posejdon.

Polina próbowała nawiązać łączność. Nie zdążyła nawet wywołać statku, gdy z eteru przypląnęły dziwne, rytmiczne dźwięki: trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki, trzy kreski...

– SOS! – wykrzyknął Posejdon. – Jakiś turysta zabłądził. Dobrze mu tak.

– Rzeczywiście, wezwanie na ratunek – zgodziła się Polina. – Posejdonie, zmieniamy kurs.

– To całkiem zbyteczne – burknął Posejdon, choć wcale tak naprawdę nie myślał. Natychmiast przekazał polecenie komputerowi, który zaczął obliczać nowe współrzędne.

Polina włączyła nadajnik.

– Statek „Arbat” na linii – zapowiedziała. – Co się stało? Odezwiście się.

Statek nie odpowiadał.

– Turyści wymarli – oznajmił Posejdon – natomiast automatyka działa. Czytałem o tym. „Latający Holender” w Kosmosie.

– Jak ci nie wstyd! – zdenerwowała się Alicja. – Ludzi spotkało nieszczęście, a ty żarty stroisz.

– Niestety, jestem pozbawiony poczucia humoru. Skąd miałyby się wziąć uczucia u starej blaszanej puszki – odparł Posejdon, który doskonale wiedział, że posiada uczucia, nie wyłączając poczucia humoru.

Polina wciąż wywoływała nieznany statek. „Arbat” zmienił kurs i zaczął się do niego zbliżać.

Niespodziewanie, gdy Polina już straciła nadzieję na nawiązanie łączności, z głośnika popłynął słaby, cienki głosik:

– Skończyło mi się paliwo. Nie mam co jeść... poddaję się. Możecie mnie wziąć abordażem.

– Zwariował z tego wszystkiego – powiedziała Alicja. – Padło mu na mózg.

– Wszyscy turyści... – zaczął Posejdon, ale Polina przerwała mu w pół zdania.

– Przygotować się do łączenia – poleciła.

– Biorę to na siebie – odparł Posejdon. – Niebezpiecznie tu. Asteroidy.

Miał rację. Te ciemne lub świecące punkty na ekranie były to zapewne asteroidy, przeważnie niewielkie jak brukowce, jednakże niebezpieczne.

Nieznany statek stopniowo stawał się na ekranach coraz większy.

Podczas zbliżania się i łączenia uszkodzony statek więcej się nie odezwał.

„Arbat” w sprawnych metalowych rękach Posejdon posłusznie dobił do swego współtowarzysza. Podczas gdy urządzenia chwytne „Arbatu” przyciągały obcy statek – luk do luku – Alicja wypatrzyła napis: „SzNK-24”.

– Co to znaczy SzNK? – spytała. – Przecież ty wiesz wszystko, Posejdonie.

– Coś niecoś wiem – przyznał robot. – Mogę podać bez pomocy informatora: Rejestr Układu Słonecznego, strona tysiąc dziewięćset osiemdziesiąta. SzNK – seria trzydziestu kutrów planetarnych-należących do Szkoły Nawigacji Kosmicznej na Marsie. W skrócie SzNK. Poza tym jeszcze drugie trzydzieści takich stateczków ma bazę na Księżycu, noszą jednak oznakowanie SzANK, co stanowi skrót nazwy – Szkoła Amatorskiej Nawigacji Kosmicznej. Nie są przeznaczone do wychodzenia w otwarty Kosmos, dysponują ograniczonym zapasem paliwa oraz mogą rozwijać małe prędkości. Nie mają nazw, rozróżnia się je według numerów porządkowych. A propos, twierdziłem zawsze, że numer jest znacznie lepszy od absurdalnej nazwy.

– Posejdonie, ile razy mam ci powtarzać, że Arbat to ulica...

– Na której się wychowałeś – dokończył za Polinę robot. – Mimo wszystko nie przekonasz mnie. Chcesz po prostu, żeby wszyscy cię wypytywali i widzieli przy tym, jaka jesteś ładna.

– Co ty wiesz o urodzie! – powiedziała Polina.

– Zwiedziłem najśłynniejsze muzea świata – odparł Posejdon.

Odczuli lekki wstrząs. Nastąpiło połączenie.

– No, kto idzie na „SzNK-24”? – spytał Posejdon. – Uważam, że najlepiej będzie, jeśli ja to zrobię. Jeżeli ten turysta rzeczywiście stracił rozum, to może strzelać, a mnie tam nie szkoda.

– Proszę włączyć system wideo – powiedziała do mikrofonu Polina. – Nic nie widzimy.

– Nie wiem, jak się go włącza – odparł słaby głosik.

– On naprawdę ma bzika – oświadczył z przekonaniem Posejdon. – Idę go ratować.

– Zostań tutaj – nakazała Polina. – Bywają sytuacje, kiedy twój rozum nie wystarczy. Nie obrażaj się, ale jestem pewna, że na pokładzie tego kutra znajduje się biedne stworzenie, które potrzebuje w pierwszym rzędzie serdeczności.

– Mówiłem ci tysiąc razy – zauważył Posejdon, udając, że nie słyszał słów Poliny – żebyś wzięła z bazy broń. I cóż z tego – znów wyruszyliśmy z pustymi rękami. Pamiętam jak dziś, nasz kapitan Mierzyczka wyszedł na polanę, która wyglądała całkiem niewinnie, pochylił się, by zerwać kwiatek, a z kwiatka...

W tym momencie Posejdon zorientował się, że Polina opuściła już kabinę pilota. Alicja za nią. Posejdon odwrócił się do przyrządów i zaczął obserwować na ekranie, jak przechodzą do drugiego statku. Lubił sobie pogderać, ale był przecież robotem i bezwzględnie podporządkowywał się kapitanowi. A Polina była jego kapitanem.

W sterówce kutra planetarnego Polina ujrzała małego chłopca.

Mógł mieć dziesięć, może dwanaście lat, był chudy i niewysoki. Miał czarne, lekko skośne oczy i ciemne włosy ostrzyżone na jeża.

Na widok Poliny chłopiec spróbował wstać z fotela. Nie udało mu się to jednak – widać było, że

jest wyczerpany i słaby.

– Poddaję się – powiedział. – Ścigaliście mnie od samego Marsa, tak? Zabłądziłem, potem skończyło się paliwo, a bałem się nawiązać łączność.

– Jesteś tu sam? – spytała Polina.

– Tak, zupełnie sam. Myślałem, że nie będę się bał, ale było naprawdę strasznie.

Chłopiec zdołał wreszcie wstać. Zacisnął z uporem wargi, oczy mu się zwęziły. Zachwiał się i z pewnością byłby upadł, gdyby Polina go nie podtrzymała i nie wzięła na ręce.

I tak, z chłopcem na rękach, wróciła na swój statek.

Na „Arbacie” była tylko jedna kajuta, a w niej dwie koje. Spały tam Polina z Alicją. Posejdon nie potrafił spać, jeśli więc nie miał dyżuru w kabinie pilota, ślęczał nocami nad zbiorami bibliotecznymi znajdującymi się na statku. Szczęściem dla niego biblioteka była zasobna, aczkolwiek zajmowała niewiele miejsca, ponieważ zawierała mikrofilmy.

Polina ułożyła chłopca na swojej koi, zdjęła mu buciki i przykryła go pledem.

Alicja tymczasem przyniosła szklankę soku.

– Niech to wypije – powiedziała. – Są tu wszystkie witaminy.

Polina przysunęła szklankę chłopcu do ust, wypił wszystko posłusznie małymi, łapczywymi łydkami. Tak go to wyczerpało, że przytulił głowę do poduszki i zamknął oczy.

– Kiedy jadłeś po raz ostatni? – spytała Polina.

– Prawie trzy dni temu – odparł chłopiec. – Spieszyłem się bardzo i zapomniałem wziąć ze sobą jedzenie.

– Przygotuję mu bulion – zaofiarowała się Alicja.

– Dobrze – zgodziła się Polina otwierając apteczkę.

Alicja wyszła z kajuty, natomiast w drzwiach pojawił się Posejdon.

– Jesteś turystą? – spytał surowo.

Chłopiec otworzył oczy i popatrzył z przestachem na masywnego robota.

– Nie – odparł. – Nie jestem turystą. Uczyłam się w szkole kosmonautycznej, a potem porwałem statek. Ale nie dla draki... Ja musiałem koniecznie, rozumiecie... nie miałem innego wyjścia...

Chłopiec znów zamknął oczy, zasnął.

Alicja zajrzała do kajuty, trzymając w ręku filiżankę gorącego bulionu, lecz Polina położyła palec na ustach i ruszyła do drzwi.

– Niech się prześpi – powiedziała.

Chłopiec obudził się dopiero po siedmiu godzinach.

„Arbat” przelatował właśnie obok podziurawionej kraterami i pobrużdżonej szczelinami planetoidy.

Alicja była pochłonięta podziwianiem tych zagadkowych martwych światków, niektóre z nich były już zbadane, innych jeszcze nie tknęła stopa ludzka. Wyobrażała sobie, że płyną po oceanie wśród raf i koralowych atoli, ona zaś, junga na maszcie, wciąż ma nadzieję, że na którymś z atoli pojawi się nagle smuzka dymu, a ludzka sylwetka zacznie podskakiwać na brzegu – jakiś Robinson, który wyszedł cało z katastrofy, lub też dzikus, który nie widział jeszcze dotąd w życiu żaglowca.

– Ależ ich tu chmara! – odezwała się. – Pomieszkałabym sobie na którejś.

– Do chwili obecnej odkryto i zarejestrowano – rozległ się w odpowiedzi skrzypiący głos Posejdona – sześć tysięcy osiemset trzydzieści dwie planetoidy, nie licząc drobnych odprysków, których nie ma sensu ewidencjonować, bo i tak zanikną. Warto jednak zaznaczyć, że masa Ziemi tysiąckrotnie przekracza ogólną masę asteroid... Tak więc teorie usiłujące wyjaśnić ich pochodzenie zagładą planety Faeton chyba nie mają racji bytu...

Posejdon wrócił przed chwilą z oględzin kutra planetarnego, toteż Polina przerwała mu, pytając:

– Znalazłeś tam coś interesującego?

– Oględziny statku nie przyniosły nic nowego – odparł Posejdon. – Jedyne dziecinne amatorskie zezwolenie na prowadzenie ćwiczebnego kutra, które wydano na nazwisko Yudza Komury, miejsce wydania Marspopol, miejsce stałego zamieszkania Osaka, Ziemia.

– Osaka to w Japonii – powiedziała Alicja. – Od razu pomyślałam, że jest Japończykiem.

– Nie należy wyciągać pochopnych wniosków – rzekł Posejdon. – Miasta o takich nazwach mogą istnieć również w innych krajach. Aha, na pulpicie sterowniczym znalazłem jeszcze tę fotografię.

Posejdon położył na stole fotografię starszego uśmiechniętego mężczyzny o czarnych oczach, który z twarzy bardzo przypominał znalezionego chłopczyka. Podpis pod fotografią wyglądał jak hieroglify.

– Kto to jest? – spytała Alicja.

– Cóż może być prostszego? – zdziwił się Posejdon. – Przecież tu jest napisane czarno na białym: profesor Takeo Komura.

– To po japońsku?

– Oczywiście. Trzeba przyznać, że poszczęściło się wam – nie każdy ma na statku robotalingwistę, utalentowanego i pracowitego poliglotę. Tak się dobrze składa, że potrafię czytać i pisać po japońsku, a nawet nie najgorzej konstruuje tanki.

– Co takiego? – zdziwiła się Alicja.

– Tanka – to gatunek poezji japońskiej, krótki wiersz, który w formie paradoksu odsłania dusze przyrody i poety.

– Jasne – powiedziała Alicja.

Polina wzięła fotografię.

– Niewątpliwie profesor Komura jest ojcem naszego znajdka.

– Brak dowodów – zaprotestował Posejdon. – Na naszym statku było kiedyś trzech Iwanowów, a żaden z nich nie miał powiązań rodzinnych z pozostałymi. Ten starszy mężczyzna może się okazać wujkiem, sąsiadem lub po prostu nosić takie samo nazwisko jak chłopiec. Wreszcie fotografia mogła zostać na pokładzie po którymś poprzednim pilocie...

– To jest mój ojciec – rozległ się głos.

Chłopiec stał w drzwiach.

– Nazywasz się Yudzo Komura? – spytała Polina.

– Tak. Moim ojcem jest profesor Takeo Komura. Czy długo spałem?

– Kilka godzin. Wypałeś się?

– Nie chciałem tak długo spać.

– Jesteś głodny? – spytała Alicja.

– Szczerze mówiąc – odparł chłopiec – bardzo mi się chce jeść. Ale nie macie obowiązku mnie karmić. Zasługuję na karę.

– Alicjo, podgrzej bulion i zrób grzanki – powiedziała Polina.

Robot postąpił krok naprzód i stanął przyglądając się chłopcu.

– Mam na imię Posejdon – poinformował go. – Uniwersalny pomocnik.

– Zrozumiałem, robocie-san – odrzekł chłopczyk. – Bardzo mi przyjemnie pana poznać.

– Uprowadziłeś statek przypadkiem czy celowo? – spytała Alicja.

– Celowo – przyznał chłopiec spuszczać głowę. – Nie miałem innego wyjścia.

Wyglądał tak nieszczęśliwie, że Polinie zrobiło się go żal.

– Yudzo bardzo się zmęczył, jest jeszcze osłabiony. Nie męczcie go pytaniami. Sam później wszystko nam opowie, prawda?

Chłopiec skinął głową.

Ale Posejdon nie zgodził się z Poliną.

– Czasami dosłownie zatyka mnie ze zdumienia – powiedział. – Ty, Polino, płaczesz humanitaryzm z lekkomyślnością.

– A to dlaczego, mój drogi? – spytała Polina.

Ten serdeczny zwrot nie udobruchał robota. Obstawał uparcie przy swoim.

– Ponieważ nie wiemy, kogo przygarnęliśmy na pokład. Niewykluczone, że to groźny przestępca, który uciekał z Marsa, gdyż poszukiwała go służba patrolowa.

Polina westchnęła. Nie cierpiała kłótni. Nieoczekiwanie chłopiec poparł robota.

– Ma pan rację, robocie-san – powiedział nie podnosząc głowy. – Zasłużyłem na najsurowszą karę. I z całą pewnością poszukuje mnie służba patrolowa. Z początku myślałem, że to właśnie wy nią jesteście.

– Ale dlaczego cię szukają? – spytała Alicja. – Dlatego, że uprowadziłeś statek?

– Oczywiście. Porwałem statek kosmiczny i omal nie doprowadziłem do jego zniszczenia.

Postąpiliście słusznie ścigając mnie i chwytając.

– Wcale cię nie schwytaliśmy – wyjaśniła Polina. – Usłyszeliśmy twój sygnał SOS i pospieszyliśmy ci na pomoc.

„Arbat” nagle szarpnął zmieniając kurs, widocznie znów spotkał na swej drodze jakąś małą asteroidę.

– O mało nie wpadliśmy na rafę! – oświadczyła Alicja.

– Siadaj – powiedziała Polina, wskazując Yudzowi fotel. – Muszę ci wyjaśnić, że w związku z moją pracą lecę na Plutona, Alicja zaś jest córką moich przyjaciół i udaje się do mamy na Palladę.

– Szczęściara! – wyrwało się chłopcu. – Wiesz, gdzie jest twoja matka.

– Spotkało cię nieszczęście – domyśliła się Polina. – Inaczej nigdy nie zdecydowałbyś się na taki szalony postępek.

– Cóż to za rozmowy z małoletnim przestępcą! – wtrącił się Posejdon. – Surowiej, Polino, ostrzej. Zupełnie brakuje metalu w twoim głosie.

Polina tylko machnęła ręką.

– Nie próbuj zamykać mi ust! – oburzył się Posejdon. Wyraźnie dążył do kłótni.

– Jeszcze słowo i każę ci wyjść – powiedziała Polina.

– Już milczę – odparł Posejdon. – Milczę pod groźbą niechybnej kary. Ale wewnętrznie się nie poddam.

– Nie przejmuj się nim – rzekła Alicja do małego Japończyka. – Jest stary i nerwowy, choć robotom nic takiego nie powinno się przytrafiać. Opowiedz nam lepiej, co cię spotkało.

– Mój ojciec – zaczął opowiadać Yudzo – jest geologiem, profesorem. Po śmierci mamy wywiózł mnie na Marsa i żyliśmy tam bardzo zgodnie. A cztery miesiące temu poleciał z ekspedycją na asteroidy. Sam jeden na statku „Sakura”. Przesyłał mi z drogi listy i kosmogramy. Ostatni kosmogram pochodził z Westy. Pisał w nim, że leci dalej, na małe asteroidy. A potem ślad po nim zaginął.

– Jak to? – zdziwiła się Alicja.

– Nikt o niczym nie wie. Szukali go. I z pewnością szukają nadal. Lecz asteroid jest bardzo wiele.

– Sann diabeł się tu nie połapie – stwierdził Posejdon.

– Bardzo tęskniłem za ojcem – głos Yudza zadrżał.

Przełknął łzy i odwrócił głowę.

Wszyscy milczeli rozumiejąc, że nie wolno chłopca pocieszać. Był bardzo dumny.

– Wydaje mi się – mówił dalej – że ojciec potrzebuje mojej pomocy. Może spotkało go coś złego. Wszyscy mi tłumaczyli, że bym był cierpliwy i czekał, aż odnajdą ojca. Ale tak naprawdę to sądzili że ojciec zginął, nie znaleziono nawet statku. Wreszcie postanowili że odwiożą mnie do cioci w Osace. Ale ja wiem, że ojciec żyje! Wiem to lepiej od nich wszystkich! Wiem!

– Uspokój się, Yudzo – powiedziała Polina obejmując chłopca. – Rozumiemy cię. Nie mogłeś odlecieć na Ziemię, odlecieć daleko od ojca.

– I porwałś kuter ćwiczebny! – wykrzyknęła Alicja. – Jesteś dzielny! Na twoim miejscu postąpiłabym tak samo.

– Całkiem głupio – wtrącił Posejdon. – Jeśli się uprowadza statek, to koniecznie trzeba wziąć ze sobą więcej paliwa i żywności.

– Nie miałem czasu. Zakradłem się nocą na kosmodrom. Znałem ten statek, ponieważ ćwiczyłem na nim w szkole kosmicznej dla dzieci. Nie mogłem jednak wziąć żadnych zapasów żywności. Dałem sobie słowo, że nie wrócę, póki nie odnajdę ojca. Nie zastanawiałem się, jak daleko będę musiał lecieć i jak długo będą trwały poszukiwania. Skończyła mi się żywność, a potem zapas paliwa. I nie mogłem już wrócić. Miałem słabą radiostację i na Marsie mnie nie słyszano.

– No pewnie. Nikt nie przypuszczał, że kuter ćwiczebny poleciał tak daleko. Nie jest do tego przeznaczony. To tak samo, jak gdyby wypłynąć na ocean w otwartej łódeczce. Masz szczęście, że cię spotkaliśmy.

– Jestem wam bardzo wdzięczny, robocie-san – powiedział. Yudzo. – Ale nie mogłem postąpić inaczej.

– Nie wiem, nie wiem. W każdym razie postąpiłeś jak człowiek. Wy, ludzie, jesteście bardzo nierozsądnymi stworzeniami.

– Gdybyśmy byli bardzo rozsądni, Kolumb nigdy nie odkryłby Ameryki – odezwała się Alicja. Spodobał jej się Yudzo i była pewna, że na jego miejscu zachowałyby się tak samo.

– W tej sytuacji – oświadczył robot – najrozsądniej będzie, jeśli chłopiec wypije jeszcze jedną filiżankę bulionu, a ja połączę się z Marsem i przekażę wiadomość, że wzięliśmy na pokład chłopca nazwisku Komura. Wyobrażam sobie, jaka tam wybuchła panika – zaginęło dziecko!

– Podgrzej bulion – poleciła robotowi Polina.

– Ach tak, więc to jest zajęcie dla Posejdona? – burknął robot, ale natychmiast skierował się do kambuza.

– Co będziesz robił po powrocie na Marsa? – spytała chłopca Alicja.

Odpowiedział nie od razu. Po chwili jednak zdecydował się i oświadczył z mocą:

– Polecę jeszcze raz. Wybłagam, żeby dali mi statek, a jak nie, to nawet ukradnę... i znów polecę na poszukiwanie ojca. Obawiam się tylko, że będzie już za późno.

– Dziwne – odezwała się Polina – po prostu nie znam wypadku, żeby statek zniknął jak kamfora. W Układzie Słonecznym, gdzie wszystkie trasy są oblatane, gdzie praktycznie nie istnieją niebezpieczeństwa.

– Nie masz racji! – krzyknął z kambuza Posejdon. – Sama strefa asteroid może się pochwalić ogromną liczbą ofiar. To już chyba szósty wypadek w ciągu ostatnich miesięcy. Akurat przed odlotem przeglądałem komunikaty służby ratowniczej. Przepadły bez wieści statki towarowe „Robinson” i „24-bis”, nie wiadomo, gdzie podział się statek „Głośny śmiech”. Dotychczas nie znamy losu dwóch statków turystycznych. I jak odszukać statek, jeśli rozbił się na takiej właśnie asteroidzie?

Po tych słowach Posejdon wrócił do kabiny pilota i zanim włączył nadajnik, by poinformować Marsa o znalezieniu chłopca, spojrzął na ekran centralny.

Widniała na nim czarna spłaszczona kula. Asteroida nie odbijała światła i sprawiała wrażenie

czarnej dziury w gwiazdzistym niebie.

Posejdon wyciągnął rękę w kierunku nadajnika i zamarł.

– Polino – spytał – czy nic nie czujesz?

– Bardzo dziwne – odparła Polina. – Wydaje mi się, że zwiększyła się siła grawitacji.

– Spójrz na przyrządy. Zmieniamy kurs.

– Nie wydałam takiego polecenia komputerowi – odparła Polina.

Podeszła szybko do pulpitu sterowniczego i zadała komputerowi pytanie. Czarna asteroida, matowa, tajemnicza, powoli ogromniała na ekranach. Było w niej coś złowieszczego.

Polina i Posejdon odczytali wskazania komputera.

– Dziwne – powtórzyła Polina.

– Z takim fenomenem jeszcze się nie spotkałem – powiedział Posejdon.

– Co się stało? – spytała Alicja.

– Pole grawitacyjne tej asteroidy jest wielokrotnie silniejsze, niż być powinno – oznajmiła Polina.

– Jak magnesu?

– Można i tak to określić – zgodził się Posejdon.

– Hura! – zawołała Alicja. – To znaczy, że dokonaliśmy odkrycia.

– Nie jestem pewien co do odkrycia. – Posejdon usiadł w fotelu pilota. – Ale trzeba będzie od niej jak najszybciej uciekać, żeby sobie nie rozbić nosa. Proszę pasażerów o zapięcie pasów.

– Tak, dzieci – rzekła Polina. – I nie traćcie czasu.

Alicja przycisnęła guzik w tylnej ścianie kabiny pilota i natychmiast wyskoczyły z niej, rozkładając się od razu, dwa fotele. Usiadła w jednym i ponagliła Yudza:

– No, prędzej!

Przypięli się pasami amortyzacyjnymi.

– Gotowi do przyspieszenia? – spytał Posejdon.

– Jestem gotowa – odparła Polina.

– My też – powiedziała Alicja.

– Przyspieszam – oznajmił Posejdon.

W kabinie pilota panowała zupełna cisza. Ledwo dosłyszalnie szumiały przyrządy. Posejdon zwiększył moc silników i „Arbat” zaczął walczyć z siłą przyciągającą go do czarnej asteroidy.

W pierwszej chwili Alicja poczuła, jak ją wciska w fotel – statek próbował wyrwać się z pajęczej sieci. Trwało to jednak bardzo krótko. Alicja usłyszała ponury głos Posejdona:

– Komputer mówi, że nie mamy wystarczającej mocy.

– Dlaczego? – spytała Polina.

– Rośnie siła grawitacji. Im silniej się wyrywamy, tym silniej nas przyciąga. Ale tak przecież być nie może – stwierdził Posejdon.

– Czemu? – zdziwiła się Alicja.

– No, to jest w ogóle niemożliwe.

Ludzie, wstrząśnięci tak kategorycznym oświadczeniem robota, milczeli.

– Co robić? – spytał po chwili Posejdon.

– A co proponujesz?

– Uważamy wraz z komputerem, że lepiej to zjawisko zbadać na miejscu. Dlatego najrozsądniej będzie wylądować na asteroidzie i wyjaśnić tę sprawę.

– To znaczy skapitulować przed jakimś żalonym odpryskiem skały! – oburzyła się Alicja.

– Nie można skapitulować przed skałą. Nie chciałbym cię urazić, jesteście przecież tacy dumni,

proponuję jednak lądować na asteroidzie i jak najszybciej ją zbadać.

– Znaleźć tam generator grawitacji – podpowiedziała Alicja – i wyłączyć go?

– No widzisz, jakie z nas mądrale! – przytaknął Alicji robot.

– A gdybyśmy spróbowali lecieć na granicy wytrzymałości silników? – spytała Polina.

– Tylko na próżno stracimy paliwo – odparł Posejdon. – Poza tym nie pozwolę zwiększyć obciążenia. Moją pierwszą i najważniejszą funkcją jest ochrona ludzi. Na pokładzie znajdują się dwie młode istoty, dla których takie obciążenia są szkodliwe. I jeśli ty, kapitanie, nakażesz mi kontynuować walkę z asteroidą, odpowiem: wybacz, Polino, nie zgadzam się.

Asteroida wypełniała już niemal cały ekran. Statek znosiło w kierunku plamy pośrodku niej, która nawet na tle czerni sprawiała wrażenie zapadliny.

– Tam jest jakieś zagłębienie – odezwał się Yudzo. – Chyba dziura.

– Wielka dziura.

Polina podjęła decyzję.

– Słuchajcie mnie uważnie. Zmniejszam obciążenie silników i będziemy podchodzić do lądowania na asteroidzie. Wszyscy niech włączą amortyzację foteli zgodnie z instrukcją awaryjną. Wskutek przyciągania przyspieszenie podczas lądowania będzie coraz większe. Tuż nad powierzchnią asteroidy włączę silniki na pełną moc, żebyśmy się nie rozbili. Przygotujcie się na to, i nie piszczeć.

– Tak jest, nie piszczeć, kapitanie – odparła Alicja i przed włączeniem awaryjnej amortyzacji w swoim fotelu włączyła ją przy fotelu chłopca.

Oba fotele wysunęły ze swych oparc sprężyste szerokie chwytaki i dosłownie wchłonęły w siebie swoich pasażerów. Delikatnie, zdecydowanie, jak gdyby miały żywe ludzkie ręce.

Zdawało się, że podłoga ucieka spod nóg – to Polina, również przymocowana w fotelu, wyłączyła silniki, pozostawiając tylko wspomagające układy hamulcowe.

Czarna ściana asteroidy zamieniła ekran w nieprzeniknioną ciemną plamę. W centrum plamy coś migotało. Alicja nie zdążyła jednak dokładnie się temu czemuś przyjrzeć, statek bowiem nagle zadygotał, natężył się, usiłując pokonać siłę przyciągania, pragnącą roztrzaskać go o czarne skały. Zawisł w odległości kilkudziesięciu metrów nad powierzchnią asteroidy, potem, jakby zdając się na jej łaskę, opuścił się na kamienne dno zagłębienia.

I choć Polina czyniła wszystko, co w jej mocy, zderzenie było tak silne, że „Arbat” podskoczył na amortyzatorach, grzmotnął jeszcze raz, przechylił się na bok i zastygł w bezruchu...

Światło zgasło.

Nastąpiła cisza.

– Wszyscy żyją? – rozległ się w ciemności głos Posejdona.

Szczęknęła klamra fotela amortyzacyjnego, potem druga. Ktoś jęknął.

– Spokojnie – powiedział Posejdon. – Zaraz się podłączę do oświetlenia awaryjnego.

Zapaliło się słabe światełko pod sufitem kabiny pilota.

Zabłyśła druga lampa na czole Posejdona.

Ludzie gramolili się z foteli, doprowadzali się do porządku. Na szczęście nikt mocno nie ucierpiał.

Tylko Yudzo miał podrapany policzek – zerwał się jeden z monitorów i zadrasnął go. Fotel Alicji przechylił się, lecz zdołał się utrzymać. Główny ekran był rozbity, ale ekrany pomocnicze funkcjonowały.

– Czy to ty jęczałeś, Yudzo? – spytał Posejdon, spoglądając na chłopca. Przez jego policzek biegła czerwona smuga.

– Nie – odparł stanowczo chłopiec.

– To ja jęknęłam – przyznała się Polina. – Przypomniałam sobie, że naczynia w kredensie nie były umocowane.

– Ojej, tam jest moja ukochana filiżanka! – wykrzyknęła Alicja, biegnąc do mesy.

Posejdon krzątał się przy oświetleniu. Stopniowo robiło się coraz jaśniej.

– A przyciąganie jest tu całkiem normalne – powiedziała Alicja. – Jak na Księżycu.

– Tak, mniejsze od ziemskiego – potwierdził robot. – Zauważyłem to.

Zapaliło się również światło w mesie.

Alicja otworzyła szafkę, z której posypały się okruchy filiżanek i talerzy.

– Ostrzegałem niejednokrotnie – oznajmił robot słysząc brzęk – że zastawa na statku powinna być blaszana lub plastikowa. Przywiązanie ludzi do porcelany jest nierozsądne.

– Moja filiżanka ocalała – ucieszyła się Alicja.

Polina podeszła do apteczki, wyjęła plaster i spirytus

– Alicjo – poleciała – zajmij się Yudzem. A ja muszę nawiązać łączność z Marsem.

– Dawno trzeba było to zrobić – powiedział Posejdon, odwracając się ku radiostacji.

Tymczasem Yudzo podszedł do iluminatora i usiłował dojrzeć, co się dzieje na zewnątrz.

Alicja musiała odciągnąć go stamtąd za rękę, żeby dał sobie zdezynfekować i zakleić policzek.

Spirytus szczypał boleśnie, ale Yudzo nawet się nie skrzywił.

– A nuż mój ojciec... – zaczął Yudzo. – Przecież mogło mu się zdarzyć to samo.

– No co, Posejdonie? – spytała Polina. – Nawiązałeś łączność?

– Musimy się zdobyć na cierpliwość – odparł Posejdon. – Radiostacja rozbita.

– Fatalnie! – westchnęła Polina. – Ile czasu potrzebujesz na naprawę?

– Około dwóch godzin – odrzekł robot. – Muszę poszukać części zapasowych.

Polina oczyściła pulpit z odłamków i spróbowała włączyć zewnętrzny reflektor.

– Zaczekaj – powstrzymał ją robot. – Przecież naprawa oświetlenia to nie kobieca sprawa.

Zdjął obudowę pulpitu, wymienił jeden z bloków i za iluminatorem zrobiło się nagle jasno – promień potężnego reflektora statku przeszył mrok.

Wszyscy podeszli do iluminatora.

– Och! – pierwsza wykrzyknęła Alicja. – Co to ma znaczyć?

Statek „Arbat” znajdował się w dużym okrągłym zagłębieniu przypominającym księżycowy krater. Ściany krateru były wysokie i pionowe. Ale zdumienie wywołało co innego – fakt, że „Arbat” nie był w kraterze jedynym statkiem.

Otaczały go inne statki oraz ich szczątki.

Niektóre najwidoczniej rozbiły się już dawno i nie sposób było się domyślić, jak kiedyś wyglądały. Inne statki były obdarte, jak gdyby jakiś dowcipniś zerwał z nich poszycie, zostawiając tylko szkielety wręgów. Jeszcze inne roztrzaskały się podczas lądowania. Ale dwa lub trzy statki wydawały się nietknięte.

Posejdon z wolna przesunął promieniem reflektora po tym dziwnym śmietniku, kolejno oświetlając ofiary katastrof.

Zatrzymał smugę światła na złotym napisie na burcie statku.

– „Robinson” – odczytała Alicja.

– Witaj, staruszkule – powiedział Posejdon. – Kiedyż to widzieliśmy się po raz ostatni? Chyba na Ganimedzie. Wyglądałeś wtedy znacznie lepiej. A więc tu przepadłeś, tu dokonałeś swego sławnego żywota!

Światło reflektora przesunęło się w bok. Zatrzymało się na napisie „Głośny śmiech”.

– Co za dziwna nazwa – odezwała się Polina patrząc na zniekształcony, ogołocony statek.

– Nie słyszałaś o nim? – spytał Posejdon. – To było oryginalne towarzystwo. Wielbiciele muzyki rozrywkowej. Latali na różne planety z koncertami. Piosenkarze i kłowni.

– Czyżby wszyscy zginęli?

– Jeśli we wnętrzu asteroidy nie ma atmosfery – odparł Posejdon – to pewnie tak się stało.

Tymczasem promień pełznął dalej, aż nagle rozległ się rozpaczliwy okrzyk Yudza:

– Mój ojciec! Tu jest mój ojciec! Mówiłem, że go znajdę!

Chłopiec wskazywał statek leżący za „Głośnym śmiechem”. Na boku widniał napis „Sakura”.

I oznakowanie służby geologicznej.

– To nasz statek! – powtarzał Yudzo. – Puśćcie mnie tam. Ja muszę tam iść.

– Nie ma go tam – cicho wymówiła Polina.

W zimnym bezlitosnym świetle reflektora widać było, że statek ucierpiał przy lądowaniu, a w dodatku zdjęto z niego część metalowego poszycia.

– Mimo wszystko muszę tam pójść, nie możecie mi zabronić! – krzyczał Yudzo. – Ojciec mógł zostawić jakąś wiadomość. Przynajmniej list...

– Uspokój się, Yudzo – powiedziała Polina. – Oczywiście, że pójdziemy tam i obejrzymy statek.

– Powiedziałaś, że wewnątrz asteroidy może istnieć atmosfera? – spytała Alicja robota. Mówiła cichutko, ponieważ sama w to nie wierzyła.

– Wątpliwe – odparł Posejdon. – Asteroidy to ciała martwe. Nie ma na nich atmosfery. Nie mogłaby istnieć z powodu bardzo słabego przyciągania.

– Ale przyciąganie jest strasznie silne.

– Wyjrzyj przez iluminator. Przecież to jasne – tutaj jest próżnia.

– A w środku?

– Skała.

– A jeśli wewnątrz jest wydrążona jama i siedzą w niej ludzie, którzy mają generator grawitacji?

– No, Alusiu, zaczynasz tu tworzyć powieść fantastyczną. Kto i po co miałby siedzieć w martwej asteroidzie?

– Piraci kosmiczni! Zakradli się do Układu Słonecznego i skonstruowali taką pułapkę.

Przyciągają statki, a następnie je grabią, pasażerów zaś biorą do niewoli.

– Fantastka! – oświadczył stanowczo Posejdon. – Nawet gdyby piraci zdołali niepostrzeżenie zakraść się do Układu Słonecznego, po cóż mieliby grabić statek towarowy „Robinson”, wiozący części zapasowe do urządzeń wiertniczych, albo „Głośny śmiech” mający na pokładzie muzyków, których jedynym majątkiem były trąby oraz bębny? Po co napadaliby na „Sakurę”, na której profesor Komura nie miał nic oprócz próbek skał?

– Posejdonie, nie rozumiesz prostych spraw – powiedziała otwierając szafę ścienną i wyjmując swój skafander. – Ludziom nie wolno odbierać nadziei.

– Nadzieja to hipoteza nie poparta faktami – zaprotestował Posejdon.

– Na razie nie poparta – odparła Polina. – Ale fakty mogą zaistnieć.

– Brak logiki u ludzi niekiedy mnie po prostu oburza – stwierdził Posejdon.

Yudzo podszedł za Poliną do szafy ze skafandrami i zatrzymali się jak wryty.

– A gdzie jest mój skafander? – spytał. – Ojej, zostawiliśmy go na kutrze!

– Co do kutra, to przyjdzie nam czekać – zauważył Posejdon.

Przybliżył promień reflektora do samego „Arbatu” i stało się jasne, że przycumowany doń kuter „SzNK-24” nie wytrzymał lądowania awaryjnego.

– Nie martw się – uspokoiła chłopca Polina. – Pójdę na „Sakurę”, a Posejdon sprawdzi kuter i przyniesie ci skafander.

– Jeśli cokolwiek z niego pozostało – mruknął Posejdon.

– Wezmę skafander Alicji. – upierał się Yudzo.

– Posłuchaj – powiedziała surowo Polina – znajdujesz się na statku kosmicznym. Nie znamy naszej sytuacji. Ja jestem kapitanem. I wszyscy muszą być mi bezwzględnie posłuszni. Zrozumiałeś?

– Zrozumiałem, kapitanie-san – odparł chłopiec. – Może jednak mimo wszystko wezmę skafander Alicji?

– Nie wiemy nawet, dokąd trafiliśmy – cierpliwie wyjaśniała chłopcu Polina. – Nie wiemy, co nas czeka. Cokolwiek by się stało zostajecie z Alicją na statku. Tu jest bezpieczniej.

– Racja – poparł Polinę robot. – Bo jeszcze i was trzeba będzie ratować. Aha, asteroidy o takich parametrach nie ma w spisie planetoid. Może jednak pójdę z tobą na „Sakurę”? W razie czego, nie trzeba mnie nawet ratować. Jestem starą blaszaną puszką...

– Już to słyszeliśmy – odparła Polina. – Nic nowego. Przynieś szybko skafander Yudza. Może się nam przydać. I natychmiast wracaj. Odpowiadasz za bezpieczeństwo dzieci.

– I bez twojego gadania wiem, za co odpowiadam. – Posejdon był niezadowolony, bał się o Polinę.

Polina sprawdziła skafander, opuściła hełm. W głośniku jej głos dzwijał głucho, jak gdyby tłumiała go poduszka.

– Spróbuję połączyć się z Marsem przez radiostację „Sakury”. – Otworzyła luk do komory wyjściowej.

Zanim luk się zamknął, Posejdon zdążył jeszcze rzucić za nią:

– Stawiam sto do jednego, że nie ma tam żadnej radiostacji.

Szczęknęło zamknięcie komory. W chwilę później Polina ukazała się na czarnej gładkiej

powierzchni asteroidy.

– Sprawdzam łączność – usłyszeli jej głos.

– Łączność w porządku – powiedział robot.

– W razie nieprzewidzianych komplikacji kapitanem statku zostaje Alicja Sielezniewa – oznajmiła Polina.

– Zrozumiałem -zgodził się robot odprowadzając ją smugą światła z reflektora.

Nie protestował, ponieważ zgodnie z regulaminem kosmicznym robot nie może dowodzić statkiem, na którym znajdują się ludzie. Nawet jeśli jest mądrym, doświadczonym, uniwersalnym robotem. Oczywiście w czasie nieobecności Poliny faktycznie on będzie grał pierwsze skrzypce na pokładzie, ale w sytuacji krytycznej ostatnie słowo będzie należało do Alicji, chociaż ma dopiero jedenaście lat.

– Zrozumiałam wszystko – powiedziała Alicja, śledząc zmniejszającą się błyszczącą figurkę Poliny, która obchodziła szczątki statków, robiąc niekiedy głośne uwagi:

– Teraz oglądam statek nieznannej konstrukcji – nie widzicie go, ponieważ leży za „Głośnym śmiechem”. Bez wątplenia nie pochodzi z Układu Słonecznego. Musiał trafić tutaj dawno. To znaczy, że ta asteroida nie od dziś przyciąga statki. Dziwne, że do tej pory nikt jeszcze nie zwrócił na nią uwagi. Już dwadzieścia lat temu pracowała tu kompleksowa ekspedycja. Musieliby ją dostrzec – przecież to duży obiekt. Jak myślisz, Posejdonie, jaki jest jej promień?

– Nieco ponad kilometr – odparł Posejdon. – Ale ma nieregularny kształt, przypomina spłaszczoną kulę lub soczewkę. Wylądowaliśmy po stronie wklęsłej.

– Zbliżam się do „Sakury” – poinformowała Polina.

Gdy przystanęła obok statku, zobaczyli, że „Sakura” pięciokrotnie przewyższa ją wysokością. Polina głośno meldowała, co robi. Takie są zalecenia, gdy zwiadowca sam opuszcza statek.

– Widzę luk – mówiła. – Jest otwarty. Brakuje pokrywy. To znaczy, że na statku nikogo nie ma. Wejdę jednak do środka, obejrzę statek i postaram się sprawdzić, w jakim stanie znajduje się radiostacja. Posejdonie, przyniosłeś skafander?

– Pamiętam o tym – odparł Posejdon. – Alicjo, będziesz utrzymywać łączność. Wiesz, jak obchodzić się z reflektorem?

– Wiem wszystko.

Posejdon poszedł do komory, Alicja zaś słuchała, jak Polina relacjonuje, co widzi na „Sakurze”.

Yudzo miotał się między „Sakurą” a statkiem ćwiczebnym. Podbiegł nawet do luku, jak gdyby chcąc przynaglić marudzącego tam Posejdona. Miał nadzieję, że skoro tylko dostanie skafander, będzie mógł pobiec do „Sakury”.

– Jestem wewnątrz „Sakury” – słysząc było głos Poliny. – Zdumiewający widok. Jak gdyby buszował tu jakiś rozbójnik. Poszycie obdarte, przyrządy rozbite, naczynia również, nie wiadomo, gdzie się podziały wszystkie rzeczy z kajuty oraz z kubryka. A radiostacja... radiostacji nie ma. Wyrwano ją i zniknęła.

– A list?! – krzyknął Yudzo. – Ojciec powinien był zostawić mi jakiś list!

Polina, nie słysząc słów chłopca, mówiła dalej:

– W szafie brak skafandra. To oznacza, że ojciec Yudza zdążył go włożyć.

Alicja pomyślała, że jeśli ktoś ograbił statek, to mógł również wziąć skafander. Jasne, że tym ostatnim zdaniem Polina chciała, uspokoić chłopca.

– Nie mam tu już nic do roboty – oświadczyła Polina. – Będziemy musieli znaleźć drogę do wnętrza asteroidy.

Być może Posejdon nie miał racji wyśmiewając teorię Alicji o piratach.

– Alicjo, spójrz! – rozległ się głośny krzyk Yudza.

Alicja spojrzała przez iluminator wychodzący na kuter ćwiczebny.

Zobaczyła, jak Posejdon wraca do statku niosąc skafander Yudza. Nie to jednak było przyczyną wzburzenia chłopca.

– Co się stało? – spytała Alicja.

– Skieruj reflektor w prawo! – mówił Yudzo. – Jeszcze bardziej. Widzisz?

Promień reflektora wychwytywał z ciemności kadłuby statków, kamienne głazy, połamane kawałki metalu... I naraz Alicja uchwyciła jakiś ruch. Od ściany krateru spieszyły do statku jakieś postacie. Były całe w czerni i dlatego nie można się było zorientować, co to za istoty.

W tym momencie otworzyły się drzwi komory i pojawił się w nich Posejdon ze skafandrem w ręku.

– Spójrz, Posejdonie! – przywołała go Alicja.

Robot w mig się zorientował o co chodzi, rzucił skafander chłopca, sam zaś doskoczył do pulpitu, żeby włączyć na ekranie powiększenie.

– Polino! – wykrzyknął wpatrując się w biegnące postacie. – Widzimy ludzi. Kierują się ku „Sakurze” oraz naszemu statkowi.

– Bardzo dobrze – odparła Polina – wychodzę na ich spotkanie. To znaczy, że pracuje tu jakieś nie znane nam laboratorium.

– Bądź ostrożna, Polino! – wtrąciła się do rozmowy Alicja. – Chociaż Posejdon w to nie wierzy, myślę, że są tu kosmiczni piraci. Czy może istnieje laboratorium niszczące i grabiące statki?

– Uwaga – ostrzegł Posejdon – to nie ludzie.

– A kto? – spytała Polina.

– Jakieś dziwne stworzenia. Lepiej zostań na „Sakurze”.

Widać było jednak, że Polinie nie uda się skryć. Ciemne postacie rozdzieliły się na dwie grupy. Jedna ruszyła w stronę „Arbatu”, druga – „Sakury”.

– Idę do ciebie – powiedział Posejdon. – Przypuszczam, że nas obserwowali i wiedzą, że jesteś na pokładzie „Sakury”. Ruszam ci na pomoc.

– Zostań na statku – rozkazała Polina.

– Nie mogę. Grozi ci niebezpieczeństwo. „Arbat” można zamknąć i dzieci przeczekają w nim do mojego powrotu. Ty zaś jesteś bezbronna.

Nie tracąc na próżno słów, Posejdon wszedł do komory.

– Ja też wychodzę – usłyszała Alicja głos Poliny. – Czuję się w tym pudle, jak szczur w pułapce.

– Posejdon już idzie do ciebie – powiedziała Alicja.

Widziała, jak Posejdon wielkimi krokami sady po otwartej przestrzeni. Po chwili ukazała się również Polina, która wyszła z „Sakury” dosłownie w chwili, gdy do statku dobiegały pierwsze czarne postacie.

– Kim jesteście? – zdążyła zapytać.

W odpowiedzi czarne postacie rzuciły się na nią niczym stado wilków na jelenia i powaliły ją na kamienie.

– Posejdonie...

I w tym momencie łączność została przerwana. Widocznie czarni wyrwali antenę z hełmu.

Posejdon biegł ku niej ogromnymi susami.

Nie zdążył jednak.

Kilka czarnych istot pędziło w jego kierunku, zderzył się z nimi, stratował najbliższych przeciwników, ale nie wytrzymał ataku pozostałych.

– Uwaga, Alicjo! – doleciał do kabiny pilota jego głos. – Nie opuszczajcie statku. Chwilowo zaniecham oporu, by przedostać się do asteroidy, do Poliny. Czekać na mnie...

Tu łączność z Posejdonem została przerwana.

W kabinie zapadła cisza.

Alicja i Yudzo zostali zupełnie sami.

Alicja zauważyła, iż Yudzo spiesznie wciąga kombinezon. Pomyślała, że i jej nie zaszkodzi się ubrać. Może trzeba będzie wyjść ze statku. Podbiegła do szafy po ostatni skafander.

– Obserwuj, czy nie podchodzą, będziesz mnie informował na bieżąco, gdzie są – zawołała do Yudza.

Zatrzymała się. Nie, najpierw trzeba zamknąć statek. Wspięła się na palce, by uruchomić specjalne zamknięcie. Na każdym statku istnieje taki system elektronicznej blokady – kiedy jest włączona, luku nie da się otworzyć żadnym sposobem. Do statku można się dostać jedynie po rozcięciu poszycia kadłuba.

– Idą tutaj – powiedział Yudzo.

– Dużo ich?

– Nie. Prawie wszyscy wloką w stronę skalnej ściany Polinę i Posejdona. Tutaj idzie trzech.

– Ach, jaka szkoda, że nie mamy blastera – westchnęła Alicja.

– Tak – przyznał Yudzo. – Zaraz byśmy ich wystrzelali.

– A może... – Alicja zamyśliła się trzymając w rękach skafander. Ma bujną wyobraźnię i potrafi znajdować nieprawdopodobne wytłumaczenia różnych zjawisk. – A może ta asteroida nie jest sterowana. A czarne istoty są miejscowymi ratownikami. Tylko pochodzą z innego Układu i nie znają języka. Wyciągają więc ze statków wszystkich, którzy ulegli katastrofie, i ukrywają wewnątrz asteroidy.

– Nie wierzę! – powiedział Yudzo. – Ratownicy nie rzucają się na ludzi jak bestie.

Alicja wciągnęła skafander, włożyła hełm, ale nie opuściła jeszcze osłony twarzy. Na to wystarczyła dosłownie sekunda.

– Podeszli do statku – informował Yudzo.

– Zobaczymy, co zrobią – zdecydowała Alicja.

Nie czekali długo. Usłyszeli walnięcie w luk. Potem jeszcze jedno, znacznie silniejsze.

– Koźląteczka, dzieciąteczka – wyrecytowała Alicja – to ja, wasza mama, przyniosłam wam mleczka.

– Co ty mówisz? – zdziwił się Yudzo.

– To taka dziecinna bajka, nie znasz jej. Pewien wilk przebrał się za kozę i przyszedł do jej domu, by pożreć dzieci.

– Owszem, znam tę bajkę – powiedział Yudzo.

– Tylko że nas nie oszukasz – dodała Alicja.

Następne uderzenie było silniejsze.

– Czym oni walą? – zastanawiał się głośno Yudzo. – Czyżby mieli pięści z żelaza?

Uderzenia następowały już jedno po drugim.

– Jeśli nie są kompletnymi idiotami – powiedziała Alicja – to coś wykombinują.

Jakby w odpowiedzi na jej słowa do statku podeszło jeszcze parę czarnych stworzeń. Jedno z nich przyniosło coś w rodzaju blastera, tyle że z długą lufą.

Wąski biały płomień wytrysnął z blastera i dotknął luku.

– Przepalą – odezwała się Alicja. – Jak nic przepalą.

– Będziemy walczyć – powiedział z mocą Yudzo.

– I co z tego? Skoro dali radę Posejdonowi, to i my długo się nie utrzymamy.

– No więc co robić? Lepiej zginąć z honorem.

– To logika nie dla mnie – odparła Alicja. – Nie skończyłam jeszcze szkoły. Wkładaj hełm.

Podczas gdy Yudzo wkładał hełm, obserwując jednocześnie przez iluminator, jak czarne istoty uparcie świdrują poszycie „Arbatu”, Alicja odchyliła róg dywanu w mesie. Wiedziała, że jest tam nieduży włącz do komory technicznej „Arbatu”. Kiedyś Posejdon wchodził tam przy niej, żeby sprawdzić system ogrzewczy.

Yudzo wszedł pierwszy, za nim wsunęła się Alicja zamykając za sobą włącz w taki sposób, by – kiedy już go zatrzaśnie – róg dywanu osunął się na poprzednie miejsce. Nie mogła niestety sprawdzić, czy się to udało. Panowała taka cisza, że słychać było przyspieszony oddech Yudza.

Alicja włączyła na moment latarkę na hełmie.

Komora, w której się ukryli, była niska i ciasna, choć bardzo długa. Wzdłuż niej ciągnęły się przewody powietrzne, rury parowników oraz rury ogrzewcze.

Alicja przywołała Yudza skinieniem ręki i odczłogali się dalej od włączu.

– Teraz ani pary z ust – szepnęła – milcz, cokolwiek by się działo.

Nie czekali długo.

Może z pięć minut.

Najpierw odczuli drgnienie powietrza. Oznaczało to, że czarne istoty, które Alicja nazywała w myśli bandytami, otworzyły jednak luk „Arbatu”. Powietrze natychmiast uszło ze statku niczym bąbelki z dzbanka szybko zanurzonego pod wodę. Co prawda z komory, w której ukryci byli Alicja i Yudzo, wyleciało nie tak szybko – chociaż, nie była hermetyczna, to szczeliny i kanały, za pomocą których łączyła się z głównymi pomieszczeniami statku, były niewielkie i minęło parę sekund, nim się z niej wydostało. Skafandry dzieci błyskawicznie przystosowały się do zmiany ciśnienia, Alicja jednak odczuła dobrze znany przeskok w próżnię, podobnie jak przy wyjściu ze statku w otwarty Kosmos.

Potem usłyszeli kroki.

A raczej nie usłyszeli – ponieważ w próżni dźwięki się nie rozchodzą. W Kosmosie zawsze panuje cisza. Poczuli natomiast wibrację podłogi pod ciężkim stąpieniem bandytów.

Jeśli przyłożyć rękę w rękawicy do sufitu komory, można odgadnąć każdy krok tych, którzy znajdują się na górze.

Bandyci dość długo łazili po statku. Potem „Arbat” zaczął dygotać silniej, jakby pod wpływem szarpnięć i Alicja nie od razu domyśliła się, że bandyci wzięli się za grabież. Odłamywali, wrywali, odkręcali przyrządy i różne przedmioty, by zabrać je ze sobą.

Potem nagle pojawiła się nad głową, tam gdzie znajdował się włącz, wąziutka smużka światła w kształcie koła. Ktoś musiał odchylić dywan. Alicja zamarła, pewna, że bandyta za chwile, otworzy włącz.

Nic takiego się jednak nie zdarzyło. Zapadła głęboka cisza. Statek opustoszał.

– Co robić? – spytała Alicja.

– A co? – nie zrozumiał Yudzo.

– Sądzę, że muszą przenieść zrabowane przedmioty, dlatego opuścili statek. Najprawdopodobniej niedługo tu powrócą. I wtedy bez wątpienia wleżą do tej komory. Obawiam się, że nie uda nam się przeczekać w ukryciu.

– No to wylażmy – powiedział Yudzo. – Już mi się znudziło siedzenie tutaj.

– Mamy niewiele czasu – ostrzegła go Alicja i poczołgała się w stronę włączu. – Przecież mogą

pracować na kilka zmian? Jedni odchodzą, inni przychodzą, nie wiemy, ilu ich jest w sumie.

Otworzyła włącz, rozejrzała się i szybko wyskoczyła na zewnątrz. Za nią Yudzo.

Na statku nie było nikogo. Ale przez ten czas, gdy bandyci buszowali na pokładzie, „Arbat” zmienił się nie do poznania. Zniknęły przyrządy, zastawa, nawet meble, pościel i ubranie, z pulpitu sterowniczego został sam szkielet. Zabrali nawet dywan.

Alicja skoczyła do iluminatora. Reflektor już się nie palił, ale udało jej się wypatrzeć niewyraźne cienie bandytów. Szli gęsiego, włokąc zdobycz. Dwaj ostatni nieśli zwinięty w rulon dywan z mesy.

– Idziemy – powiedziała Alicja.

– Dokąd? Na „Sakurę”? – spytał Yudzo. Chociaż Polina powiedziała, że na „Sakurze” niczego nie ma, koniecznie chciał się tam dostać – a nuż umknął jej uwagi jakiś ważny drobiazg, może list przeznaczony tylko dla niego.

Nie – odparła Alicja. – Myślę, że najlepiej będzie pójść za bandytami. Trzeba podpatrzeć, w jaki sposób dostają się do wnętrza asteroidy.

– A jeśli nas spostrzegą?

– Skoro się boisz, to idź na „Sakurę”, usiądź tam i czekaj.

– Niczego się nie boję – obraził się Yudzo. I pierwszy podszedł do luku.

Pokrywa była zerwana, leżała na kamieniach obok statku. Wyszli na zewnątrz i szybko ruszyli śladem bandytów.

Polina nie zauważyła, w jaki sposób otwierają się drzwi do wnętrza asteroidy, chociaż bardzo starała się to podpatrzeć. Winę za to ponosiły czarne, bezlice stwory, które wlokły ją do ściany krateru przeszkadzając sobie wzajemnie, płacząc się, potrącając. Przypominały Polinie mrówki holujące do mrowiska schwytanego żuka. Niby to bez ładu i składu, ale stopniowo żuk zbliża się do mrowiska.

Otworzył się pierwszy luk, czarni zatrzymali się, czekając widocznie, aż wyrówna się ciśnienie. Następnie rozsunał się drugi. Polina zorientowała się, że wewnątrz asteroidy jest powietrze.

Znalazła się w ciemnym korytarzu, znów ją pociągnięto gdzieś do przodu.

Po mniej więcej stu krokach zamajaczyło przed nimi nikłe światełko. Pod sufitem korytarza migotała słaba lampa. Przy jej świetle było widać, że korytarz został wywiercony w skale, przy czym zrobiono to dość topornie i ściany nie były niczym oblicowane. Wzdłuż nich ciągnęły się kable, przewody, a wszystko było pokryte kurzem, czuło się atmosferę zaniedbania.

Polina usiłowała przyjrzeć się swoim przeciwnikom, ale światło było słabiutkie, a latarki na hełmie nie odważyła się włączyć w obawie, że ją rozbiją – przecież zorientowali się, że należy zerwać antenę łączności zewnętrznej.

Niebawem dotarli do następnej lampy. Polina zobaczyła chodnik prowadzący w prawo. Był odgradzony niską barierką. Wydało jej się, iż spoza barierki wygląda blada twarz ludzka, najprawdopodobniej była to twarz dziecka. Ale przyjrzeć się uważniej nie zdołała, bo czarni nie dawali jej chwili spokoju – szarpali ją, popychali, ciągnęli naprzód.

– Przestańcie mnie popychać! – obruszyła się wreszcie Polina. – Przecież i tak idę. Powiedzcie mi raczej, czego ode mnie chcecie.

Jej słowa nie wywarły żadnego wrażenia na czarnych istotach. Wciąż ciągnęły ją do przodu. Po następnych kilku metrach poczuła, że podłoga obniżyła się gwałtownie, a mocne szturchnięcie omal nie zważyło jej z nóg.

Przed nią otworzyły się drzwi.

Czarni wepchnęli Polinę do jakiegoś mrocznego pomieszczenia.

Drzwi zasunęły się ze zgrzytem, odcinając Polinę od korytarza.

Została sama.

Jedyne przyćmione źródło światła pod sufitem ledwie oświetlało obszerną celę. Szare ściany, szara podłoga, szary sufit. Po kątach pozwalane na kupę szmaty, na środku podłogi rozbita filiżanka, lalka bez ręki, pod ścianą sterta instrumentów muzycznych: powgniatana, zmatowiała trąba, flet, skrzypce z zerwanymi strunami, a nawet wiolonczela.

Polina niczego nie dotykała. Powoli obesza całą celę, żeby upewnić się, iż jest tutaj sama, i zorientować się, czy nie ma jakiegoś innego wyjścia. Nie, oprócz niej nie ma nikogo. Drugiego wyjścia też nie ma. Ściany gładkie, jednolite, tylko w jednym miejscu nad głową nieduży okratowany otwór chodnika wentylacyjnego.

Nagle Polina zobaczyła akurat poniżej tego otworu wydrapany jakimś ostrym przedmiotem napis: „Jesteśmy załogą «Głośnego śmiechu». Ludzie, zlikwidujcie to gniazdo...” Tuż obok znajdował się jeszcze jeden napis, tym razem czarny, napisany węglem lub tuszem: „Jutro kolej na nas. Wiemy, że

nikt jeszcze nie uszedł z życiem z pazurów lodowego smoka. Żegnajcie...”

Polina mimo woli obejrzała się, miała uczucie, że ktoś jej zagląda przez ramię. Nikogo jednak nie było, tylko cisza, i tak już dość złowieszcza, zgęstniała niczym stygnący kisiel.

Ogarnął ją strach. Rzuciła się do drzwi i zaczęła młócić w nie pięściami, krzycząc:

– Wypuście mnie! Nie macie prawa! Natychmiast mnie wypuście!

Alicja i Yudzo szli powoli. Nie chcieli zanadto zbliżać się do bandytów.

Czarni jednak nie oglądali się. Byli zajęci – dźwigali w stronę ściany zagrabiony dobytek.

Przeskakując od statku do statku, dzieci przekradły się prawie pod samą ścianę, niewiele jednak brakowało, by właśnie wtedy je schwytano. W chwili gdy bandyci skryli się w otworze, który ukazał się w ścianie, a dzieci wyszły na otwartą przestrzeń, żeby podążyć za nimi, drzwi otworzyły się ponownie i wyskoczyło z nich trzech innych bandytów.

Na szczęście nie opodal wznosił się okrągły kadłub martwego statku i Alicja, pociągnawszy za rękę Yudza, padła na kamienie i znieruchomiała. Yudzo zorientował się, w mgnieniu oka i poszedł za jej przykładem.

Najwidoczniej jednak bandyci nie spodziewali się spotkać tu kogokolwiek. Spieszyli się, biegli truchtem, podobni do mrówek na tropie zdobyczy.

– No co, czekamy? – spytał Yudzo.

Trzeba było podjąć błyskawiczną decyzję.

– Nie – powiedziała Alicja. – Nie wiemy, jak długo trzeba będzie czekać i kiedy się uspokoją.

A nasi są tam, w środku. Może twój ojciec również.

– Mój ojciec jest tam na pewno – odparł Yudzo. – Idziemy?

Podbiegli do miejsca, gdzie zniknęli bandyci.

Alicja włączyła na sekundę latarkę na hełmie i w jej świetle zobaczyła cienki czarny pasek w gładkiej ścianie – zarys dużego łuku. Obok niego – wypukłość, której, jak zauważyła, dotykali bandyci, zbliżając się do ściany.

Podniosła dłoń ku wypukłości i po chwili łuk cofnął się, a następnie przesunął w bok.

W komorze, w której się znaleźli, było ciemno. Alicja włączyła latarkę i spostrzegła drzwi wiodące do wnętrza asteroidy. Otworzyły się, gdy tylko wyrównało się ciśnienie w komorze i asteroidzie. Alicja rzuciła okiem na bransoletę-rejestrator warunków zewnętrznych. Rozbłysła na niej zielona iskra – powietrze nadaje się do oddychania, temperatura plus siedemnaście stopni. Nie zdjęła jednak hełmu, ani nawet osłony twarzy – mało to mikrobów może czaić się w tym powietrzu.

– Idź trzy kroki za mną – poleciła Alicja swemu towarzyszowi. – Jeśli coś mi się stanie, zdążysz odskoczyć w tył.

Po kilku krokach doszli do zakrętu korytarza.

Korytarz był wąski, ściany zimne i nierówne, jak gdyby wyciosano je w skale. Za zakrętem korytarz rozszerzał się, w ścianach pojawiły się nisze i odgałęzienia. Alicja jednak na razie nigdzie nie zbaczała, wołała nie ryzykować, sądząc, iż główny korytarz prędzej zaprowadzi ich do centrum asteroidy.

Oświetlony korytarz był tuż, tuż. Jedną lampę od drugiej dzieliło około trzydziestu metrów, a dawały bardzo słabe światło. Nisze i odgałęzienia były w ogóle ciemne, toteż dzieci cały czas miały wrażenie, że czają się tam jakieś stwory, które nie spuszczają ich z oka.

I choć Alicja była przygotowana na różne niespodzianki, to, co nastąpiło, przeraziło ją śmiertelnie.

Wielka ciężka łapa wysunęła się z czarnej niszy i opadła jej na ramię.

Alicja tylko jęknęła, nie była nawet w stanie uciekać – strach dosłownie ją sparaliżował.

Yudzo wpadł na nią.

– Co się stało? – spytał stłumionym głosem.

– Ciszej! – usłyszeli jakiś obcy głos dolatujący gdzieś z góry, jak gdyby spod sufitu. – Ani mru, mru.

I nagle z niszy wynurzył się Posejdon.

Gdy do Alicji dotarło, że to przyjaciel, kolana ugięły się pod nią i musiała oprzeć się o robota. Metalowe nogi były gładkie i ciepłe.

– Posejdonku – szepnęła. – Nie wolno tak straszyć ludzi.

– Przepraszam – odparł robot – ale nie mogłem przecież krzyczeć z daleka, żeby cię uprzedzić.

Z trudem poradziłem sobie z pierwszą partią moich przyjaciół i kuzynów. Następna partia może być bardziej stanowcza.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Yudzo, którego Posejdon nie przestraszył.

– Masz oczy, to patrz. – odrzekł Posejdon i włączył swą czołową latarnię na pełną moc.

Za zakrętem, w głębokiej niszy, leżało na kupie, właśnie na kupie, to słowo najlepiej tutaj pasuje, kilku bandytów. Czarne cielska stanowiły istną płataninę rąk i nóg, niektóre nie miały głów.

– Och! – wykrzyknęła Alicja. – Dokonałeś straszliwego przestępstwa! Robot nie może zabić człowieka. Co z tobą, Posejdonie?

– A jeśli to wrogowie i mordercy? Też mam spokojnie to znosić?

– Wrogów i morderców powinien sądzić sąd – odparła Alicja.

– A skąd tu weźmiesz sąd? Pokaż mi go! Dokąd odstawić przestępców? Jak ich przekonać, że mają być cacy i bez gadania iść tam, gdzie im każe?

– Rozumiem, ale mimo wszystko to nie jest w porządku.

Yudzo przykucnął i uważnie przyglądał się zabitym.

– Przecież to nie ludzie! – oznajmił nagle.

– Mądrała! – Posejdon roześmiał się głośno, okropnie zadowolony, że udało mu się wyprowadzić w pole Alicję. – Skoro tylko się zorientowałem, że to roboty, po prostu tępe automaty, zabrałem się na serio do rzeczy. Na otwartej przestrzeni oczywiście są silniejsze ode mnie i mogłyby mnie rozebrać na części. Ale w wąskim korytarzu ja jestem górą. A dlaczego?

– Ponieważ jest pan mądrzejszy, robocie-san – powiedział Yudzo.

– Cieszę się, że cię spotkałem – oświadczył Posejdon. – To prawdziwa przyjemność poznać tak bystrego młodzieńca.

– Czy widział pan może mojego ojca?

– Kiedy? Jestem tutaj takim samym nowicjuszem, jak wy.

– A Polina? Gdzie jest Polina?

– Będziemy jej szukać. I profesora Komury również. Na pewno wszystkich znajdziemy.

Chciałbym tylko najpierw zawrzeć znajomość z tym, kto szczuje bezduszne roboty na uczciwych kosmicznych podróżnikach. I porozmawiać z nim poważnie.

Posejdon odsunął na bok odłamaną rękę jednego z bandytów i nagle wypadła z niej filiżanka Alicji.

– Zdumiewające – dziewczynka podniosła ją. – Nie stłukła się ani przy lądowaniu, ani teraz.

– Jeszcze napijesz się z niej herbaty – obiecał Posejdon.

W ciszy podziemi dał się słyszeć daleki tupot.

– Żal opuszczać pole walki – rzekł Posejdon. – Ale rozsądek nakazuje się wycofać. Wojna nie jest zgodna z naszymi zasadami.

Ruszyli szybko przed siebie, tam gdzie Posejdon wypatrzył wąski chodnik boczny. Przyczaili się, zgasiwszy latarki.

Po chwili przebiegło obok nich gęsiego kilka czarnych robotów. Potem odgłos kroków nagle ucichł. Słysząc było krótkie zgrzytliwe dźwięki, jakimi się porozumiewały. Szczęk, łoskot – zapewne zbierały szczątki swych współpracowników usiłując zrozumieć, co się stało.

– Jeszcze chwila i połapią się, że na asteroidzie ukrywa się nieprzyjaciel – wyszeptał Posejdon.
– Lepiej więc nie czekać tutaj. Im dalej stąd się znajdziemy, tym lepiej.

I pobiegli korytarzem, starając się wybierać słabiej oświetlone, wąskie chodniki, żeby zmylić pogoń.

Polinę dręczyła beczynność. Należało coś przedsięwziąć. Nie wiedziała nic o losach Alicji i Yudza ani też Posejdona, nie miała pojęcia, gdzie się znajduje i po co zamknęli ją w tym pomieszczeniu. I co najważniejsze, nie wiedziała, co się stało z ludźmi, którzy byli tu wcześniej, przed nią.

Wstała i znów zaczęła stukać w metalowe drzwi.

– Wypuście mnie! – krzychała. – Kto jest waszym szefem? Żądam, byście mnie do niego zaprowadzili.

– Milczeć – usłyszała w odpowiedzi. – Zakłócasz odpoczynek Aszykleków.

– Kogo?

Odpowiedzi nie było.

Rozejrzała się w poszukiwaniu czegoś solidnego, jakiegoś kija albo pręta, żeby móc silniej walić w drzwi. Wpadła jej w oczy trąba – powgniatana, ale cała – wielka zakręcona trąba, należąca niegdyś do zespołu „Głośny śmiech”.

Podniosła ją, przypomniała sobie, jak wkładają ją przez głowę członkowie orkiestry, znalazła ustnik i po paru nieudanych próbach udało jej się wydobyć z niej niski głośny dźwięk.

Czuła, jak przenika on przez drzwi i dociera do najdalszych zakątków asteroidy.

Dźwięk poniósł się tak daleko, że usłyszeli go biegnący korytarzem oddzielonym kilkoma ścianami robot oraz jego towarzysze.

– Słyszysz, Posejdonie? – spytała Alicja. – Tu są ludzie.

– Czemu tak sądzisz? – zdziwił się robot. – Czy na asteroidzie nie mogą mieć własnych muzyków?

– Szkoda – odparła Alicja. – Nie przyszło mi do głowy, że może grać ktoś inny. Twój ojciec nie ma trąbki?

– Nie – odrzekł zdziwiony Yudzo. – Nigdy nie grał na trąbce.

– Stójcie! – Alicja zamarła.

Właśnie w tej chwili Polinie, która próbowała wydobywać z trąby różne dźwięki, udało się odtworzyć pierwsze takty znanej dziecinnej piosenki „Wyrosła w lesie choinka”.

– Tak – musiał przyznać Posejdon. – Trąbkę mogą mieć, ale tej piosenki raczej nie znają. Spróbujemy kierować się w tamtą stronę.

Ale nie zdołali zrealizować tego planu. Ledwie skręcili w korytarz wiodący do nieznanego muzykanta, zobaczyli, że z naprzeciwka spieszą czarne roboty. Trzeba się było wycofać.

Polina nie przestawała grać, dopóki starczyło jej tchu. Zza drzwi nie dochodził żaden dźwięk. Ale gdy położyła trąbę na podłodze, usłyszała cichy głos dobiegający z góry.

– Słyszysz mnie pani?

– Tak. – Odwróciła się w stronę głosu. Dobiegał z okratowanego otworu chodnika wentylacyjnego. – Kim pan jest?

– Proszę podejść bliżej.

Polina spełniła jego żądanie.

– Jestem takim samym więźniem tej asteroidy, jak pani – wyjaśniał dalej głos. – Grozi pani

śmiertelne niebezpieczeństwo. Koniecznie musi pani wydostać się z tego pomieszczenia.

– Ale jak? Zbadałam wszystkie ściany. Wyjścia nie ma. Niech mi pan powie, jakim cudem udało się panu stąd wydostać? Może ucieknę tą samą drogą?

– Nie, ja uciekłem, gdy nas prowadzono nad przepaść. Nie wolno pani na to czekać. Mnie się udało dzięki przypadkowi. Szansa jest minimalna. Musi pani działać zaraz.

– Ale jak?

– Widzi pani w kącie stertę szmat?

– Tak.

– Pod szmatami schowany jest pilnik. A za szmatami jest już nadpiłowana w ścianie poprzeczna rysa. Ci, którzy byli tu wcześniej, usiłowali uciec. Nie zdążyli jednak. Jeśli zdoła pani wypiłować otwór, trafi pani do tunelu technicznego. Usłyszę. Niech pani czołga się tunelem... Proszę jednak pamiętać, że ma pani do dyspozycji wyłącznie dwie godziny.

Polina poczuła, że za jej plecami otwierają się drzwi.

Szybko cofnęła się od chodnika wentylacyjnego, podniosła z podłogi trąbę i przyłożyła ustnik do warg.

Robot zatrzymał się, jak gdyby uderzony głośnym, przeciągłym dźwiękiem.

– Nie wolno! – zawołał. – Godzina ciszy! Zabronione! Obudzisz!

Polina odskoczyła w bok. Robot sunął ku niej z wyciągniętymi łapskami, by jej odebrać trąbę. Podniosła trąbę wysoko i z całym rozmachem nadziała ją na głowę robota, który natychmiast upodobnił się do błazna w złotym kołpaku.

Oślepiiony i zaskoczony znieruchomiał na moment z rozpostartymi rękami, Polina zaś rzuciła się do drzwi. Spóźniła się jednak. Biegł już stamtąd na pomoc swemu towarzyszowi drugi robot. Odepchnął ją brutalnie i z trudem ściągnął trąbę z głowy kolegi.

Po czym, z trąbą w rękach, opuścił celę. Za nim, obróciwszy głowę o sto osiemdziesiąt stopni, by nie tracić kobiety z pola widzenia, podążył poszkodowany.

Kiedy już wszystko ucichło, Polina wróciła do chodnika wentylacyjnego i powiedziała:

– Już spokój. Po krótkiej walce nieprzyjaciele się wycofali.

Uśmiechnęła się na wspomnienie komicznie wyglądającego robota z trąbą na głowie. Żałowała, że ten widok ominął Alicję.

– Spokój – powtórzyła. – Słyszysz mnie pan?

Nie odpowiedział jej żaden dźwięk.

Wówczas oglądając się na drzwi skierowała się w kąt celi i odchyliła stertę szmat, znalazła pod nią nieduży pilnik.

Niewidzialny sprzymierzeniec miał rację.

W ścianie, nieco powyżej podłogi była przepiłowana cienka rysa. Trzeba było jednak wykonać cięcia pionowe, czekała ją długa i żmudna praca. Trudna rada. Polina przykucnęła i wzięła się za dokończenie tego, co rozpoczęli nieznani więźniowie tej celi.

Minęło chyba z pięć minut, zanim Posejdon wraz ze swymi towarzyszami zdołali ujść pogoni i dotarli do długiej niskiej sali, w której ciągnęły się rzędy wąskich niewysokich pomostów nakrytych zniszczonymi materacami. Na materacach leżało i siedziało mnóstwo istot zupełnie odmiennych od robotów. Właściwi mieszkańcy statku, a najprawdopodobniej jego właściciele.

Co prawda wygląd mieli dziwny, zaniedbany, nawet żaloszny. Przeważnie ubrani byli w szare chlamidy, jak gdyby uszyte z worków, z otworami na chude ręce. Było to ich jedyne odzienie. Spod worków wysuwały się brudne cienkie nóżki. Właśnie nóżki, ponieważ istoty te nie były chyba wyższe od Alicji, choć nawet przy słabym oświetleniu tej ogromnej sypialni było widać, że znajdują się pośród nich nie tylko dorosłe, lecz nawet stare ludziki. Tak ich nazwała w myśli Alicja – ludziki.

Mieli długie, skołtunione włosy, oczy wyblakłe, ruchy ociężałe, jak gdyby senne.

W przejściu między pomostami stał czarny robot odziany w żółty fartuch i czerwoną czapkę na głowie. Taka mieszanina niańki i błazna.

– To oni – powiedział z ulgą Posejdon.

– Prawdziwi ludzie – przytaknęła Alicja.

– Chodźmy do nich – powiedział Yudzo. – Musimy z nimi porozmawiać, wyjaśnić im.

– Zaczekaj – powstrzymała go Alicja. – Jakoś mi się nie podobają.

– Dlaczego?

– Wierzysz, że naprawdę są właścicielami asteroidy – spytała dziewczynka. – Czy oni mogą sterować tym statkiem, wydawać polecenia robotom?

– Wygląd zewnętrzny bywa mylący – rzekł Posejdon. – Patrząc na mnie nigdy byś nie przypuszczała, że skończyłem cztery uniwersytety.

– Nie będziemy działać pochopnie – postanowiła Alicja. – Może spotkamy pojedynczego. Wtedy z nim porozmawiamy.

Reszta zgodziła się z nią, poszli więc dalej, chociaż ludziki obudziły ich ciekawość i chętnie by je poobserwowali. Dosłownie po paru krokach natknęli się na samotnego człowieczka, który stał w zadumie pośrodku korytarza.

Okazał się staruszką. Spiczasta rzadka bródka sięgała mu prawie do pasa, buźkę miał pomarszczoną, jak gdyby ktoś porysował go cienkim czarnym ołówkiem.

Na widok Posejdona człowieczek nie przestraszył się, nie uciekł, lecz włożył w zamyśleniu brudny palec do ust i zaczął go ssać.

– Cicho – powiedziała do niego szeptem Alicja. – Nie bój się, nie zrobimy ci nic złego... Posejdonku, poszperaj no w mózgu, w jakim języku mamy z nim rozmawiać.

Słuchając Alicji, człowieczek przechylił głowę, wyjął palec z ust i sięgnął do gwiazdki błyszczącej na piersi dziewczynki. Jego palce wczepiły się w gwiazdkę próbując ją oderwać, nie mogły się jednak z tym uporać, ponieważ była mocno przyszyta do skafandra.

– Nie rusz tego – skarciła go Alicja.

Człowieczek skrzywił się z wysiłku. Nie zamierzał tak łatwo zrezygnować.

Wreszcie odezwał się Posejdon:

– Daj mu spokój, niech sobie ciągnie, a ja tymczasem będę mu zadawał pytania we wszystkich

językach galaktycznych.

Nie zdążył jednak zadać ani jednego pytania, ponieważ staruch, straciwszy nadzieję na oderwanie gwiazdki, zabeczał nagle z urazą niczym malutkie dziecko. A jego lament był tak przejmujący, że przenikał nawet przez ściany.

Wszyscy troje dosłownie zdrętwieli.

Pierwszy opamiętał się Posejdon. Schwycił człowieczka w pół i puścił się korytarzem.

Korytarze robiły się coraz węższe, termometr na przegubie Alicji wskazywał, że temperatura się podnosi.

Raptem Yudzo zatrzymał się i pędem ruszył z powrotem.

– Dokąd? – zawołała Alicja.

– Nie bój się, zaraz wracam. Zdaje mi się, że coś zobaczyłem...

Yudzo przebiegł kilka kroków i schylił się. Na podłodze leżał płaski mały ołówek. Dokładnie taki sam miał ojciec Yudza. Na końcu ołówka był wytłoczony malutki złoty kwiat wiśni.

– To ojca! – wykrzyknął Yudzo. – Mówiłem przecież, że jest tutaj.

Podniósł ołówek i pognął za Alicją.

Warto napomknąć, że wszystkie te wydarzenia trwały nie dłużej niż minutę. Ale i w tak krótkim czasie wiele się może zdarzyć. Zwłaszcza jeśli wziąć pod uwagę, że żaden ze zbiegów kompletnie nie miał pojęcia, dokąd uciekać, nie znał rozkładu korytarzy i pomieszczeń asteroidy.

Yudzo przebiegł parę kroków i znalazł się na rozwidleniu. Trzy absolutnie jednakowe korytarze odchodziły od głównego niczym rozcapierzone palce dłoni.

Chłopiec zaczął nadśluchiwać. Wydało mu się, że kwik porwanego ludzika dolatuje z prawego korytarza, pobiegł więc w tamtą stronę zaciskając w pięści ołówek.

W tym momencie kwik się urwał.

A stało się to z powodu Alicji, która nakazała Posejdonowi:

– Puść go, bo nas wyda.

– Co? – zdumiał się robot i popatrzył na stworzenie miotające się pod jego pachą. –

Najwyraźniej mam sklerozę. Zapomniałem o nim na śmierć.

Posejdon upuścił człowieczka na podłogę, ten zaś złorzecząc z oburzeniem pobiegł korytarzem w przeciwną stronę.

Wówczas Posejdon zauważył:

– Nie jesteśmy w komplecie. Gdzie Yudzo?

– Został trochę w tyle – odrzekła Alicja. – Coś znalazł. Zaraz nas dogoni.

– Czemu mi od razu nie powiedziałaś? – spytał Posejdon.

– Byłam pewna, że słyszysz.

– Pewnie ten – Posejdon machnął ręką w stronę, w którą uciekł człowieczek – tak skrzeczał, że nic nie słyszałem. To moja wina. Kiedy się biega po podziemiach z dziećmi, to koniecznie trzeba się oglądać i liczyć je”.

Alicja nie lubiła, kiedy nazywano ją dzieckiem, tym razem jednak zdawała sobie sprawę, że nie powinna była zostawić Yudza samego. Dlatego pierwsza pognąła z powrotem.

Po paru chwilach dopadli rozwidlenia, przed którym dopiero co zatrzymał się Yudzo. Wybiegli jednak ze środkowego korytarza, chłopiec zaś pobiegł prawym.

I w momencie, gdy Posejdon wraz z Alicją stali zbici z tropu, nie wiedząc, co począć dalej, Yudzo był już w niewoli. W korytarzu natknął się na trzy roboty, które złapały go i z takim pośpiechem wlokły dalej, jak gdyby chciały dopomóc mu w biegu. Chłopcu zaparło dech.

– Yudzo! Yudzo Komura! – zawołał Posejdon.

W odpowiedzi z różnych stron dał się słyszeć tupot. Tupot żelaznych nóg.

Nie pozostało nic innego, tylko uciekać co sił lewym korytarzem. Prześladowcy byli coraz bliżej.

– Biegnij, Alicjo, ja ich zatrzymam! – krzyknął Posejdon.

– Nie ma mowy – odparła Alicja. – Co ja zrobię bez ciebie?

Na szczęście w tej samej chwili dojrzała z boku wąską szczelinę, a dalej schody wiodące w dół.

– Posejdonie, tędy! – wykrzyknęła.

Skoczyła w szczelinę, za nią z trudem przecisnął się Posejdon.

Zbiegli w dół po schodach wijących się spiralnie, stopnie były zardzewiałe, jak gdyby dawno nikt po nich nie chodził.

Z dołu dobiegało jakieś buczenie.

Schody doprowadziły ich do nowego korytarza – tu podłoga była wykonana z kwadratowych metalowych płyt. Kroki dźwięczały głucho – pod płytami była próżnia.

Po dwudziestu krokach niespodziewanie wyrosła przed nimi ślepa ściana.

Z tyłu grzmiały głośnym łoskotem kroki robotów zbiegających po schodach.

Posejdon rozumiejąc, że nie ma dokąd uciekać, odwrócił się, gotów do walki. Wtem jedna z płyt pod ich stopami przesunęła się w bok, a czyjś głos ponaglił ich:

– Prędeż na dół!

Pod płytą znajdowało się ciemne pomieszczenie, do którego prowadziła metalowa drabinka.

Alicja zsunęła się po niej pierwsza, przytrzymując się szczebli.

Za nią zjechał po drabince Posejdon, który choć na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie ciężkiego i niezdarneho, był w rzeczywistości o wiele zwinniejszy od każdego człowieka. Kiedyś nawet całkiem poważnie przygotowywał się do wzięcia udziału – poza konkursem – w olimpiadzie, w dziesięcioboju. I zapewniał, że choć mistrzem by nie został, to niewątpliwie zająłby godne miejsce.

Następnie, posłuszny temu, co mu nakazał głos, Posejdon zdążył zasunąć płytę.

Zastygli w bezruchu.

I w sama porę. Na górze słyhać było kroki. Grzmiały po płytach, wprost nad głowami. Ucichły. Oznaczało to, że prześladowcy zatrzymali się przed ślepa ścianą. Rozległy się donośne odgłosy uderzeń – można się było domyślić, że roboty sprawdzają, czy w ścianie nie ma jakiegoś otworu.

Później, po chwili przerwy, znów dały się słyszeć kroki. Ale teraz się oddalały. Były też znacznie wolniejsze i cichsze. Jak gdyby roboty wracały przygnębione i rozczarowane. Już tupią po stopniach kręconych schodów... Cisza.

– Chyba się udało – cicho odezwał się Posejdon.

– Cieszę się, że mogłem wam pomóc – zabrzmiał ściszony głos.

Coś zaszeleściło, coś pstryknęło i po chwili zapłonął słaby żółty płomynek. Na pustej skrzynce pośrodku pomieszczenia, do którego trafili, stała miska napełniona jakąś cieczą, a w niej knot. To właśnie ten kaganek zapalił się, dając słabe niepewne światło.

Płomyk wy dobył z ciemności twarz starego mężczyzny. Chudą, wycieńczoną, zmęczoną.

Długie, czarne, przetykane siwizną włosy opadały mu na policzki.

Starzec był obszarpany, twarz miał poczerniałą, płonęły w niej tylko czarne wyraziste oczy.

Polina rozpaczliwie piłowała ścianę. Cienka szczelina wydłużała się tak powoli, że było jasne – nie tylko przez dwie godziny, ale i przez dwie doby nie upora się z wypiłowaniem otworu. Nie poddawała się jednak.

Ręce drętwiały, odmawiały posłuszeństwa i musiała kilkakrotnie przerywać swoje desperackie wysiłki, żeby trochę odpocząć. Była umorusana metalowym pyłem, skóra na prawej dłoni nabrzmiała i krwawiła.

Żż-żż-żż-żż – zgrzytał pilnik i od tego jednostajnego dźwięku dzwoniło jej w uszach. Była tak pochłonięta swoją pracą, tak dokładała starań, by zmusić się do dalszego piłowania, na przekór mdlejącym ręką, że nie usłyszała, jak otwierają się ponownie drzwi do jej celi.

– Człowieku – rozległ się donośny metaliczny głos. – Przerwij swoją pracę. Dewastujesz mój statek, a żadnego pożytku ci to nie przyniesie, nigdy bowiem nie uciekniesz przede mną.

Polina zerwała się na równe nogi i odwróciła się, usiłując schować pilnik za plecami.

W celi pojawiło się jakieś nowe stworzenie.

Najprawdopodobniej, jak pomyślała Polina, był to również robot, tylko wyższy od innych i groźniejszy.

Cały był w czerni, na ramiona miał narzucony długi obszerny płaszcz, a na głowie błyszczący antracytowy hełm z wysokim grzebieniem. Twarz była czarna, jak u innych robotów, i pusta – bez oczu i ust. Dlatego nie sposób było rozpoznać, skąd wydobywa się głos.

– To nader ciekawe dla mnie obserwować was – powiedział ogromny robot. – Jesteście dziwnymi stworzeniami, krzątacie się, dążycie do czegoś. A to nikomu niepotrzebne.

– Kim pan jest? – spytała Polina.

– Jestem Gospodarzem – odparł czarny robot. – Najważniejszą osobą tutaj. Rządzę tym światem, który drży przede mną.

– Jeśli tak, to powinien mnie pan wypuścić.

– Dlaczego?

– Ponieważ nie należę do pańskiego świata – odparła. – Nie chciałam tutaj trafić. Lecieliśmy swoją trasą...

– Przelatywaliście zbyt blisko mnie – powiedział Gospodarz. – Zmusiłem was, byście się poddali.

– Po co?

– Żeby zabrać wasze mienie, dostarczyć rozrywki i przyjemności moim poddanym. Żeby przyjrzeć się wam z bliska, ponieważ jestem ciekawy.

– Jest pan również robotem? – spytała Polina podchodząc bliżej i przypatrując się Gospodarzowi.

– Wiem, że tę głupią nazwę wymyślono na Ziemi. Słyszałem ją ciągle od tych, którzy tu trafili przed tobą i których już nie ma. Powiedzieli mi nawet, że wymyślił ją wiele lat temu ziemski pisarz o nazwisku Karol Čapek. Robot – to żelazna maszyna, niewolnik ludzi, który spełnia ich rozkazy. A więc ja nie jestem robotem.

– Jest pan istotą żywą?

- Żywą, ponieważ myślę.
- Ale stworzoną przez inne żywe istoty?
- Kiedyś został stworzony ten, kto z kolei stworzył mnie.
- Jasne – powiedziała Polina – robot drugiej generacji. A po co został pan stworzony?
- Po to, by się opiekować, chronić i prowadzić naprzód.
- A więc ma pan obowiązek?
- Obowiązek?
- Może pan to nazwać zadaniem.
- Mam obowiązek-zadanie – przyznał czarny Gospodarz. – Moim obowiązkiem jest rządzenie tym światem i uczynienie Aszykleków szczęśliwymi.
- Aszyklecy to pańscy władcy? Prawdziwi gospodarze?
- Aszyklecy to istoty podobne do ciebie. Są ciepłe, w ich żyłach płynie krew, poza tym są głupie, chwiejne, słabe. Czynię je szczęśliwymi.
- Dlatego, że się im podporządkowujesz i służysz im?
- Nikomu się nie podporządkowuję ani nie służę – odrzekł czarny robot. – Ale bez mojej opieki Aszyklecy umrą.

– Niech więc pan wezwie tu Aszykleków – zażądała Polina. – Będę rozmawiać z nimi, a nie z maszyną.

– Ty głupie stworzenie – odparł Gospodarz. – Sądziłem, że jesteś warta tego, by pozostawić cię przy życiu, byś pomagała mi w realizacji wielkiego dzieła. Ale ty nic a nic nie rozumiesz.

– Przeciwnie – zaprzeczyła Polina – właśnie, że rozumiem. Jesteś po prostu zepsutym mechanizmem. Robotem z manią wielkości.

– Oburzenie i uraza nie są mi właściwe – odrzekł beznamiętnie robot. – Możesz mnie nazywać, jak chcesz. Jestem panem tego świata i moja potęga nie zna granic.

– Dziwne, robot z przeżartym rdzą programom. – Polina nie potrafiła powstrzymać uśmiechu. Strach, który opanował ją na widok tego stworzenia, dawno już minął. Straszne jest to, czego nie rozumiemy. Jak gdyby uświadomiwszy sobie, że dla tej kobiety nie jest panem, lecz tylko zwykłą maszyną, Gospodarz podniósł głos i zagrzmał na całą celę:

– Gdy już będą cię szarpały na strzępy pazury lodowego smoka, wspomnisz swoje nieopatrzne słowa i gorzko ich pożałujesz. Nie mogę darować zniewagi, nie dlatego, że zdołała mnie dotknąć, lecz dlatego, że mój autorytet musi pozostać nienaruszony. Ja jestem Bogiem! Ja jestem Gospodarzem! Wszyscy muszą drzeć przede mną.

– Chwała Gospodarzowi! – wykrzyknęły zgodnym chórem pozostałe roboty. – Chwała jego mądrości.

Scena ta jednak została przerwana w szczytowym momencie. Z korytarza dobiegł jakiś hałas. Dwa roboty wciągnęły do celi zaciekle stawiającego opór Yudza.

Gospodarz gwałtownie się obejrzał, przez parę sekund wpatrywał się w chłopca bezoką czarną twarzą, wreszcie spytał:

- Jeszcze jeden? Gdzie go znaleźliście?
- Był sam. Znaleźliśmy go w korytarzu.
- To dobrze. Będzie większa atrakcja.

Roboty puściły chłopca, który nie był w stanie utrzymać się na nogach. Polina podchwyciła go. Yudzo poznał ją i zaczął szybko mówić zapominając, że wokół stoją roboty:

- Polino, mój ojciec jest tutaj! Żyje. Znalazłem jego ołówek. Proszę, oto on!
- Jaki ojciec? – zabrzmiał głos Gospodarza.

– Wydało ci się, Yudzo. To na pewno inny ołówek – wtrąciła się szybko Polina. Ale Yudzo nie zrozumiał jej.

– Rozpoznałem ołówek ojca...

– Na statku jest jeszcze osoba postronna! – ryknął Gospodarz. – Natychmiast odnaleźć!

Przetrzęsnać cały statek! Rozbiorę was na części, jeśli go nie znajdziecie!

– Pozwól, wielki Gospodarzu – powiedział jeden z robotów, postępując krok naprzód. -Uważam, że nie trzeba się spieszyć. Te stworzenia odznaczają się dużym wzajemnym przywiązaniem. Czy jest sens szukać tego, co trudno znaleźć? Dzisiaj zaprowadzimy ich do lodowego smoka. I nie będziemy robić z tego tajemnicy. Wtedy jego ojciec sam do nas przybiegnie. A my zgotujemy mu odpowiednie przyjęcie.

– Świetny pomysł, godny mojego sługi – wyraził swoje uznanie Gospodarz.

Skierował się ku drzwiom, przystanął w nich na chwilę i zwrócił się do Poliny:

– Szykujcie się na straszliwą śmierć, nędzne strzępki protoplazmy.

Drzwi się zamknęły, ale Polina i Yudzo nie zostali sami. Towarzyszył im jeden z robotów, stojący obok miejsca, w którym Polina usiłowała wypiłować otwór.

Polina podprowadziła chłopca do sterty szmat, usiadła sama i posadziła go obok siebie.

Yudzo nie płakał, ale był blady i zgnębiony.

– Głupio się zachowałem – powiedział. – Trzeba było trzymać buzię na kłódkę, ale tak się ucieszyłem...

– Tak, lepiej było milczeć – przyznała Polina. – Ale nie ma co rozpaczać nad rozlanym mlekiem. Gdzie reszta?

Chłopiec nachylił się do Poliny i zaczął szeptać jej na ucho.

Robot przysunął się bliżej, nic jednak nie usłyszał, a ponieważ nie otrzymał rozkazu, co powinien zrobić w takim wypadku, wrócił po chwili pod ścianę.

Prawdopodobnie mieścił się tu niegdyś magazyn. Zostały po nim otwarte kontenery, sterty plastikowych woreczków, rozbite skrzynki. Skrzynka służąca za stół stała pośrodku kawałka uprzątniętej przestrzeni, a na skrzynce, obok kaganka, była miska z kaszą i kubek wody.

– Macie szczęście – powiedział starzec – że pobiegliście w tę stronę. Inaczej nie mógłbym wam pomóc.

– Rzeczywiście udało się nam – przytaknęła Alicja nasłuchując oddalających się kroków na górze. – A pan mieszka tutaj? Dlaczego? Przecież nie jest pan robotem.

– Za dużo pytań – uśmiechnął się starzec. – Jestem tutaj takim samym przypadkowym gościem, jak wy. Wbrew własnej woli.

– Też uległ pan katastrofie? – spytał Posejdon.

– Tak. Wpadłem w pułapkę. Zawlekli mnie do celi gdzie już byli zamknięci inni ludzie. Muzycy. Zespół „Głośny śmiech”. Siedzieliśmy tam razem około tygodnia i nie mieliśmy najmniejszego pojęcia, co z nami będzie. Widywaliśmy tylko roboty. Potem nam powiedziano, że nas uśmiercą. Że wrzucą nas w lodową otchłań. Nie wiedzieliśmy, co to takiego, chcieliśmy uciec. Uciec właśnie wtedy, gdy nas tam będą prowadzić. Ale udało się tylko mnie. Od tamtej pory ukrywam się tu już przez dwa miesiące.

– A muzycy? – spytała Alicja.

– Nie ma ich już – odparł starzec.

– Ale jakim sposobem zdołał pan tak długo pozostać w ukryciu? – spytał Posejdon. – Jak to się stało, że pana nie znaleźli?

– Ta asteroida jest ogromna i stara. Na szczęście jest tu wiele pustych, zapomnianych pomieszczeń, o których nie ma pojęcia nasz Gospodarz.

– Kto?

– Gospodarz statku. To robot. Ale w odróżnieniu od innych robotów przez cały czas jest sprzężony z elektronicznym mózgiem statku, stanowi jak gdyby jego przedłużenie. Podporządkowują mu się wszyscy – i roboty, i Aszyklecy.

– Wybacz pan – rzekł Posejdon. – Ponieważ trafiliśmy tu niedawno, niewiele ponad godzinę temu, wiemy jeszcze bardzo mało. I pańskie słowa są dla nas niezrozumiałe. Proszę nam wyjaśnić – kim są Aszyklecy?

– Ja wiem – wpadła mu w słowo Alicja. – To takie ludziki. Jednego wzięliśmy ze sobą, ale później wypuściliśmy.

– Dziewczynka ma rację – powiedział starzec. – Aszyklecy są kosmonautami.

– Całkiem niepodobni – znów wtrąciła swoje trzy grosze Alicja.

– Alicjo – zwrócił jej uwagę Posejdon – jeśli będziesz co chwilę przerywać, to posiedzimy tu jeszcze ze dwa dni, a czas nagli.

– Słusznie – powiedział starzec. – Mamy niewiele czasu. Ale możemy poświęcić jeszcze parę chwil na opowieść... Może jesteście głodni? Nie najlepiej stoję z jedzeniem, widzicie, tylko kasza i woda, macie ochotę?

– Nie, dziękuję – odrzekła Alicja. – Nie zdążyłam jeszcze zgłodnieć, a Posejdon – jak pan sarn

rozumie – nie jada.

– Zorientowałem się, że jest pan robotem. A ja muszę kraść jedzenie Aszyklekom. Kiedy wszystko cichnie i udają się na odpoczynek, zakradam się do kotła i wyskrobuję resztki...

– Proszę, bardzo proszę, niech pan opowiada dalej – poprosiła Alicja. – Zmęczyły nas te straszliwe tajemnice. Jak to się stało, że piraci zawładnęli tą asteroidą? I czemu ich wcześniej nie odkryto?

– Piraci? Ależ to nie piraci. To nasi bracia, istoty rozumne. Goście z Kosmosu. Chodźcie, coś wam pokażę.

Starzec wstał i poszedł w głąb magazynu wąskim przejściem pomiędzy kontenerami. Przejście skończyło się przed niedużymi kręconymi schodami, które naprowadziły ich na kolejny poziom. Mieścił się tam podobny magazyn, ale jego najdalsza ściana była w jednym miejscu przebita. Z otworu przeświecał promień światła. Tam właśnie podprowadził ich starzec.

Przed oczami Alicji rozpościerała się duża zielona polana. Wprawdzie, gdy się dobrze przyjrzała, zorientowała się, że trawa jest sztuczna, podobnie jak krzewy, drzewa i kwiaty. Niski sufit nad polaną był pomalowany na niebiesko, na nim zaś białe obłoki.

Kilku ludzików, identycznych jak ci, których spotkali wcześniej, spacerowało po polanie, inni siedzieli na plastikowej trawie, dwóch grało w jakąś grę przesuwając kolejno po desce duży czerwony pionek. Na pierwszy rzut oka mogło to robić wrażenie sielankowej sceny odpoczynku istot rozumnych, ale im dłużej Alicja przyglądała się łączce, tym jaśniejsze się stawało, że wszystko to jest jakimś fałszem. Aszyklecy udawali, że się przechadzają, udawali, że odpoczywają, a nawet, że śpiewają.

– Brakuje tylko sznurków – rozległ się nagle głos Posejdon.

– Nie rozumiem – zdziwił się starzec.

– Przecież to lalki – wyjaśnił robot. – Marionetki, które ktoś musi pociągać za sznurki, żeby się poruszały.

– Myśli pan obrazowo – powiedział starzec.

– Przeżyłem długie i niełatwe życie – odparł – Posejdon. – I zrozumiałem, że tylko jedno jest warte zachodu – nauka.

W oddalonym krańcu łąki pojawił się robot w białym fartuszkach i z dużą miotłą w ręku. Ku zdumieniu Alicji, zaczął bezceremonialnie przeganiać tą miotłą Aszykleków, kierując ich w stronę drzwi.

Aszyklecy opierali się, próbowali uciekać, ale robot zręcznie pędził ich, niczym tresowany pies stado głupich owiec.

– Co on robi? – spytała Alicja.

– Pora na obiad – odparł starzec. – Potem przyjdzie czas rozrywkę...

Nachmurzył się.

– Zostało nam bardzo mało czasu – mówił dalej. – Zdążę wam opowiedzieć tylko w dwóch słowach, co to za asteroida. Resztę – przy bardziej sprzyjającej okazji.

Polana opustoszała, stopniowo zmierzchało światło poczerniały sztuczne krzewy.

– Niegdyś, wiele stuleci temu, z bardzo odległego gwiazdnego układu wystartował statek kosmiczny. Nie wiem, czemu został wysłany. Być może planecie groziło niebezpieczeństwo, a może była to próba zbadania Galaktyki. Statek wyposażono kompletnie i przedsięwzięto wszystko, by uchronić ludzi przed trudami i kłopotami. Wszystkie ciężkie prace wykonywały roboty, to one gotowały strawę, troszczyły się o szklarnie, remontowały, sprzątały, prały, nie mówiąc już o kierowaniu statkiem i jego systemami.

– Skąd się pan o tym dowiedział?

– Kiedyś na statku była biblioteka. Nawet roboty zapomniały do niej drogę, a ja odkryłem jej szczątki. Tam właśnie przechowywana są dokumenty owych pierwszych dziesięcioleci podróży.

– Czy statek leciał tak długo, że stał się podobny do asteroidy? – spytała Alicja.

– Nie, to była na początku asteroida, która krążyła nie opodal planety Aszykleków. Stała się bazą do budowy statku. Wydrążono wewnątrz pomieszczenia, wmontowano silniki grawitacyjne – przecież w otwartym Kosmosie nie ma znaczenia, czy statek, jest mały czy duży, kwadratowy czy okrągły. Skoro nie ma oporu powietrza, wprawić w ruch ziarnko piasku jest tak samo łatwe, jak asteroidę – byle siła początkowa była wystarczająca. Po pierwsze, taniej jest wykorzystać gotowe ściany niż wozić w Kosmos elementy z planety. Po drugie, sama asteroida stanowiła dla kosmonautów źródło metali, tlenu i innych składników zawartych w skałach.

– Jasne – powiedział Posejdon. – I rozsądne. Może w przyszłości my również będziemy tak postępować. I co się zdarzyło później?

– Mijały lata, dziesięciolecia. Podróż się przeciągała. O ile zdołałem się zorientować, na ich docelowej planecie nie było warunków do życia. Postanowili lecieć dalej. Znowu upłynęły lata. I wyobraźcie sobie... – starzec umilkł, jak gdyby wpatrując się w tamten obraz odległy o setki lat i tysiące parseków. – Wyobraźcie sobie grupę kosmonautów, oczywiście już nie tych, którzy kiedyś wyruszyli, lecz ich praprawnuków, za których wszystko i zawsze gotowe są wykonać roboty. Robotów było coraz więcej, doskonaliły się i miały coraz mniejsze zaufanie do ludzi – to znaczy do Aszykleków. Potomkowie kosmonautów przywykli do tego, że roboty zajmowały się dosłownie wszystkim. Nawet gdy rodziły się im dzieci, oddawali je natychmiast robotom, które je karmiły i uczyły. I ludzie, zostając pozornie panami na statku, stawali się niewolnikami robotów. Niewolnikami bezczynności. Nastąpił w końcu dzień, gdy kosmonauci zapomnieli, kim są, dokąd lecą, po co żyją na świecie. Myśleli, że na tym statku-asteroidzie zaczyna się i kończy cały Kosmos. I tylko roboty na czele z nieśmiertelnym robotem-Gospodarzem wiedziały, po co statek został zbudowany.

– Wiedziały i znosiły taką sytuację? – spytała Alicja.

– Nie tylko znosiły, lecz absolutnie ich urządziła. Po co robotom nowe planety i niebezpieczeństwa? Mają swój program – utrzymać przy życiu Aszykleków. Utrzymują więc. Są niańkami, które nie pozwalają dzieciom dorastać, które na całe życie zostawiają je w żłobku. I jeśli taka sytuacja utrzyma się przez milion lat, będą tym zachwycone.

– Ale już i teraz.. – zaczął Posejdon, lecz starzec przerwał mu:

– Za tysiąc lat Aszyklecy przeobrażą się w ameby i całkowicie postradają rozum. I teraz mają go niewiele. Jest to tępy, obłąkany narodek, który potrafi wyłącznie jeść, spać i zabawiać się. Powiadają, że praca przekształciła małpę w człowieka, a więc brak zajęcia z pewnością zmienia człowieka w małpę.

– Och, przywozłabym tutaj chętnie pewnego znajomego chłopca – powiedziała Alicja. – Z jego wiecznym marzeniem, by nie odrabiać lekcji.

– A mnie – ponuro rzekł Posejdon – wstyd za moich współpracowników. Jak można tak przewrotnie, a nawet zbrodniczo pojmować swój obowiązek!

– Najsmutniejsze jest to – oznajmił starzec – iż nie ma tu przestępców ani złoczyńców. Są oteźpiali ludzie, którzy nie wiedzą, co czynią, oraz ograniczone roboty, które pragną tylko jednego – żeby Aszyklekom dobrze się żyło. Karmią ich, ogrzewają i, niestety, dostarczają rozrywki. A ponieważ poza granicami statku ludzie dla nich nie istnieją, wobec tego zabawiają Aszykleków kosztem innych.

– Niech mi pan powie, proszę – spytała Alicja, kiedy starzec poprowadził ich dalej wewnętrznymi chodnikami asteroidy – jak oni tutaj trafili? I czemu nie odkryto ich wcześniej?

– Znaleźli się tu niedawno, kilka miesięcy temu. Zawiniło przyciąganie Słońca. Skryli się nie zauważeni w strefie asteroid i zagubili wśród tysięcy podobnych ciał. Nie wiem, czemu nie odlecieli dalej. Być może kończy im się paliwo, a może spodziewają się zdobyć tu jakieś łupy. Niewykluczone też, że po prostu badają nas przed udaniem się w dalszą drogę. Nie mogę zajrzeć do żelaznych czerepów tych robotów. W żadnym razie nie zamierzają nawiązać łączności z Ziemią.

– No dobrze, a inne statki przyciągają i łapią w potrzask dla celów badawczych?

– Nie, dla rozrywki Aszykleków oraz grabieży.

– I z pewnością obawiają się, że zostaną odkryci – powiedział Posejdon. – Jeśli ponad wszystko stawiają bezpieczeństwo Aszykleków, to znaczy, że muszą się tego obawiać.

– Ma pan rację – przyznał starzec. – Ale najważniejszą sprawą jest grabież i rozrywka.

Oczyszczają doszczętnie rozbite statki, a załogi... Proszę zrozumieć, Aszyklecy znajdują się na poziomie opóźnionych w rozwoju dzieci. Okrutni, kapryśni, głupi. I dlatego...

W wewnętrznych pomieszczeniach asteroidy zawyła przenikliwie syrena. Wyła coraz głośniejsze.

– Co to? – spytał Posejdon. – Odkryli nas?

– Sygnał na obiad – odparł starzec. – Uświęcona godzina idiotów.

Usłyszeli, jak we wszystkich korytarzach i przejściach statku rozlegają się drobne, szybkie kroczyki – to biegli Aszyklecy. Dwa ludziki wyskoczyły nagle zza węgła i przemknęły obok przyciskając do pękatych brzuchów puste miski.

– No tak, koniec naszych rozmów – powiedział starzec. – Teraz musimy się już spieszyć.

Rozrywka, o której mówiłem, zaczyna się zaraz po obiedzie. Kobiecie, która przyleciała z wami, grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Widział pan Polinę? – spytała Alicja. – Gdzie ona jest? Straciliśmy jej ślad.

– Wasza towarzyszka jest w więzieniu, skąd jest tylko jedno wyjście – do lodowej otchłani. Czy był z wami jeszcze ktoś?

– Tak, było nas czworo – wyjaśniła Alicja. – Ta czwarta osoba to Yudzo. Niedawno został gdzieś w tyle. Akurat wtedy, gdy dogoniły nas roboty, a pan poniósł nam w ucieczce.

– Yudzo? – starzec objawił nagle zaniepokojenie. – Powiedziałaś: Yudzo? To wasz przyjaciel?

– Znaleźliśmy Yudza w Kosmosie, całkiem niedawno. Jego ojciec zaginął w strefie asteroid.

Yudzo porwał więc ćwiczebny kuter, na którym nie wolno wychodzić w Kosmos, i wyruszył na poszukiwanie ojca. Zadziwiająca lekkomyślność, właściwa wyłącznie ludziom – oznajmił Posejdon

– Rozumiem – głos starca zadrżał. – To mój syn!

– Czyżby tak bardzo się pan zmienił?! – wykrzyknął Posejdon. – Nie dalej jak dziś przyglądałem się uważnie pańskiej fotografii. To nie do wiary!

– Ostatnie miesiące były bardzo ciężkie – odparł starzec. – Ale gdzie jest mój chłopiec? Gdzie go widzieliście po raz ostatni? Był zdrow? Uratowaliście go w Kosmosie?

– Skończyło mu się paliwo.

– Nierozsądny chłopak, dostał się w ich łapska.

– Może i nierozsądny – powiedział Posejdon. – Ale nie każdy chłopiec wyruszyłby w Kosmos, ryzykując życie, żeby odnaleźć ojca.

– Nie zdążyliśmy wrócić po niego – smutno powiedziała Alicja. – Po prostu nie zdążyliśmy.

– Nie winię was. Ale musimy się spieszyć.

Profesor Komura, bo tak przecież nazywał się ojciec Yudza, biegł pierwszy korytarzami i zakamarkami asteroidy – nawet Posejdon ze swą pamięcią zabłądziłby pośród tych chodników,

którymi niczym mrowisko była poryta asteroida. Niekiedy przebiegali przez rozległe sale, raz czy dwa spotkali paru spóźnionych na obiad Aszykleków, raz zderzyli się z robotem-niańką, nie zatrzymali się jednak nawet na sekundę.

– Zaczekajcie tutaj – nakazał niespodziewanie Komura.

Otworzył wąski, wysoki właz i zręcznie wczołgał się do niego.

– Prędko pan wróci? – spytał Posejdon.

Profesor nie odpowiedział.

– Powinienem był rozpoznać go od początku – oświadczył Posejdon. – Zawodzi mnie zmysł obserwacji. Nie wzięliby mnie już na daleki zwiad, o nie...

– Polino – rozległ się głos profesora. Dobiegał z daleka. – Jest tam pani jeszcze?

I już całkiem z oddali, jak gdyby z drugiego końca Galaktyki, doleciała odpowiedź. Był to głos Yudza.

– Ojciec! To głos mojego ojca! Poznałem go. Mówiłem przecież, że on żyje. Żyje i pomoże nam! I zapadła cisza.

– Yudzo jest z Poliną – powiedziała Alicja. – To lepiej.

– Nie wiem, co tu jest lepiej, a co gorzej – ponuro odparł Posejdon.

Po chwili w otworze ukazały się nogi profesora, który następnie przy pomocy Posejdona zeskoczył na podłogę.

– Tam jest robot – powiedział. – Pilnuje ich. Nie dadzą rady wydostać się stamtąd. My też nie mamy możliwości przeniknięcia do więzienia. Dlatego pozostała nam jedyna szansa – odbić ich przed wejściem do lodowej otchłani.

Profesor Komura zaprowadził swoich towarzyszy do dużego, słabo oświetlonego pomieszczenia. Jego dłuższa ściana była wykonana ze szkła. Za ścianą panowały nieprzeniknione ciemności.

Posejdon podszedł do szklanej tafli.

– Co tam jest, przepaść? – zapytał.

Światło z sali nie mogło przeniknąć daleko w głąb. Widać było tylko pionowe ściany z czarnego kamienia z żyłkami lodu, w pobliżu zaś sali, nad przepaścią, znajdowała się nieduża platforma, do której prowadziły drzwi wykute w skale.

Były zamknięte.

– Zaraz coś zobaczycie – powiedział profesor stając przed małym pulpitem. – Ta przepaść jest jedyną jamą wewnątrz asteroidy. Oczywiście ma gdzieś wyjście na powierzchnię. Jest tak ogromna, że napełnienie jej tlenem i ogrzewanie to zbyt kosztowna przyjemność. Prościej było zostawić ją w stanie naturalnym, izolując od pomieszczeń mieszkalnych. I zostawić też jej mieszkańców... lodowe smoki.

Zapłonął reflektor oświetlając jasno platformę wiszącą nad otchłanią. Alicja z Posejdonem podeszli blisko do szyby, starając się wypatrzeć, co to za lodowe smoki czają się w głębinie.

– Możliwe – powiedział profesor – że gdy przystosowywano asteroidę do lotu, żadne lodowe smoki jeszcze tam nie istniały. Może były tylko ich zarodniki, które czekały na swą chwilę. Potem temperatura ścian nieco wzrosła – może o kilka stopni, wystarczyło to jednak, by spowodować rozwój smoków.

– Ale przecież żadne żywe istoty nie mogą żyć w próżni – przerwała mu Alicja.

– Bardzo mało jeszcze wiemy o tajemnicach Kosmosu – odparł profesor. – Organizmy żywe przystosowują się do najbardziej, zdawałoby się, nieprawdopodobnych warunków. Przecież istnieją bakterie, które rozwijają się w gardzielach wulkanów, oraz robaki wspaniale czujące się w największych głębinach oceanów. Wiadomo, że niektóre organizmy w postaci zarodków, zarodników przebywały przestrzeń międzygwiazdą. Prawdopodobnie smoki lodowe potrafią czerpać energię z substancji organicznych znajdujących się w skale asteroidy, a uzyskują tę energię pochłaniając ciepło. Najsilniej jednak reagują na światło. Dążą do światła jak ćmy... o, spójrzcie!

Alicja mimo woli cofnęła się od szklanej przegrody – z głębin przepaści wysunęło się nagle coś w rodzaju grubej, pokrytej pierścieniami pancerza trąby z zakrzywionym pazurem na końcu. Potem jeszcze jedna i jeszcze jedna...

– To są ich macki – wyjaśnił profesor. – Mają trzydzieści metrów długości. Sam tułów smoka jest nieduży.

Z przepaści wychyły dziesiątki pazurów. Sunęły bardzo wolno, lecz z uporem, zdawało się, że nic nie jest w stanie ich powstrzymać – wynurzały się coraz wyżej z otchłani, w kierunku reflektora.

– Sądzę – mówił dalej profesor – że najpierw smoki były główną rozrywką dla Aszykleków. Chodzili tu, na galerię, zbudowaną przez roboty, by przyglądać się, jak światło budzi smoki i jak gramolą się w górę. Potem zaś, gdy asteroida trafiła do Układu Słonecznego lub może wcześniej, w jakimś innym zamieszkanym układzie, pojawili się na asteroidzie więźniowie. Było ich coraz więcej. Karmić ich roboty nie miały zamiaru – żywności ledwie starcza dla Aszykleków. I wtedy

któremuś z robotów wpadło na myśl, by składać smokom w ofierze tych, którzy wbrew własnej woli trafili na statek.

– Żywych ludzi?! – wykrzyknęła Alicja.

– Właśnie tak. Najpierw wyprowadzają więźniów na platformę, potem włączają światło i zmniejszają siłę ciężkości, by smokom było łatwiej dostać się do ofiar. A ludzie to ciepło, energia. Smoki nie marzyły nawet wcześniej o takim pokarmie.

– I sądzi pan – powiedział Posejdon – że te tępe potwory chcą tam wyprawić Yudza i Polinę?

– Jestem tego pewny. I uczynią to bardzo niedługo, gdy tylko Aszyklecy skończą obiad.

– Czemu więc stoimy tutaj? – spytała Alicja.

– Profesor ma rację – rzekł Posejdon. – Tylko tutaj mamy szansę coś zdziałać.

– I tylko wówczas, gdy będziemy działać wspólnie – przytaknął Komura. – Sam byłem bezsilny. Ale jeśli oni... jeśli mój syn zginie, nie mam po co żyć. Przecież to ja spowodowałem jego zgubę.

– Przepraszam, profesorze – przerwała mu Alicja – ale po pierwsze, na razie wszyscy żyjemy.

A po drugie, Posejdon ma zamiast głowy prawdziwą encyklopedię. Bez wątpienia coś wymyśli.

Posejdon już wymyślił.

– Wie pan, gdzie znajduje się pulpit sterowania komputerem? – spytał.

– Tylko w przybliżeniu – odparł profesor. – Nie udało mi się tam dostać.

– Gdybym mógł nawiązać łączność z mózgiem statku, może udałoby mi się go przekonać?

– Wątpię – powiedział Komura. – Zwykła logika na niego nie podziała. Gdyby mózg elektroniczny był normalny, nigdy nie zachowywałby się w taki sposób.

– Trzeba go więc unicestwić – poradziła Alicja.

– Wówczas prawdopodobnie pozbawilibyśmy asteroidę układu sterowniczego, jej urządzenia odmówią posłuszeństwa. I w rezultacie zginiemy wszyscy.

– Mimo to spróbuję. Proszę nie zapominać, że jestem robotem i logika maszyny jest mi bliższa niż panu.

Komura podszedł do drzwi, otworzył je i nagle usłyszeli wesoły dźwięk dzwoneczków.

– Za późno – stwierdził profesor. – Obiad się skończył.

– Trudno, wobec tego ich odbijemy – zdecydował Posejdon. – Którędy będą ich prowadzić?

– Sąsiednim korytarzem. Wiedzie prosto na platformę nad otchłanią.

Do sąsiedniego korytarza było bardzo blisko, ale przedostanie się tam sprawiało im ogromną trudność – z naprzeciwka ciągnęły rzesze Aszykleków. Nie sposób było wyobrazić sobie, ilu ich zamieszkiwało asteroidę, z pewnością kilkuset. Posejdon przedzierał się pierwszy przez ten zgiełkliwy, piszczący, wesoły tłum. Posuwali się bardzo wolno i to opóźnienie okazało się fatalne.

Za zakrętem, w przejściu między korytarzami dojrzeli roboty prowadzące Polinę i Yudza. I nie mogło być mowy o żadnym zaskoczeniu ani rozmowie. Roboty-wartownicy zauważyli Posejdona z daleka i zwrócili się doń przodem, tworząc zwarty mur.

Posejdon, oceniwszy sytuację, obrócił głowę o sto osiemdziesiąt stopni i wciąż posuwając się naprzód, krzyknął:

– Z powrotem do szklanej sali! Spróbuję się przedrzeć bez was. I tak mi nie pomożecie.

Zamknijcie się i nie wpuszczajcie tam robotów. Zrozumieliście?

– Ma rację – powiedział do Alicji Komura. – Tutaj czeka nas tylko daremna śmierć.

Pobiegli z powrotem. Tym razem było to o wiele łatwiejsze. Wyprzedzali spóźnionych Aszykleków i wbiegłszy do długiej sali obserwacyjnej wypełnionej już widzami, natychmiast zatrzasnęli za sobą drzwi. Na szczęście miały one nie tylko zamek, lecz i ciężką zasuwę.

Aszyklecy nie zauważyli nawet, że wśród nich znajdują się ludzie, sadowili się wygodnie.

Ktoś zaczął się z zewnątrz dobijać do drzwi.

Alicja i profesor nie zwrócili na to uwagi. Wpatrywali się również w szklaną ścianę, czekając, kiedy na platformie nad przepaścią ukażą się ludzie. Ale drzwi wciąż się nie otwierały. Coś musiało się zdarzyć na korytarzu, co opóźniło egzekucję. Profesor i Alicja byli zrozpaczeni. Żadnej łączności, kompletny brak informacji. Może właśnie ginie w walce Posejdon? A oni tutaj, odcięci od przyjaciół...

Przed wejściem do otchłani nie toczyła się w tym czasie żadna walka.

Posejdon, bez szans na pokonanie dziesięciu robotów, zatrzymał się i wtedy usłyszał suchy skrzypiący głos:

– Przepuście go. Chcę z nim mówić.

Roboty rozstały się. Posejdon, poturbowany w starciu, z pręgami zadrapań na plastikowej powłoce, już przedtem poznaczonej szramami w ciągu długich lat pracy – był wykonany z materiałów o najwyższej trwałości, wielokrotnie jednak okazało się, że istnieją materiały trwalsze od ciała starego robota – minął stojących w szeregu nieprzyjaciół i podszedł do wielkiego czarnego robota.

– Stój! – rozkazał Gospodarz.

Posejdon stanął. Był masywniejszy od Gospodarza, ale niższy od niego.

– Ludzki robocie – powiedział Gospodarz – widzę, że spieszysz do swoich panów, że obowiązek wzywa cię, byś do nich dołączył. Nie będę ci przeszkadzał. Ale najpierw chciałbym ci coś zaproponować.

– Mów, kuzynie – odparł Posejdon.

– Nie znam takiego słowa.

– To stare słowo, wymyślili je Francuzi. Oznacza stryjecznego brata.

– Czemu uważasz mnie za stryjecznego brata?

– Ponieważ wszystkie roboty są braćmi, ale ty jesteś dla mnie bratem wyłącznie dlatego, że obu nas skonstruowali ludzie. Poza tym nie mamy więcej nic wspólnego.

– Możesz stać się moim prawdziwym bratem – powiedział Gospodarz. – Przydasz mi się. Nie trzeba cię karmić ani ubierać, nie trzeba się o ciebie troszczyć. Zostań ze mną, zapomnij o swych panach. Podzielę się z tobą władzą na statku i nad wszystkimi światami, które podbijemy. Rozumiesz mnie?

– Rozumiem. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by uratować ludzi, których ty chcesz zgubić. Na szczęście nie mam panów i nie jestem niczym sługą. W niewoli u ciebie są moi przyjaciele i mnie traktują jak przyjaciela. Ty tego nie pojmiesz. Nie mogę zostać zdrajcą.

– Czy nie za dużo filozofii jak na zwykłą blaszaną puszkę? – spytał ironicznie Gospodarz. – Jesteś robotem i czeka cię los innych robotów. Dziś jesteś ludziom potrzebny, a jutro zdemontują cię i przetopią. Obecnie im jest uczucie wdzięczności.

– Wdzięczności nie znają ci, którzy żyją obok ciebie, na tej asteroidzie. I to ty jesteś jednym z winowajców tego, że przestali być prawdziwymi ludźmi i zmienili się w zwierzęta. A co się tyczy śmierci, to czeka ona nas wszystkich. I nie ma co się jej bać.

Posejdon mówił powoli, rozwlekł. Nie potrafił wyjaśnić, czemu tak robi – rozumiał, że z pewnością nie uda mu się przekonać Gospodarza. Ale zawsze pozostawała nadzieja. W tym Posejdon był podobny do człowieka. Cokolwiek mówiłby Polinie o logice i trzeźwym rozumowaniu, to i tak skutek długiego obcowania z ludźmi nauczył się, że nadziei nie wolno tracić nawet wtedy, gdy już nie ma żadnej nadziei.

– Głupcze – powiedział Gospodarz – idź więc do swoich przyjaciół.

Drzwi na platformę zawieszoną nad przepaścią otworzyły się.

Posejdon ujrzał tam stojących Polinę i Yudza. Polina trzymała chłopca za rękę. Światło reflektora odbijało się od metalowych części skafandrów.

Posejdon nie oglądał się więcej na roboty. Sam, zdecydowanie i spokojnie, ruszył ku drzwiom. Wszedł na platformę. Drzwi zamknęły się za nim.

Polina obejrzała się.

– Dobrze, że przyszedłeś, Posejdonie – powiedziała. – Dziękuję. Razem będzie nam łatwiej.

– Jasne – odparł Posejdon. – Jeszcze nie koniec. Jeszcze powłączymy się razem po Plutonie.

– Spotkał pan mojego ojca, robocie-san? – spytał Yudzo.

– Twój ojciec jest bezpieczny – zapewnił go robot. – Widzisz tę przeszkloną ścianę i mrowie głów Aszykleków? Tam jest twój ojciec. Wraz z Alicją. Umówiliśmy się – gdy my tu będziemy walczyć ze smokami, oni zorganizują ratunek.

Yudzo odwrócił się do szyby i podniósł rękę, mając nadzieję, że ojciec go widzi.

W odpowiedzi uniosła się ręka profesora.

W tym momencie zostały włączone dodatkowe reflektory.

W sali obserwacyjnej Komura i Alicja widzieli, jak Posejdon wszedł na platformę, jak odwrócił się do nich Yudzo i pomachał ręką.

- Trzymaj się, mój chłopcze – powiedział profesor smutno, unosząc rękę.
- On im pomoże – pocieszyła go Alicja. – Posejdon jest silny.
- Oczywiście, oczywiście, jest silny – zgodził się profesor. Alicji wydało się, że całkiem upadł na duchu i nie widzi już żadnego ratunku.

Ogarnęło ją przedziwne uczucie. Wiedziała doskonale, że wszystko, co się dzieje, jest, niestety, realne, że Polinie oraz chłopcu naprawdę grozi szybka i nieunikniona zagłada. Z drugiej zaś strony wydawało jej się, że to sen. Wystarczy się uszczypnąć – i sen minie. Przecież takie straszliwe tragedie mogą zdarzać się w książkach, w kinie, ale nigdy na jawie. A skoro tak, to wszystko dobrze się skończy. Coś można wymyślić. Trzeba tylko ruszyć mózgiem.

W sali grzmiała muzyka, nieprzyjemna, drażniąca, od której ciarki przebiegały po skórze. Aszyklecy zachowywali się coraz głośniejsze, niczym tłum na stadionie, kiedy na boisko wychodzi drużyna piłki nożnej.

Naraz tłum widzów zafalował, rozległy się okrzyki. Alicja zobaczyła, jak Polina podnosi Yudza i przytula do siebie. Posejdon zachwiał się.

– Co to? – Alicja przytrzymała się profesora, gdyż podłoga uciekła jej nagle spod nóg, jak w windzie szybko zjeżdżającej w dół.

– Zmniejszyli grawitację – wyjaśnił profesor.

Alicja domyśliła się, o co chodzi.

– Żeby smoki mogły się łatwiej wspinać, tak?

– Tak.

I wtem z ciemności wychynęła w światła reflektorów macka zakończona kamiennym pazurem. Sunęła powoli w stronę platformy.

Za nią wysunął się jeszcze jeden pazur. Zakołysał się i wczepił w kamienną krawędź.

Posejdon postąpił krok do przodu i nogą zepchnął pazur.

Westchnienie przeleciało przez tłum Aszykleków.

Alicja chciała podejść bliżej do szyby, ale pod nogi wpadł jej Aszyklek, który pisnął, gdy na niego nadepnęła. Chciał ją nawet ugryźć, ale jego zębki nie mogły, rzecz jasna, przebić tkaniny skafandra.

Alicja patrzyła na wściekłego Aszykleka. Przyszła jej do głowy pewna myśl.

Ale Aszyklek już o niej zapomniał. Rozlegające się zewsząd okrzyki świadczyły o tym, że na platformie coś się dzieje. Alicja zwróciła wzrok w tamtą stronę i spostrzegła, że sytuacja więźniów uległa pogorszeniu. Już nie jeden pazur, lecz co najmniej pięć trzymało się krawędzi platformy i Posejdon nie nadążał ich spychać. Macki pełzły po ścianie, jedna zawisała nad Poliną, aż musiała odskoczyć w bok.

Aszyklecy wyli z zachwyty.

– Z miłą chęcią bym was wszystkich pozabijała, kretyniátka! – zawołała Alicja.

Profesor w bezsilnym gniewie walił pięściami w szybę.

– Zabiłabym – powtórzyła Alicja.

Jakie to dziwne – taka prosta myśl nie przyszła jej wcześniej do głowy. Oczywiście, może nic z tego nie wyjść, ale jeśli dobrze zrozumiała psychikę robotów, nawet wykolejonych, to jej posunięcie może się udać. Przecież roboty zostały skonstruowane zgodnie z jakąś zasadą i wyraźnie jej się podporządkowują. Jaka szkoda, że nie ma tu Posejdona. Jego pomoc byłaby wręcz nieoceniona.

Alicja rozejrzała się. Potrzebne jej było coś ciężkiego.

Na szczęście za plecami Aszykleków, w rogu sali, poniewierały się jakieś kawałki żelaza, a nawet dwumetrowa żelazna belka. Alicja skoczyła w tamtą stronę i z trudem uniosła belkę. Chociaż siła ciężkości była trzykrotnie mniejsza od ziemskiej, belka była bardzo ciężka.

– Profesorze! – wykrzyknęła Alicja. – Proszę mi pomóc.

Komura usłyszał jej wołanie i ze zdziwieniem popatrzył w jej stronę. Widocznie pomyślał, że postradała rozum.

– Co ci jest?

– Proszę mi pomóc!

– Ale tam... – profesor pokazał ręką na szklaną ścianę, za którą toczyła się rozpaczliwa walka.

– Prędszej! – krzyknęła Alicja. – Może się uda.

Profesor podbiegł do niej. Ruchy miał zwolnione, szeroko rozstawiał nogi, jak to zawsze bywa przy małym przyciąganiu.

– Chcę spróbować! – powiedziała Alicja. – Przecież to roboty, ich zadaniem jest opieka nad Aszyklekami. Czyli jeśli coś zagrozi Aszyklekom, roboty się przestraszą.

– Co im zagrozi? Chcesz ich zabić?

– Nie. Jeśli udamy, że mamy zamiar rozbić szybę, to wszystkim Aszyklekom grozi zagłada. No, prędszej, niech mi pan pomoże.

Alicja starała się mówić cicho, ponieważ nie chciała, by ją usłyszał mózg elektroniczny sterujący statkiem.

– A jeśli rozbijemy szkło?

– To przynajmniej pomścimy naszych!

Profesor wahał się chwilę.

– No, prędszej! – Alicja sama ciągnęła belkę w stronę szyby, Aszyklecy, którzy wpadali im pod nogi, piszczeli, szamotali się, ale byli tak pochłonięci oglądaniem widowiska, że nawet się nie odwracali.

Profesor podniósł belkę i razem przedarli się przez tłum do szyby.

Koniec belki uderzył z brzękiem w szkło. Zdawało się, że ten huk rozniósł się po całym statku. Nawet Aszyklecy zamarli na chwilę i przestali wrzeszczeć.

– Dalejże! – zakrzyknęła Alicja, jak potrafiła najgłośniejsz. – Jeszcze raz! Możemy zginąć, ale oni zginą razem z nami.

Znów uderzyli w szkło, które zadzwoniło tak głośno, że Alicja przeraziła się, by go nie rozbić naprawdę.

Aszyklecy widocznie połapali się, co im grozi, i zaczęli żałośnie wyc. Był to straszliwy, litość budzący głos – kilkaset stworzeń wyło ze strachu o swoje pozbawione sensu życie.

– Hurrrrra! – krzyczała Alicja. – Do ataku!

Cofnęli się o kilka kroków, żeby wziąć większy rozbieg. Alicja zerknęła przez szybę. Sytuacja była groźna. Posejdon przypominał słynną starożytną rzeźbę Laokoona walczącego z węzami. Polina i Yudzo wcisnęli się w niedużą wnękę w ścianie i kobieta usiłowała zepchnąć pazury czepiające się

jej skafandra. Jeśli mózg elektroniczny nie usłyszy teraz, nie zrozumie, co się dzieje – będzie za późno.

I nagle rozległ się głos z góry:

– Przestańcie! To, co robicie, stwarza niebezpieczeństwo dla Aszykleków. Natychmiast przestańcie!

– Nie mamy zamiaru! – radośnie zawołała Alicja. Chciało jej się tańczyć z ulgi, że pomysł okazał się skuteczny. – Nie ustaniemy, póki nie zniszczymy tego całego gniazda!

Zaczęto się dobijać do drzwi.

– No, jeszcze raz! – krzyknął Komura, który również ucieszył się z efektu, jaki wywarła ich próba.

I uderzyli jeszcze raz w szkło tak, że aż zadrżało, Aszyklecy zaś zapomnieli z przerażenia o przedstawieniu i rozbiegli się po kątach.

– Jeśli nie przestaniecie zagrażać moim poddanym – mówił dalej głos – unicestwię was

– Niech pan spróbuje – odparła Alicja. – Niech pan tylko spróbuje!

Nad drzwiami zapłonął ekran. Ukazał się na nim Gospodarz. Jego czarna, pozbawiona oczu twarz nie wyrażała nic, ale mówił szybciej niż zwykle. I jeśli można odnieść do robota określenie „przerażony”, to Alicja po raz pierwszy w życiu zobaczyła przerażonego robota.

– Czego żądacie? – spytał czarny Gospodarz.

– Po pierwsze, proszę natychmiast trzykrotnie zwiększyć grawitację – odparł profesor. – Natychmiast!

– Po co? – nie od razu domyśliła się Alicja.

– No – powiedział profesor do Alicji – biegniemy!

Alicja posłusznie pochwyciła wygodniej belkę, ale nie zdążyli uderzyć.

Nogi jak gdyby wrosły im w ziemię, a belka sama wypadła z rąk – zrobiła się nagle nieprawdopodobnie ciężka.

– Co pan narobił! – krzyknęła Alicja do profesora.

– Wszystko w porządku – odrzekł nie schylając się nawet, by podnieść belkę. – Spójrz.

Alicja spojrzała przez szybę i natychmiast wszystko zrozumiała.

Na platformie sytuacja zdecydowanie się zmieniła.

Polina i Yudzo opadli na kamienie, a Posejdon stojąc na skraju platformy patrzył, jak osuwają się w przepaść, znikają pazury i macki smoków.

To jasne – ciężenie zmusiło smoki do powrotu na dno przepaści.

– Jest pan genialny! – Alicja podbiegła do profesora i objęła go. Chciało jej się płakać, ale czy można płakać w skafandrze? Jak wytrzeć łzy?

– A teraz – polecił profesor – proszę natychmiast wypuścić moich przyjaciół.

– Nie ma mowy – odparł czarny Gospodarz. – Tak czy owak muszą zginąć.

– Zastanów się – spokojnie rzekł na to profesor. – I tak rozbijemy szybę, gdy tylko znów zmniejszysz ciężenie. Rozbijemy ją również w przypadku, gdyby twoje roboty usiłowały wyważyć drzwi. Owszem, zginę. Ale jestem starym człowiekiem i swoje już przeżyłem. Chętnie oddam życie w obronie mego syna i przyjaciół. Ty tego nie potrafisz zrozumieć. Moi przyjaciele są w skafandrach. Pozostaną przy życiu. Zginę tylko ja... i wszyscy twoi Aszyklecy. Popatrz na nich. Przyjrzyj im się po raz ostatni.

– Nie mogę do tego dopuścić – oświadczył czarny Gospodarz. – Utracę wówczas sens mego istnienia.

– Wiem – odparł profesor. – I jest mi wstyd, że mała dziewczynka Alicja pierwsza wpadła na

myśl, jak sobie z tobą poradzić, morderco. Przecież to takie proste...

Aszyklecy z trudem wytrzymywali ciężenie ziemskie. Czołgali się, jęcząc, po podłodze.

– Spiesz się – powiedział Komura.

Gospodarz nic nie odpowiedział. Ekran zgasł.

Ale zrobiło się lżej – przyciąganie się zmniejszyło. Zaczęli podnosić się z podłogi obrażeni Aszyklecy. Niektórzy spieszyli od razu do szyby, żeby popatrzeć, co tam się dzieje. Czekalo ich jednak rozczarowanie – drzwi na platformę otworzyły się niechętnie i Posejdon pomagając chłopcu i Polinie wyprowadził ich stamtąd. W drzwiach obejrzał się. Jego głowa, która mogła obracać się wokół osi, wykonała pełny obrót – jak gdyby Posejdon chciał zapamiętać tę otchłań ze wszystkimi szczegółami.

– Teraz – powiedział profesor i Alicja ze zdumieniem pomyślała, jak mogła go wziąć za staruszkę – przecież to energiczny mężczyzna w pełni sił – teraz zabierz swoje sługi i wpuść tutaj moich przyjaciół.

– Nie, najpierw wy stąd wyjdziecie – odpowiedział głos. – Zagrożacie moim Aszyklekom.

– Aszyklecy stanowią dla nas jedyną gwarancję przeżycia – odparł Komura. – Dlatego nie mogę niczego obiecać, dopóki nie mam obok siebie pozostałych więźniów.

Nastąpiła chwila oczekiwania.

Aszyklecy zrozumieli, że przedstawienie zostało przerwane. Niektórzy sterczeli jeszcze przed szklaną ścianą, wpatrując się w ciemną otchłań, widocznie w przekonaniu, że po prostu przegapili ów błogi moment, gdy ofiary znikają w przepaści, inni tłoczyli się przed drzwiami czekając, aż ich wypuszczą. Jeden Aszyklek, całkiem jeszcze młodzieńki, podszedł do Alicji i zaczął skubać jej rękaw. Był tego wzrostu co ona i gdyby nie bladość, umykające spojrzenie zwierzęcia i zaniedbany wygląd, byłby całkiem znośnym wyrostkiem. Uświadamiając to sobie, rozumiejąc, że nie ponosi on winy za to, że jego dziadkowie i babcie zgodzili się zostać panami i zarazem niewolnikami, Alicja nie odganiała go, lecz cierpliwie pozwalała, by jego ciekawe palce obmacywały tkaninę skafandra.

Zapukano do drzwi. Trzykrotnie. Dobięgl ich głos Posejdona:

– Wpuśćcie nasz pułk. Wrócił z pierwszej linii i pragnie odpocząć.

Alicja podbiegła do drzwi, odsunęła zasuwę i więźniowie weszli do środka. Yudzo zobaczył ojca i skoczył ku niemu. Profesor chwycił syna w objęcia. Ekran znów zapłonął. I znów pojawił się na nim Gospodarz.

– Spełniłem twoje warunki – oświadczył. – Teraz wy musicie stąd odejść i zostawić w spokoju Aszykleków.

– Tak się o ciebie bałem, ojcze – powiedział Yudzo nie zwracając uwagi na słowa Gospodarza.

– Zachowywał się jak na prawdziwego mężczyznę przystało – pochwalił syna profesor Komura.

– Czekam! – ponaglał Gospodarz.

– Poczekasz sobie – odparł Komura. – Musimy się naradzić.

Zwrócił się do Poliny:

– Jak się pani czuje?

– Dobrze, o mnie proszę się nie martwić. Gdyby nie Posejdon, dawno już byłoby po nas.

– Spełniłem mój obowiązek – odparł robot. – Ale dlaczego nas wypuszczono? Coście wykombinowali?

– To był pomysł Alicji – powiedział profesor. – Będę jej za to wdzięczny do końca życia. Kiedy ja wpadłem w czarną rozpacz, jej zaświtała zbawienna myśl, że roboty może powstrzymać wyłącznie zagrożenie życia Aszykleków. Udaliśmy więc, że zamierzamy roztrzaskać szybę.

– Udaliście? – spytał Gospodarz, który przysłuchiwał się rozmowie.

– No, nie całkiem tak – odrzekł Komura. – Gdyby to nie pomogło, rozbiłbym szkło.

– I zginąłby pan?

– Tak. Zginąłbym.

– Nie dopuściłabym do tego – powiedziała Alicja do Poliny. – Poza tym mieliśmy z profesorem rację. Tak świetnie prowadził pertraktacje z robotami, że musiały się poddać.

– Nie poddaliśmy się i nigdy się nie poddamy – odparł Gospodarz.

– Zamilcz – przerwał mu Posejdon. – Przeszkadzasz ludziom w rozmowie. Kiedy będzie trzeba, wezwiemy cię, morderco.

– Aż tobą w ogóle nie życzę sobie rozmawiać, ty blaszana puszeko – rozżłościł się nagle Gospodarz. – I tak cię uśmiercę. Nie wymkniesz się stąd.

– Wcale to nie takie pewne. Choć, szczerze mówiąc, z miłą chęcią rozebrałbym cię na części.

– Słuchaj, robocie – powiedział profesor Komura – pozostaniemy tutaj razem z Aszyklekami, dopóki twoi słudzy nie naprawią jednego z naszych statków i nie zwrócą wszystkiego, co z niego zrabowali. Wtedy odlecimy.

– To niemożliwe – odparł Gospodarz po chwili namysłu. – Przedmioty zabrane z waszych statków są popsute albo zostały wykorzystane. Nie odleciecie stąd.

– Nie kłamiesz? – spytał profesor.

– Nie potrafię kłamać – odrzekł Gospodarz. – Nie muszę zniżać się do takich ludzkich małości, jak łgarstwo.

Aszyklecy stłoczyli się dookoła, popiskując, jak gdyby prosili, by ich wypuścić.

Posejdon huknął na nich, a oni rozbiegli się na wszystkie strony.

– Dobrze – powiedział profesor. – Dopóki nie znajdziemy jakiegoś wyjścia, musimy pozostać tutaj.

– Wykluczone! – zawołał Gospodarz. – Aszyklecy będą głodni, denerwują się, mogą zachorować. Muszą odpocząć!

– Więc zaproponuj wyjście z sytuacji – powiedział Komura.

– Nie mogę was utrzymywać – oznajmił Gospodarz. – Wszystko mam wyliczone. Unicestwiam tych, którzy tu trafiają, nie z okrucieństwa, lecz po to, by nie pozbawiać Aszykleków pożywienia. Musicie odlecieć albo dobrowolnie umrzeć.

– Błędne koło – powiedział Posejdon. – Logiczny chaos. Odlecieć się nie da, a trzeba odlecieć. Należałoby sprawdzić twoje bloki pamięciowe, kuzynie. Czas na remont.

– Zniszczę cię – powtórzył Gospodarz. – Mogę wysłuchiwać impertynencji od ludzi, ale od robota – nigdy!

– Wychodzę! – huknął Posejdon.

– Ależ zaczekajcie, powariowaliście chyba! – zdenerwowała się Polina. – Zachowujecie się jak dzieci. Czy w ogóle zdarzają się bójki między robotami?

– To nie będzie bójka, lecz walka na śmierć i życie – oznajmił Gospodarz.

– Zgoda – odparł Posejdon. – O nic innego mi nie chodziło.

Podszedł pewnym krokiem do drzwi.

– Posejdonie, rozkazuję ci zostać! – zaprotestowała Polina.

– Gdy tylko ukatrupię tego łajdaka, wszystkie problemy rozwiążą się same – rzekł Posejdon.

I otworzył drzwi.

Uwaga zebranych skupiała się na Posejdonie, dlatego pytanie profesora usłyszał z początku tylko Gospodarz.

– A silniki grawitacyjne waszego statku działają? – spytał Komura.

– Silniki naszego statku są w absolutnym porządku – odparł Gospodarz i ekran zgasł. Gospodarz ruszył na spotkanie z Posejdonem.

Aszyklecy rzucili się gromadnie ku otwartym drzwiom, lecz Yudzo z Alicją zamknęli je z powrotem.

– Jak włączyć ekran, byśmy widzieli, co się tam dzieje? – spytała Alicja. – Nie będziemy mieli o niczym pojęcia.

Jak gdyby w odpowiedzi na jej słowa ekran znów zajaśniał i pojawił się na nim obraz skrzyżowania dwóch korytarzy. Z jednej strony zbliżał się do niego Posejdon. Z drugiej, w otoczeniu robotów – Gospodarz.

– Zabiją go! – powiedziała Alicja.

– Kto wie, niełatwo zabić starego robota-zwiadowcę – pocieszyła ją Polina. – On im jeszcze pokaże.

– Posejdon ma rację – wtrącił Yudzo. – Tak postępują mężczyźni. Jeśli on zginie, ja stanę do walki.

Ujrzeni, jak czarny Gospodarz odwrócił się i gestem wskazał Posejdonowi, by poszedł za nim. Weszli do dużej niskiej sali, zapewne rezerwowego przedziału napędowego. Sufit sali był wsparty na metalowych kolumnach. Pod pokrowcami stały jakieś mechanizmy.

Gospodarz zatrzymał się.

Jeden z robotów podał mu rurkę zakończoną zgrubieniem. Taką samą rurkę dali Posejdonowi. Była to broń. Żadne dźwięki nie dobiegały do sali, w której czekali ludzie oraz Aszyklecy, toteż nie można się było zorientować, w jaki sposób broń działała. Ale nagle Gospodarz podniósł rękę i z wylotu rurki wystrzeliła jasnozielona nić ognia.

– Typ laserowego blastera – orzekł profesor Komura.

Aszyklecy zaczęli się wiercić. Zrozumieli, że jednak przedstawienie ich nie ominie.

Posejdon kiwnął głową.

Roboty rozeszły się w różne strony sali i przystanęły za kolumnami.

Zielone płomienie rozświetlały półmrok.

Z nieoczekiwaną dla przypadkowego widza zręcznością i szybkością roboty przebiegały za kolumnami, kryły się za agregatami i maszynami, smugi krzyżowały się niczym długie szpady.

Potem obydwie roboty zniknęły na chwilę z pola widzenia. Następnie ukazał się Posejdon. Ostrożnie wyglądał zza kolumny, usiłując wypatrzeć wroga. A w tym momencie Gospodarz wyszedł zza agregatu znajdującego się z tyłu i wycelował.

– Posejdonku, z tyłu! – krzyknęła Alicja.

Oczywiście Posejdon nie mógł usłyszeć jej krzyku, tym bardziej że utonął on w entuzjastycznych wrzaskach Aszykleków, jednakże instynkt starego zwiadowcy nakazał mu obrócić się błyskawicznie wokół własnej osi i nie patrząc wrazić płomień w pierś czarnego Gospodarza.

Tamten zajaśniał cały, zielona aureola rozbłysła wokół jego czarnego płaszcza. Buchnął dym. I czarny Gospodarz runął na podłogę.

Posejdon uczynił krok w jego stronę nie opuszczając blastera.

Wtedy Gospodarz uniósł głowę i coś do niego powiedział. Odrzucił swój blaster.

Wstał.

Podszedł do ekranu. Oto stoi tuż przed nim i patrzy prosto na Alicję. Tyle że nie ma oczu.

Coś pstryknęło. Włączył dźwięk.

– Przegrałem – powiedział. – Zmuszony jestem podporządkować się wam. Rozkazuj.

– Przechodzimy teraz do zespołu sterowania statku i włączamy silniki grawitacyjne – oznajmił profesor Komura. – Bierzemy kurs na Marsa.

– To niemożliwe – powiedział Gospodarz. – Sprawiliśmy tyle przykrości ludziom, że będą się na nas mścić. Zabiją moich Aszykleków.

– Przykrości to nader łagodne określenie – zauważył Posejdon.

– Niech się pan opamięta – powiedziała Polina. – Nie mścimy się na tych, którzy są chorzy. A pan jest chory i chorzy są Aszyklecy. Trzeba was leczyć, a nie karać.

– Jesteśmy wszyscy zdrowi. Lepiej będzie, jak polecimy dalej i poszukamy sobie jakiejś nie zamieszkanego planety. Albo będziemy się wiecznie tułać w Kosmosie.

– Spędziłem tu parę miesięcy – rzekł profesor Komura – i wiem, w jak opłakanym stanie znajduje się statek i sami Aszyklecy. Systemy stopniowo stają się niezdatne do użytku, Aszyklecy degenerują się i wymierają. Za kilkadziesiąt lat wymrzecie wszyscy.

Nastąpiła przerwa. Wreszcie, jak gdyby po konsultacji z mózgiem elektronicznym i rozważeniu wszelkich za i przeciw, czarny Gospodarz przemówił:

- Nie mam wyjścia. Podporządkowuję się pod jednym warunkiem.
- Jakim? – spytał Komura.
- Że Aszyklecy pozostaną przy życiu.
- Na to dajemy wam nasze słowo – odparła Polina.
- Daję panu słowo, kuzynie – wtrącił Posejdon. – Roboty nie umieją kłamać.

W dwa dni później dyspozytornia na Marsie odebrała obraz asteroidy, która z dużą szybkością zbliżała się do planety.

– Zwariować można! – wykrzyknął dyżurny dyspozytor, przywołując swego kolegę, który właśnie pił kawę. – Sensacja! Wędrująca asteroida.

Jego kolega zapomniał o kawie i skoczył do ekranów.

– Natychmiast wysłać krążownik patrolowy! – polecił. – Jeśli ta sensacja rąbnie w Marsa, to będzie straszliwa katastrofa.

Na Marsie wszczęto alarm.

Komputery obliczały współrzędne kursu asteroidy i ewentualne miejsce zderzenia z planetą, rozpoczęto natychmiastową ewakuację przedszkoli oraz pracowni do rejonów polarnych. Krążowniki patrolowe wystartowały z kosmodromu, by zbadać asteroidę z bliska i zorientować się, czy nie da się zmienić jej kursu.

Ale po godzinie asteroida zaczęła zmniejszać szybkość i zmieniać kurs, jak gdyby zamierzała wejść na okołomarsjańską orbitę.

I zanim krążowniki zbliżyły się do włóczęgi, niebezpieczeństwo już minęło.

Obrazek, który po wylądowaniu na asteroidzie zobaczyli ludzie przybyli z Marsa, wprowadził ich w nie lada zdumienie.

Ujrzeni Posejdona organizującego warsztat naprawy i przestrajania robotów, profesora Komurę, który odważnie opuścił się w lodową otchłań, żeby zbadać z bliska smoki, Polinę kierującą statkiem przy pomocy ponurego czarnego Gospodarza i wreszcie Alicję, która myła i czesała Aszykleków oraz uczyła ich ścielić łóżka i zmywać naczynia.

Nazajutrz przewieziono Aszykleków na Marsa, by stopniowo włączyć ich z powrotem do grona istot rozumnych, opustoszała zaś, straszliwa asteroida pozostała na orbicie – pracują tam uczeni, którzy niemało się natrudzą, zanim wyjaśnią wszystkie tajemnice olbrzymiego statku kosmicznego.